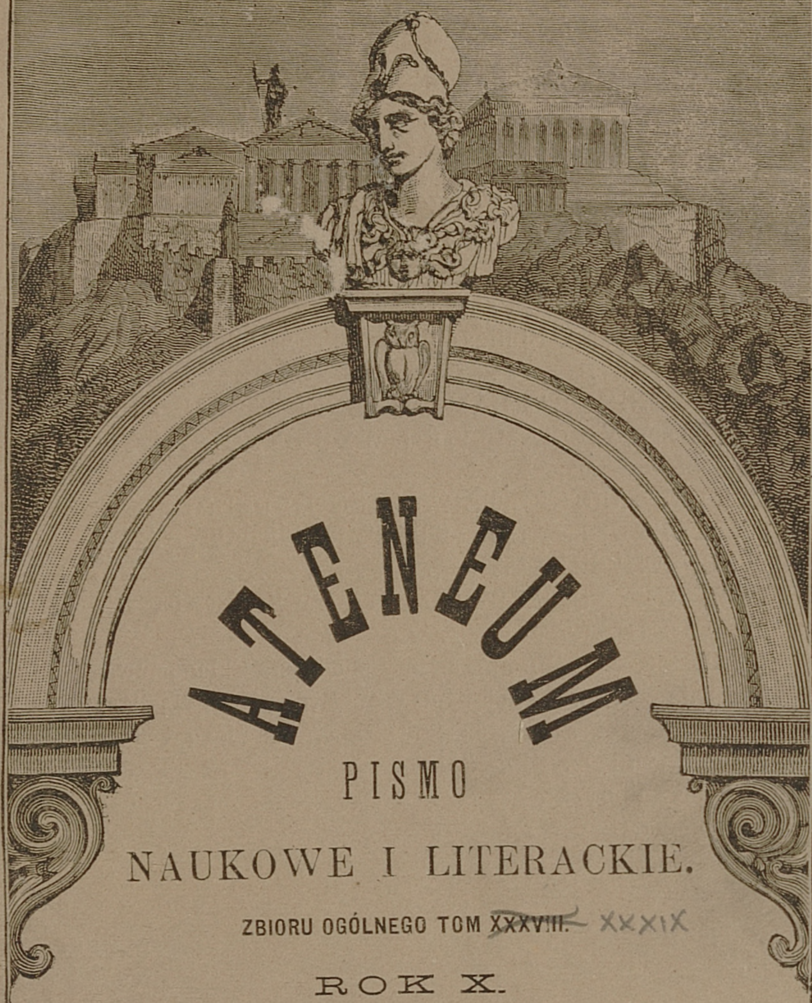


ATENEUM

PISMO

NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM ~~XXXVIII.~~ XXXIX

ROK X.

TOM III. — ZESZYT II.

Sierpień.

WARSZAWA.
Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 23.

1885.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 1 Sierpnia 1885 r.

DZIURDZIOWIE.

POWIEŚĆ.

IV.

Po Stasiuku i Krysieńce urodziła się Halenka, a po Halence przyszedł na świat Jadamek, i czworo już dzieci, z których najstarsze miało lat 6, zdrowo i wesoło hodowało się w chacie kowala, w porze owéj, gdy mieszkańcy Suchéj Doliny rozniecili wśród dróg rozstajnych ogień z osinowego drzewa. Na ogień ten, niby motyl nocny, ku zgubie swéj blaskiem płomienia zwabiony, pierwsza nadeszła Pietrusia. Ona więc była tą duszą złośliwą i nieczystą, która w chatach kilkunastu, mleko krowom odebrała. Gdyby zamiast niéj przyszła tam była kobieta inna, opinia publiczna wioski byłaby także żywo zaniepokojoną i silnemi przeciw niéj podejrzeniami nurtowaną; jednak podejrzeniom tym, towarzyszyć-by mogły wątpliwości niejakie. Dla ustanowienia zupełnéj pewności faktu tego, trzeba było szeregu faktów poprzedzających. Tu nikt zaprzeczyć nie mógł, że przeszłość potężnie wspierała chwilę obecną. To dziecko nieznane przywędrowało tu kiedyś ze starą babą, którą niewiedzieć jaka siła, dobra czy zła, po świecie gnała. Baba widocznie kawał świata obeszła i *znała* tyle, ile wszystkie mieszkanki wsi razem wzięte, nie *znały*. Skąd jéj przyszły te wiadomości wszystkie? A potém oślepła. Czy to nie było czasem karą Bożą za jakie brzydkie postępki, których dopuszczała się kiedyś za oczami ludzkiemi, albo za jakie stosunki z nieczystym? A toż srogie lubienie, jakie uboga dziewczyna, przybłęda, rozbudziła w jednym z najbogatszych gospodarzy, w Stepanie Dziurdzi? A też wyjście za mąż, za chłopca, który sześć lat jéj nie widział, a nie zapomniał? A to odgadnięcie złodzieja? a wszystkież jéj leki i inne porady? Za jéj to przykładem, teraz wszystkie dziewki paliły wienniki, gdy chciały gości do domu sprowadzić;

w skutek jéj ostrzeżenia nikt nigdy nie podjął z ziemi tasiemki związanéj w szereg węzełków, bo zarazby dostał brodawek. Wprawdzie, spory zapas podobnéj mądrości życiowéj istniał w Suchéj Dolinie i w ogóle, w calej okolicy, niezależnie od Pietrusi i przed przybyciem jéj w te miejsca. Wprawdzie, od *dzidów pradzidów* żadna z tutejszych niewiast, w dniach rozdzielających Narodzenie Pańskie ze świętem Trzech Króli, za nic w świecie nie pokręciłaby ni razu wrzecionem, bo by przez to na wiosnę wszelkie ptastwo domowe z zawrotu głów pozdychało; żadna w dzień Podwyższenia Krzyża Świętego nie chodziła do lasu po grzyby i jagody, bo by przez to wszelkie robactwo i gady las zamieszkujące na chatę swą nawiodła; żadna przy żęciu zboża nie upuszczała z pilnéj uwagi tego, aby przypadkiem nie ściąć sierpem kłosów w pewien sposób związanych, lub załamanych, bo związuje je zwykle lub załamuje tak ręka nieżyczliwa, na nieszczęście téj, która je zeżnie. I wiele, wiele podobnych wskazówek i wiadomości, od *dzidów pradzidów* posiadała ludność Suchéj Doliny, ale Aksena i jéj wnuczka, posiadały ich bez porównania więcéj. A to teraźniejsze bogactwo kowala i jego żony? Chata ledwie nie jak domek w jakim takim szlacheckim dworze, wóz jakoby bryczka okuty, klaczka do zaprzęgu tęga, krowy, owce, wszystkiego pełno. A w chacie samowar i łyżki błyszczące i jeden, drugi biały talerz. Małaż to rzecz bogactwa takie? Zkąd oni je mają? Oddawna już Rozalka Stepanowa a za nią i wiele innych kobiet na cały glos dziwi się i wykrzykuje, że kowalicha jak pani jaka, *harbatę* w domu pije, suknie z kupnych perkalów nosi, do kościoła czasem półjedwabną chustkę na głowę zawiązuje, a on sam w spencerach chodzi, surdutach, butach pięknych, czapeczkach zgrabnych, a siermięgi i chłopskiéj baraniéj czapki, to już na nim ani zobaczyć. Rozalka aż wścieka się, a rozlazła Paraska aż płacze, gdy zapytują się samych siebie i sąsiadek: zkąd u kowala i kowalichy tyle bogactwa być może? Sąsiadki, szczególniéj młoda Łabudowa, która Pietrusię bardzo lubi, wspominają coś o tém, że Michałek podobno trochę pieniędzy z sobą przywiózł, a zarobił je swojém rzemiosłem, że i teraz pracowity jest bardzo i ludzie z robotami jak na odpust do niego przyjeżdżają; że kawał ziemi ma urodzajny, że Pietrusia dobrą jest gospodynią itd. Ale Rozalka i Paraska, a z niemi i inne kobiety, wzgardliwie głowami kiwają, a proszącemi oczami spoglądają na Jakóba Szyszkę, który najczęściéj rozmowom tym obecny bywa i uroczyście prostując się, mówi: — *Czort*, wiedźmie przez komin *hrosze* nosi. Ot, skąd u nich te bogactwo

Teraz, stary Szyszko tryumfował.

— A co — mówił, — kto przyszedł na ogień? Kto krowom mléko odebrał?

Wieś była dużą i nie cała zajmowała się tą sprawą. Ale w kilkunastu chatach wrzało wieczoru tego jak w garnku. Mężczyźni dziwowali się i oburzali zarazem, ramionami wzruszali i pięści ściskali, ale jak zwykle bywa, gdy im wódka ust nie rozwiązuje, mówili mało. Babskie języki za to latały jak młyńskie skrzydła: Rozalka ze swemi żywemi ruchami wiewiórki, a syczącemi ustami żmijki, uwijała się między ludźmi po różnych izbach i dziedzińcach wtedy jeszcze, gdy już na godzinę przed północą koguty zapiały. Stepan z dzieckiem na ręku, do pustéj chaty wszedł, ogień rozniecił, łuczywo zapalił i w szczelinę ściany wetknął, a potém, zmarszczoną i srogą twarz swą pochylił nad dzieckiem, które w objęciu jego spało. Czy na prawdę do żyjącego dziecka należała ta niekształtna głowa, lnianemi włosami zrzadka okryta, z twarzą nabrzmiałą i zamkniętemi powiekami, których żółte rzęsy leżały na woskowéj żółtości policzkach. Przy świetle łuczywa, Stepan przypatrywał się téj twarzy. Dla czego syn jego był mizeractwem takiém, kiedy on sam należał do najsilniejszych i najroślejszych chłopów we wsi i całéj okolicy? Wiecznie zgryzotą jakąś ściągnięte usta Stepana, nad samą twarzą dziecka zaszemrały.

— Oj, biedulku ty, biedulku! kiedy ty był w żywocie matki, *baćko* twój bił żonkę, bo *nawidzić* jéj nie mógł... a kiedy ty ledwie od ziemi odrastał, paskudna matka łopatą cię po głowie uderzyła...

Srogość jego twarzy topniała w okrywającym ją wyrazie bólu. Pocałował w czoło uśpione dziecko, ono zbudziło się i rączynami u szyi mu zawisło.

— Tatku, jeść!

Jedném ramieniem przytrzymując je u piersi, drugiém sięgnął w przepaścistą głębinę pieca i wyciągnął z niéj garnek z jakąś ledwie ciepłą resztą krupniku. Wziął drewnianą łyżkę i wlewał nią krupnik w usta dziecka. Część krupniku wylewała się z łyżki i ust dziecka na brzeg pieca. dziecko krztusiło się i śmiało zarazem; Stepan także śród niezliczonych zmarszczek swej twarzy uśmiechać się zaczął. Wkrótce jednak, srogo znowu brwi zsunął i z ust wyrzucił ciche przekleństwo. Dla czego w dostatniej chacie jego panuje niedostatek taki, że ot dziecko swe karmić musi zimną resztką krupniku, a sam głodnym będąc, jeść czego niema? Komora przecież pełna. Tak, ale chata pusta. Dziecko w niéj to jedno tylko a żonka po świecie lata, z językiem wywieszonym jak u suki.—Suka! zamruczał i znowu zaklął. Potém jeszcze do dziecka rzekł.—Oj, żeby *tamta* twoją matką była, nie tak by ty wyglądał...

Po chwili, ojcowskiemi rękami na sienniku ułożone, mizerne dziecko znowu zasnęło a Stepan, przyniesioną z komory kromkę chle-

ba z kawałkiem słoniny zjadłszy, siedział przy ścianie na ławie i drzémał Orał dziś przez dzień cały, tak więc znużonym był, że aż całą swą postacią kołysał się od senności to w tył, to naprzód. Jednak, do snu się nie układał. Na żonę czekał. Byłże to objaw czułości małżeńskiéj? Doświadczyć tego miała Rozalka, gdy na godzinę przed północą, do chaty wracała. Wracała zaś w humorze wybornym. Uszczęśliwiało ją to, że Pietrusię złapano dziś na gorącym uczynku szkodzenia ludziom i że odtąd nie tylko cała wieś ale i Stepan w obrzydzenie ją weźmie najpewniéj. Ta ostatnia nadzieja rozpływała się po jéj wnętrzu namiętną rozkoszą. Ona przecież nie z przymusu i nie z chciwości, ale z lubienia za Stepana poszła. Ostrzegali ją ludzie, że on wielki złośnik. „Już ja jemu dam rady,“ mawiała. „Na złość jest złość i niewiadomo jeszcze, kto kogo przezwycięży. Niechaj bije, byle lubił.“ Aż tu przekonała się, że on jéj nie lubił a pojął ją tylko dla tego, że kiedy matka umarła „gospodyni w chacie konieczną już się stała. Tamtę—to lubił i jak jeszcze lubił. O, gdyby nie bała się kryminału i sądu, byłaby już tę tamtę sto razy zabiła! Ale teraz zabita już ona i tak. Wiedźma ludzi krzywdząca i z nieczystym będąca w zmowie. Teraz, to i Stepan plunie na nią tylko, gdy ją zobaczy. Nadzieja ta uczyniła ją szczęśliwą i bardzo dla męża czułą. Wsunęła się do chaty z cicha i ujrzawszy Stepana siedzącego jeszcze na ławie, jak wiewiórka przyskoczyła, usiadła przy nim i za szyję go ramieniem objęła. Oczy jéj wyglądały jak dwa czarne płomyki, wązkie usta ukazywały w uśmiechu rząd śnieżnych zębów. Na szyję męża ramię zarzuciwszy, chciała przycisnąć się do jego boku, gdy nagle, on pięść podniósł i uderzył ją w plecy tak silnie, że aż z ławy na ziemię kolanami upadła. Zarazem krzyczéć zaczął, zapytując ją, gdzie tak długo siedziała, czemu wieczerzy nie zgotowała, czemu do dziecka nie przyszła? Wtedy ona znowu złością wybuchnęła i zerwawszy się z klęczek a ręce na biodrach oparłszy, zaczęła skakać mu w oczy, zjadliwie śmiejąc się i wołając —Wiedźma twoja Pietrusia! Wiedźma twoja miła! wiedźma twoja lubka najmilsza! wiedźma! wiedźma!

Stepan zerwał się z ławy i za włosy ją porwawszy znowu na ziemię rzucił. W tejże chwili krzyk i łoskot obudził małego chłopczynę, który ujrzawszy rodziców bijących się na środku izby, szybko wysunął się z pod *radna* i cicho, z przestraszonemi ruchami wlazł pod tapczan. Z doświadczenia wiedział o tém, że po każdéj bitwie z mężem, matka porywała go za włosy lub koszulę i jak szczenię na środek izby z pościeli wyrzucała. Ojciec go wtedy najczęściéj na ręce brał i po izbie w ramionach nosił, tuląc i całując, ale czasem, kiedy już był bardzo rozłoszczony, także go nogą kopnął....

Pietrusia tymczasem zaszedłszy do kuźni i chwilkę z mężem pogadawszy, do domu wróciła. Przez ten dzień napracowała się w ogrodzie około pielenia buraków i kapusty, a na godzinkę przed zachodem słońca wybiegła w pole, aby trochę ulubionych ziół swoich narwać. Wiedziała, że w porę jeszcze przyjdzie, aby wieczerzę zgotować.

Dokoła Akseny tymczasem, która przez wnuczkę do ogrodu wyprowadzona, cały dzień na trawie przesiedziała, a teraz już zwykle swe miejsce na piecu zajęła, skupiło się troje starszych dzieci. Najmłodsze spało w kołysce. W zmroku letnim, który napełniał izbę, gwiazdami do niéj przez szyby okien zaglądając, grupa złożona z czterech istot ludzkich różnéj wielkości, ciemniała i poruszała się w zarysach mętnych, pod samym prawie sufitem izby, nakształt grupy cieniów. W ciszy, którą przerywały tylko oddalone stukania kowalskiego młota, chrypiał i szeplenił głos ślepéj baby i jak srebrne dzwonki rozlegały się cienkie głosiki dziecięce. Ona im coś, to z powagą wielką, to ze swym suchym, klekotliwym śmiechem opowiadała; one jéj mnóstwem wykrzyków i zapytań mowę przerywały. Najczęściéj i najśmieléj odzywał się sześcioletni Stasiuk, najmilszy pierworodny ojca, po trochu już pomocnik matki w pielęgnowaniu najmłodszego dziecka, po trochu téż już i opiekun ślepéj babki, którą czasem na piecu karmił a po dziedzińcu i ogrodzie za rękę wodził. Teraz, był on czegoś niezmiernie rozciekawionym i głosem rozpieszczonego dziecka nieustającemi zapytaniami prababkę napastował.

— Gdzie on był, babulko? gdzie Jadamek był nim do naszéj chaty przyszedł? Gdzie on pierwéj był?

Szło mu właściwie o to, zkąd przyszedł najmłodszy braciszek, który przed miesiącem zjawił się w chacie i co on robił przedtem zanim tu przyszedł? Stara śmiała się długo a potém rzekła.

— W lesie Adamek był, w lesie był twój braciszek mileńki, nim tu przyszedł.

— A co on tam robił? zabrzmiało znowu pytanie.

— Zajączki w lesie pasł, odpowiedziała mu babka.

— A ja, gdzie był pierwéj, nim tu przyszedł?

Stara bez namysłu już odpowiedziała.

— Ty na wysokiem, wysokiem drzewie siedział i wronki w powietrzu pasł...

— A ja? a ja? babulko, a ja?

— Ty, Kryśka, na dnie sinieńskiéj wody siedziała i rybki pasła...

— Halenka? Babulko, a Halenka?

— A ja? babulko, a ja, gdzie była?

Widać prababka trzyletnię Helenkę pocałowała, bo po izbie rozległo się głośne cmoknięcie. Potém, ze śmiechem, w którego starym klekocie czuć było rozkosz, odrzekła.

— Halenka w gęstéj trawie siedziała i robaczki pasła...

W tém drzwi stuknęły i po izbie rozszedł się mocny zapach ziół polnych.

— Czy to ty Pietrusia? zapytał w zmroku głos chrapliwy i szepleniący.

— Mama! zadzwonił dziecięcy chór.

— Wszyscy wy tutaj? zapytała wchodząca.

— A wszyscy.

— Adamek śpi?

— A śpi.

— To i chwała Bogu. Ot zaraz ogień rozniecę i kartofli zgotuję, com ich dziś w ogrodzie nakopała.

— Oj, dobre kartofle... młode... z wyraźną roskoszą zaszepleniła babka.

— Dobre... oj, dobre... powtórzył dziecinny chór.

Szeroki ogień zapłonął w piecu i oświetlił izbę, w któréj przez upłynione lat kilka zaszły niejakie zmiany. Ale, były to zmiany na dobre. Więcéj dostatku i więcéj wymysłów. Pomiędzy oknami stała komódka a na niéj dwa mosiężne lichtarze i lampka ze szklannym kominkiem. U okien firanki z kwiecistego perkalu i pachnące geranium całe w czerwonym kwiecie; za szybami szafki białe talerze a na jednéj ścianie kilka obrazków w błyszczących ramkach. Wszystko to Michałek poprzynosił do domu. Gdy tylko gdziekolwiek za interesem jakim pojedzie, zawsze coś ładnego przywiezie do domu, a potém sam, z tych przybytków, cieszy się jak dziecko i żonce cieszyć się każe. Gdyby i nie kazał zresztą, ona cieszyłaby się sama. Oczy jéj kochają się w jaskrawych barwach perkalowych firanek i złotawych połyskach mosiężnych lichtarzy, a jeźli ztąd doświadcza jakiego zmartwienia to tego chyba, że ślepa babka tych wszystkich piękności i wygód, w jakie ona teraz opływa, widzieć nie może. Opowiada jéj o nich za to długo i szeroko i każdą rzecz nowę do pomacania jéj daje. Zresztą, wszystkie stare rzeczy pozostały w téj izbie tak jak i były. Ławy, stoły, statki gospodarskie, trzy krzesła z drewnianemi poręczami, krośna tkackie Pietrusi, w kącie jednym wielki stos różnego żelaztwa i nad nim na ścianie kilka nowych, tylko co w kuźni zrobionych siekier, pił, kruków i szczypiec. Na krośnach tkackich Pietrusia *radno* rozesłała i na nie wysypała z fartucha rozsypane zioła. Potém zakrzątnęła się około wieczerzy; dzieci, niby ptaki z pieca zleciawszy, biegały koło niéj bosemi stopy i szczebiotały te dziwy, które im babula o zmroku opowiadała.

— Mamo! ja na dnie sinieńskiéj wody siedziała i rybki pasła...

— A ja w gęstéj trawie siedziała i robaczki pasła...

— A ja na wysokim, wysokim drzewie siedział i wronki w powietrzu pasł...

— A Jadamek w lesie siedział i zajączki pasł...

Sypiąc kartofle do garnka Pietrusia żartobliwie przekomarzała się z dziećmi, na piecu stara aż zachodziła się od śmiechu, że te *dureńki* tak zupełnie we wszystko, co mówiła, uwierzyły.

W pół godziny potém wrócił do domu kowal. Dzieci ku niemu się rzuciły.

— Tatku, ja w sinieńskiéj wodzie..

— A ja, tatku, na wysokim drzewie...

— A ja w gęstéj trawie...

— A Jadamek w lesie...

Michałek jedno po drugiém na ręce je brał, jak piórka wysoko nad głowę swą podnosił i pocałowawszy, na ziemi znowu stawiał. Szeroko przytém i z przyjemnością widoczną rozpytywał się dzieci, co tam w téj wodzie, w téj trawie i na tém drzewie robiły i kiedy to było. Teraz, stał się on mężczyzną zupełnie już dojrzałym, z ramiony od kowalskiéj pracy szeroko rozrosłemi, z twarzą od opalenia prawie bronzową i wielkim, czarnym wąsem nad łagodnemi usty. Znać w nim było siłę pracownika i powagę człowieka, który tylko od własnéj swéj pracy zależał. Z czarnych oczu jego, gdy dzieci całował i po pełnéj dostatków izbie się rozejrzał, patrzało szczęście. Siadając na ławie, zawołał.

— Zuzulu! zmachałem się przy robocie, mało ręce nie poodpadają! Jeść chcę.

Nigdy prawie inaczéj żony nie nazwał jak *zuzulą*, imieniem tego miłego ptaka, który wesołem kukaniem oznajmia rozkwitłą wiosnę.

— W mig będzie wieczerza! wesoło odparła kobieta i postawiła na stole lampkę z długim kominkiem. Od lat paru Michałek chciał już zawsze wieczerzać przy świetle lampki, łuczywo palili tylko w zimowe wieczory, ażeby w chacie jaśniéj i weseléj było. W mgnieniu oka, dwie małe dziewczynki znalazły się na kolanach ojca, Stasiuk na stole siedział i wszystko troje razem gadało, lecz nikt ich nie słuchał. Pietrusia na stole postawiła misę dymiących się kartofli, bochen chleba i nóż mężowi podała, a potém z sieni przyniosła jeszcze hładysz z kwaśném mlekiem.

Wkrótce po wieczerzy dzieci zasnęły: Stasiuk pod kraciastym kilimkiem na tapczanie, Kryśka i Halenka na piecu obok babki. Ślepa baba przez prawnuka nakarmiona mlekiem i kartoflami, nacałowawszy się prawnuczek i naśmiawszy się z ich szczebiotu i swa-

woli, zabiera się także do rozciągnięcia na piecu starych swych kości, kiedy Pietrusia, myjąc miski i łyżki, odezwała się nagle.

— Aha! jaż wam nie opowiedziała jeszcze, co mnie się dziś przytrafiło...

Przez cały wieczór, zajęta mężem, dziećmi i wieczerzą zapomniała o wszystkiém, co nie było najbliższém i najmilszém jéj otoczeniem. Zresztą, do dzisiejszego swego wypadku małą przywiązywała wagę i opowiadała o nim babce i mężowi ze śmiechem, zwyczajnie jak młoda kobieta, która ma głowę nabitą swojém kochaniem i swemi pomyślnościami tak, że nic z tego, co jéj zdarza, na złe sobie tłómaczyć nie umié. Kowal grubym swym i serdecznym śmiechem śmiał się także i z chłopów, którzy ogień na przyciąganie wiedźm rozniecają, i ze zdarzenia, które na ten ogień żonę jego przywiodło. Ale stara Aksena widocznie zmarkotniała. Wprzódy już kłoniła się była ku swemu posłaniu; teraz siedziała wyprostowana, nieruchoma a kościste jéj szczęki poruszać się zaczęły tak, jak gdyby coś z trudem przeżuwała. Był to u niéj znak niemylny zgryzoty lub troski. Kiedy Pietrusia opowiadać przestała, a wymyte miski i łyżki umieszczała na przybitéj do ściany desce, stara głosem objawiającym głębokie zamyślenie ozwała się z pieca.

— To niedobrze, oj, to niedobrze, że ty Pietrusia, pierwsza na ten ogień przyszła!...

— Głupstwo! zaśmiał się kowal i ręką machnął, ale Pietrusia żywo ku babce twarz zwróciła.

— Czemu? zapytała.

Po chwilowym jeszcze namyśle, baba mówić zaczęła.

— Bo najpierwéj, wiadomo, że na taki ogień *zausiudy* (zawsze) wiedźma przychodzi. To już wiadomo, to już tak musi być, tak już Pan Bóg najwyższy siłę nieczystą ludzkim oczom objawia. To czemuż ty Pietrusia *dzisiaka* (dziś) na ten ogień przyszła? Ręce młodéj kobiety opadły nagle i splotły się na spódnicy. Oczami, które otworzyły się szeroko, na babkę patrzała.

— Czy ja wiem czemu? wymówiła z cicha i usta jéj zdumienie czy przerażenie rozwarło.

— Ot! lekceważąco ozwał się kowal, szła to i przyszła. Szkoda gęby na to marnować!

Ale Aksena nie zważała na sceptyczne odezwanie się Michałka a Pietrusia nawet ich nie słyszała. Z otwartemi wciąż usty, rozszerzonemi oczami patrzała na babkę, która daléj mówiła.

— A druga rzecz jest, że teraz już złe ludzie spokojności tobie nie dadzą. Teraz to już pewno za wiedźmę cię ogłoszą i...

Szczękami gwałtownie poruszać zaczęła i po chwili dopiero dokończyła.

— I niech ciebie już Pan Bóg od wszelkiego nieszczęścia broni.

Tu, ręką jakby z żółtéj kości wyrzeźbioną, uczyniła w powietrzu kilka znaków krzyża; ślepe jéj oczy może od wyprężonego wzniesienia powiek, rażącą białością odbijały śród żółtéj twarzy. Pietrusia, tam gdzie stała, osunęła się i na ziemi usiadła. z rękami wciąż splecionemi i otwartemi usty. Michałek mniéj niż wprzódy lekceważącym głosem burknął.

— Już to i ja od wszelakiego nieszczęścia bronić jéj będę... ale jakie tam z tego może być nieszczęście? Nie daj Boże nieszczęścia!

Widać było, że jakkolwiek do rzeczy podobnych daleko mniejszą niż inni wagę przywiązywał, jednak, gadanie ślepéj baby sprawiało i na nim wrażenie niejakie. Ona zaś, po chwilowém milczeniu, znowu mówić zaczęła.

— Dawno już ja, oj, dawno, na tym świecie żyję, wiele świata schodziłam, wiele ludzi słyszałam i takich słyszałam, co żywemi oczami patrzali jeszcze na stare czasy, takie stare czasy, że o nich już teraz i pamięć pomiędzy ludźmi przepadła.

Ot, kiedy ja z maleńką Pietruśką na ręku, w cudzy świat poszła, to zaszła raz do jednéj wioski, w któréj żył jeden taki stareńki człowiek, że mu już na twarzy zielony mech wyrósł a ludzie mówili, że jemu może i więcéj jak sto lat było. Za młodu on sołdatem podobno był, i we dworach służył i dużo świata schodził, to jak zacznie bywało gadać a rozpowiadać, wszyscy gębę otwierają i słuchają; wszyscy... *ktoby nie był... pany* nawet i bardzo uczone ludzie przychodzą bywało i proszą jego, aby im różne rzeczy gadał.. I ja bywało proszę i słucham... Oj, stary Zachar, stary Zachar! już teraz i kosteczki jego rozsypały się w mogiłce i dusza przed Panem Bogiem stanęła, a to co on gadał i rozpowiadał, *taki* po świecie chodzi, jak żywe... Ot, ja ślepa a jak żywe stoi przed oczami memi to co on o téj wiedźmie rozpowiedział. a słyszał to on sam od swego ojca, który ją już na swoje żywe oczy widział. A mnie teraz to wszystko jakby żywe przed ślepemi oczami stanęło...

Znowu na chwilę mówić przestała. Wspomnienia, które przed ślepemi jéj oczami stały i poruszały się jakby żywe, wyrwały ją z nieruchomości uprzedniéj. Kołysała cienką, kościaną swą postać to w tył, to naprzód i nim znowu mówić zaczęła, parę razy westchnęła głośno. Białe jéj oczy nie świeciły już wśród żółtéj twarzy tak jak przed chwilą, bo przestał padać na nią blask ognia, który powoli przygasając w piecu, rzucał na izbę smugi bladawe kołyszącéj się w zmroku światłości. W jednéj ze smug takich siedziała na ziemi Pie

trusia, z zamkniętemi już usty, ale splecionemi dokoła kolan rękami i niepokojem zmąconą twarzą. Pod drugą ścianą, potężna postać kowala rozpierała się na ławie i stole. Przez oszczędność zapewne zgasił on lampkę, głowę na dłoni oparł i z uwagą słuchał gadania staréj. Słuchał on zawsze bajek jéj i opowieści z uwagą i przyjemnością pewną, płacąc jéj wzajemnemi opowiadaniami o wędrówkach swych po świecie i różnych widzianych i słyszanych rzeczach. Tak im przechodziły dość często niedzielne popołudnie i spore kawały zimowych wieczorów. Teraz, choć spać mu się trochę chciało, słuchał jednak, a ślepa baba, w zmroku zalegającym wierzchołek pieca, chropowatym swym i szepleniącym lecz silnym jeszcze głosem tak prawić zaczęła.

— Była, żyła w siole ludném i bogatém dziewczyna do czerwonéj maliny podobna, słuszna jak ta topolka i taka piękna, że dziwowali się jéj wszyscy ludzie. Parobki młode to wprost już szaleli za nią a i panicze do niéj przychodzili i mówią bywało: „Choć spójrz ty na mnie, Marcysia! Choć razik *ruczku* mnie *swoju* podaj!“ Ale Marcysia nikogo nie chciała, ani chłopa, ani pana. Pójdzie bywało do studni, jak królewna jaka, w spódnicy *stużkami* (wstążkami) naszywanéj, w koralach i bursztynach na szyi, kwiatów sobie pełno we włosy nakładnie i śmieje się tylko ze wszystkich, białe zęby pokazując. I już zaczęli ludzie gniewać się na nią i różnie ją przezywać i bardzo jéj przypatrywać się, co ona takiego robi, że wszyscy do niéj lgną jak te muchy do miodu, a ona sama to nikogo nie chce. Aż tu patrzę, patrzę i widzę, że Marcysia nie zawsze śmieje się i z parobkami albo paniczami baraszkuje, ale czasem téż bardzo pochmurna chodzi, na ludzi zyzem patrzy, do lasu idzie i siedzi w lesie dzień, dwa, trzy dni a jak wróci, potajemnie zioła jakieś warzy, szepcąc nad nimi i dziwne znaki robiąc, a potem już ludziom różnym te zioła do picia daje, od bólów i od kolek i od nudności i od zgryzoty i od wszelakiego ucisku, jaki tylko jest. Byli tacy ludzie, co od niej napoje te kupowali i potém dziękowali jéj i chwalili ją przed wszystkimi, mówiąc, że ona bardzo ciekawa i dla tego wiele rzeczy poznała, a za ciekawością swoją to już i lubienia żadnego znać nie chce. Milsze jéj było ziółko w lesie, niż chłop na dobréj roli albo nawet i panicz we dworze. I byłaby sobie Marcysia spokojnie żyła i swoje robiła, bo nie miała nikogo, coby ją do czegokolwiek przymuszał, a w siole wszyscy już i przyzwyczaili się do tego, że inną sobie była jak wszystkie dziewki. Bywało, mówią o niéj: „z inném sercem i innemi myślami urodziła się.“ I dawali jéj święty pokój. Ale ot, na nieszczęście Marcysi, polubił ją jeden dworski człowiek, *guberner*, czy *pisar*, czy co takiego. A ona z niego żartowała sobie tak jak i ze

wszystkich. Stanie bywało przed kościołem, tam gdzie i on stoi, jak królewna jaka, w spódnicy *stużkami* naszywanéj. w cienkiéj koszuli, w koralach i bursztynach na szyi i śmieje się z *guberne-ra*, białe zęby mu pokazując. On długo cierpiał i *wszystko* ją prosił, żeby go polubiła, aż kiedy zobaczył, że nic z tego nie będzie, w straszną złość wpadł, do miasta pojechał, przed *księdzami* i wielkimi urzędnikami skarżył się, że ot, tak a tak, Marcysia jest wiedźmą. Wtenczas w siole zrobiło się jak w piekle. Pozjeżdżali się *księdzy* i urzędniki wielkie i zaczęli nad Marcysią robić śledztwo. Zebrali z sioła ludzi i pytali się: a co ona robi? a czego ona do lasu chodzi? a co ona szepce, kiedy zioła warzy? a jakie to zioła? a czy do niéj czart w gościnę chodzi? A zkąd u niéj tyle *stużek* i koralów i bursztynów i wszelakich ubiorów jest? Wypytawszy się o wszystko, Marcysi ręce i nogi związali, na wozie ją położyli i do miasta powieźli. A w mieście na rynku pokazali ją wszystkim ludziom i powiedzieli, że to jest wiedźma. Tak i tak, mówili, tak i tak. Nieczystemu duszę swoją chrześcijańską zaprzedała, mówili, z nieczystym w lesie rozmawiała, mówili; nieczysty jéj przez komin *stużki*, bursztyny i wszelakie bogactwa nosił, mówili. A potém na środku rynku, nałożyli dużo drzewa, a potém kat w czerwonéj sukni Marcysię za włosy schwycił i w ogień wrzucił. Ogień buchnął taki wielki, że prawie nieba dostawał a Marcysia paliła się w nim jak ta trzaska, tak okropnie jęcząc, że jęczenie jéj na cały świat rozchodziło się i prawie nieba dostawało, a od jéj ciała, co paliło się w wielkim ogniu, smród rozchodził się po całém mieście, a *księdzy* na chwałę Panu Bogu święte pieśni głośno wyśpiewywali i sam król na tronie siedzący cieszył się i wszyskim ludziom cieszyć się przekazywał, że tak ot, ukaraną jest wiedźma, co duszę swą chrześcijańską nieczystemu zaprzedała...

Umilkła Aksena i głębokie milczenie w izbie zapanowało. Kowalowi, przy słuchaniu opowieści o wiedźmie, wszelka ochota do spania przeszła. Czy wierzył on albo nie wierzył w istnienie dyabłów i wiedźm? Sam dobrze nie wiedział. Po prostu, wesoły temperament i przewaga praktycznych instynktów, skłaniała go do lekceważenia podobnemi zagadnieniami i nawet do wesołych nad niemi żartów. Jednak, opowiadanie takie jak to, które w téj chwili usłyszał, czyniły na nim wrażenie, chwiały silnie jego niewiarę, budziły w nim żywą ciekawość. Tak było z Michałkiem. Co do Pietrusi, ta z wytrzeszczonemi oczyma i zbladłą od przerażenia twarzą słuchała opowiadania babki, gdy była w niém mowa o ogniu, który aż prawie nieba dostawał, wydała z piersi stłumiony okrzyk zgrozy, a gdy usłyszała o smrodzie, który z piekącego się ciała Marcysi rozchodził się po całém mieście, dreszcze wstrząsnęły silne jéj ciałem od stóp do głowy.

W parę minut dopiero po umilknięciu babki, ozwała się głosem tak cienkim i jękliwym, jakim nie mówiła nigdy.

— Babulo! czy ona naprawdę wiedźmą była? czy tylko tak.. złe ludzie na nią wymyślili?..

— To już niewiadomo, z namysłem i powoli odparła Aksena; tego już i stareńki Zachar nie wiedział. Może była, może nie była. Jeżeli była, to u niéj na plecach czerwony znak od czortowskiego kopyta musiał być. Tego znaku ja nigdy nie widziała i Zachar nie widział, ale mówił, że *dzid* jego ojcu jego rozpowiadał, że widział i że tak musi być...

Po chwilowém milczeniu zakołysała się znowu na mrocznym wierzchołku pieca kościana postać ślepéj baby i chropowaty głos zamruczał.

— Oj, stary Zachar, stary Zachar! kosteczki twoje rozsypały się już w mogiłce i dusza twoja przed Panem Bogiem stoi a to, co ty gadał i rozpowiadał *taki* po świecie chodzi jak żywe..

Kowal wstał z ławy.

— At! zawołał, głupstwo! Ja téż dużo świata schodził i niemało widział i słyszał a nigdy nie widział i nie słyszał, żeby gdzie wiedźmę palili. Teraz już tego robić nie wolno. Teraz już tego nie ma. Chodź spać Zuzulu!

Wstała powoli, ciężko jakoś a w wymownych jéj oczach, malował się niepokój. Policzki jéj zbladły nieco i wydawały się mniéj okrągłemi; natężenie myśli twarz jéj wydłużyło. Po kilku minutach zupełna cisza napełniła izbę. Przerwało ją wkrótce głośne chrapanie kowala a prawie jednocześnie ozwał się szelest kroków i ktoś wyraźnie wdrapał się na piec. W ciemności, na wierzchołku pieca, zaszemrał szept.

— Babulo! czy ty śpisz, babulo?

Spała, ale stary sen jéj był bardzo lekkim i do przerwania łatwym. Przywykła zresztą do tego, że śród nocy, budziły ją sypiające przy niéj prawnuczki. Tym razem jednak, obudziła ją nie mała prawnuczka. ale kobieta, która położywszy się przy niéj gorącém ramieniem suche jéj ciało objęła.

— To ty, Pietrusia?

— Ja, cichoż tylko, babulo, żeby Michałka i dzieci nie zbudzić...

— A czego ty tu przyszła? Czy cię kolki tak jak przeszłego roku sparły? Czy Adamek spać ci nie daje?

Przez długo minutę odpowiedzi nie było; potém cichsze jeszcze niż szept uprzedni zaszemrało pytanie.

— Babulo, czy kiedy ja urodziłam się, ojciec i matka nosili mię do kościoła, do chrztu świętego?

— Nu, a jakże? — odpowiedział szepleniący szept staréj — jakżeby ty bez chrztu świętego żyła? Wiadomo, że nosili.

— Babulo, a kiedy ja mała byłam, żegnała ty mnie na noc krzyżem świętym?

— Nu, a jakże? żegnała, każdego wieczora żegnała...

— Dla tego, żeby nieczysty dostępu do mnie nie miał?

— Dla tego, żeby nieczysty dostępu do ciebie nie miał i żeby Pan Bóg najświętszy opiekował się tobą, biedną sierotą...

— Babulo! mnie zdaje się, że ja przed Panem Bogiem niczém ważném nie zgrzeszyła...

Po chwilowém milczeniu stary szept odpowiedział:

— Mnie zdaje się, że ty przed Panem Bogiem taka czysta, jak ta biała *leleja*, co w kościele przed ołtarzem stoi...

Po téj odpowiedzi dało się słyszéć przeciągłe westchnienia ulgi. Potém młode usta zaczęły znowu cichutką rozmowę.

— Babulo! to i czemuż ja dziś na ten ogień przyszła?

Odpowiedzi długo nie było. Zapytanie mieściło w sobie zagadkę, niezmiernie do rozwiązania trudną. Po długiéj chwili dopiero Aksena szepnęła.

— Bo może to i nie wiedźma te mléko krowom odebrała?

— A któż kiedy nie wiedźma?

— Może ropucha...

— Aha!

Ostatni wykrzyk brzmiał tryumfem.

— Pewno ropucha. Ropuchy, kiedy rozgniewają się na ludzi, tak samo mléko krowom odbierają.

— A-le!

— Un, to pewno ropucha.

— A ropucha, bo żeby nie ropucha, toby wiedźma na ogień przyszła... nie ty!...

— A-le. Śpijże z Bogiem, babulo.

— Śpij spokojnie, zuzulo ty moja, śpij....

Nazajutrz była niedziela, a wiadomo, że w niedzielę chłopu i chłopce wszystko na świecie jaśniéj i piękniéj wygląda, bo choć i dnia tego jaką taką robotę dokonać muszą, lecz po jéj dokonaniu nie schylają już twarzy nad zagonem lub tokiem stodoły, nad balią, albo nićmi rozpiętemi na krośnach. Przez połowę dnia najmniéj patrzéć sobie mogą na słońce, niebiosa i wszystko, co z ziemi wysoko wyrasta, chodzić, siedziéć, śmiać się, gadać i śpiewać—co kto chce. Téj niedzieli pogoda była piękna. Pietrusia wody ze studni przyniosła i ogień w piecu rozniecila w téj jeszcze chwili poranku, gdy nad brzozowym gajem jutrzenka rozwinęła różową szarfę, a pierwsze

promienie słońca, z dołu w górę strzelając, złote podszewki dawały liściom ogrodu. Potém nad staw pobiegła i przyniosłszy ztamtąd pęk pachnącego ajeru, rozrzuciła go po podłodze izby, wprzódy już czysto wymiecionéj i białym piaskiem posypanéj. Kiedy kowal obudził się, stara babka na pościeli swéj usiadła i dzieci gwarzyć zaczęły, w chacie od ajeru pachniało jak na łące, przez dwa otwarte okna lały się strugi słonecznych świateł, a Pietrusia, w białéj koszuli, spiętéj u szyi błyszczącym guzikiem, w kwiecistéj perkalowéj spódnicy i czerwonéj chustce na włosach, przed ogniem stojąc, kartofle oskrobywała z łupin, które starannie do cebrzyka zrzucała, aby nie szpeciły niedzielnéj podłogi. Kowal oczy ze snu otworzywszy, spojrzeniem powiódł do koła na żonę, popatrzał, i wyciągając nad *radnem* potężne swe ramiona, a szeroko jeszcze poziewając, zawołał: — Oj, Zuzula ty moja, Zuzula! Ona za całą odpowiedź zaśmiała się głośno i garść łupin kartoflanych tak zręcznie nań rzuciła, że zasypały mu one twarz i piersi. Do samego prawie południa krzątała się po chacie. Pożywieniem obdzieliła całą rodzinę, babkę i starsze dzieci, myła, czesała i w czystą odzież ubierała, malutkiego Adamka piersią swą karmiła i w ramionach kołysała, męża do miasteczka na dzień cały wyprawiając, zaopatrywała go w zapas żywności i o tém, co miał tam nabywać i sprzedawać, rozważnie i po przyjacielsku z nim rozmawiała. Po południu dopiero, Stasiuk w czystéj i kolorowym pasikiem przewiązanéj koszuli, prababkę do ogrodu poprowadził. Malutką swą ręką trzymając jéj żółtą, kościstą rękę, spełniał on czynność przewodnika z powagą i uwagą wielką, z wydętemi wargami, w milczeniu. Stara szła za nim, kijem wciąż ziemi przed sobą dotykając, w samodziałowéj, sinéj kapocie, w płytkiem obuwiu i świątecznym czepcu, którego błyszczący galonik świecił na słońcu dokoła białych jéj włosów. Pod dziką jabłonią, na trawie usiadła, w zwykłéj postawie swéj wyprostowanéj i tak sztywnéj, że czyniła ją ona podobną do figury wyrzeźbionéj z drzewa czy kości. Nie widziała nic, ale czuła ciepłe wietrzyki, muskające jéj twarz i głowę, słyszała szczebiot ptastwa i głosy prawnuków, czuła pod ręką świeżą miękkość trawy. Szeroki więc uśmiech rozciągnął jéj wązkie i bezbarwne wargi a białe oczy zdawały się z natężeniem i rozkoszą wpatrywać w ten piękny świat. Pietrusia wyniosła przed chatę radno, na które wczoraj uzbierane zioła zsypała, i usiadłszy na nizkim kamieniu, tuż przy progu chaty, poczęła dobierać je i gatunkować. W kupki osobne układała czomber, brunelkę, dziewannę, krwawnik, macierzankę i inne jakieś różne trawki i listki. Tą robotą zajęta, od czasu do czasu przyśpiewywała sobie półgłosem, czasem na zioła patrzéć przestawała i wzrok puszczała po pustem polu, na którém

już zboża nie było, a dziś i ludzi nie było. Ciche i drzemiące leżało dziś ono pod złotą płachtą słońca, jakoby na wzór ludzi w niedzielę odpoczywając. Od wsi za to przylatywały gwary, złożone z głosów zwierzęcych i ludzkich; przed karczmą, którą zdala od innych domostw rozróżnić było można, rój ludzi poruszał się i huczał. Pietrusia w stronę wsi patrząc, zmarkotniała trochę. Wąska, kręta ścieżka, która pomiędzy stodołami a opłotkami ogrodów, od wsi do chaty kowala wiodła, pustą dziś była. Tylko usychające w ogrodach konopie wychylały z za opłotków swe rozczochrane głowy, albo wyjrzał przez nie żółty kwiatek piżma, albo kura głośno zagdakała i kogut załopotał skrzydłami i zapiał. Ale ludzkiéj duszy nie było dziś na ścieżce ani jednéj. Przecież, każdéj prawie niedzieli, kobiety z Suchéj Doliny, licznie Pietrusię odwiedzały; jedne po radę przychodziły, inne tak sobie, na pogadankę i z lubienia. Przychodziła tu zwykle w niedzielę młoda Łabudowa i chłopców swych z sobą do Stasiuka przywodziła; przychodziła córka Maksyma Bodruka, którą Pietrusia kiedyś *dziewięcioranką* swą w ciężkiéj słabości ratowała i inne, i inne. Dziś żadna nie przyszła i żonie kowala markotno zrobiło się koło serca.

Niedługi już dzień sierpniowy miał się ku końcowi, słońce bliskiém było zachodu. Teraz, ścieżką wijącą się pod opłotkami powinny przechodzić dziewczęta. Dziewczęta w dnie świąteczne przychodziły do Pietrusi na śpiewanie. Nikt w całéj wiosce nie śpiewał takim silnym i czystym głosem jak ona; nikt tyłu pieśni nie umiał. Bywała zwykle przewodniczką chórów, tych chórów, które każdéj prawie letniéj niedzieli, o zmroku, przed chatą kowala na kamieniach i trawie zasiadały, i aż do późnego wieczora napełniały powietrze rozgłośném śpiewaniem. Dziś, żadna nie przyszła. Słońce już zachodziło, kiedy Pietrusia zobaczyła na ścieżce jedną postać kobiecą, ku chacie jéj zmierzającą. Zdala poznała Frankę, wnuczkę Jakóba Szyszki. Odświętnie niby, ale ubogo ubrana, krępa trochę dziewka, z nieładną lecz hożą twarzą i błyszczącemi, błękitnemi oczami, jękliwym jakimś głosem Pietrusię pozdrowiła i zaproszenia nie czekając, tuż przy niéj na przyzbie usiadła. Dwie kobiety znały się z sobą od lat najmłodszych i często żęły na jednym zagonie, grabiły na jednéj łące, razem śpiewały i w karczmie lub na odbywającém się pod gołem niebem *thryszczu* tańczyły i dokazywały. Wczoraj, gdy kowalowa pierwsza na ogień przyszła, Franka zadumała się o czémś tak głęboko, że nawet na chwilę o bliskiéj obecności Klemensa zapomniała. Z twarzy jéj można było wtedy wyczytać, że coś sobie obmyśliwała, jakieś zamiary i nadzieje w głowie swojéj snuła. Teraz, z temi zamiarami i nadziejami do kowalowéj przyszła i chwilę pomilczawszy, jękliwym głosem zaczęła.

— Oj, biedna ty Pietrusia, biedna! *Wielmi już* ludzie na ciebie nastają. Wykrzykują taj wymyślają....

Kowalowa żywo zwróciła się ku dziewczynie i pytaniami ją zasypała. Co mówią? Kto mówi? Czy i Piotr Dziurdzia także rozgniewany i Piotrowa i Łabudowie i Bodruki? Franka wszystko, co we wsi o Pietrusi gadano, powtórzyła, a potém ramię swe zarzuciła jéj na szyję. Przymilając się, oczy mrużąc, dłonią po twarzy kowalowéj gładząc, zaczęła.

— Ja do ciebie, Pietrusia, z wielką prośbą... kiedy ty taką znachorką jesteś, że możesz ludziom robić i dobrze i źle, to ty mnie poratuj w mojéj wielkiéj biedzie i zgryzocie....

Pietrusia cofnęła się żywo i niechętnie odwróciła twarz rozognioną od gniewu i żalu.

— Jaka ja znachorka! — krzyknęła prawie — idź ty sobie odemnie... nie dokuczaj...

Ale Franka przysunęła się ku niéj jeszcze bliżéj i znowu ją za szyję objęła.

— Nie gniewaj się, Pietrusia, nie gniewaj się ty na mnie... ja nie ze złego serca... oj! żeby ty wiedziała, jaka ja nieszczęśliwa, to już nieszczęśliwszéj chyba na świecie nie ma... Wiadomo, sierota i uboga i tak jak w cudzéj chacie zostająca. Dziadowska chata nie ojcowska... Poniewierają się nademną *dziadźki* (stryjowie) i poniewierają się ich żonki.... Pracuję, haruję, jak ten wół w jarzmie, a dobrego słowa od nikogo nie posłyszę... Jak pobiją się z sobą, to i mnie biją, — a ciągle ten chleb, co u nich jem, wymawiają... Już mnie i życie zbrzydło, i za zgryzotą a płakaniem bożego świata nie dojrzę....

Obu czerwonemi i w istocie spracowanemi rękami twarz sobie zakrywszy, rozpłakała się rzewnie.

Wtedy już Pietrusia sama przysunęła się do niéj i zasmuconym głosem rzekła:

— Wiem, ja wiem, że tobie w dziadowskiéj chacie życie nie słodkie... *Dziadźki* twoje złośniki i pijaki, a ich żonki paskudne.... I nie bogato u was. Ale cóż ja tobie na te twoje biedy poradzić mogę?

— Oj, możesz, możesz, *kab* tylko *chaciela!* — ręce od twarzy odejmując, zajęczała Franka, i oba już ramiona na szyję powiernicy swéj zarzuciwszy, całować ją zaczęła tak zapalczywie, że pocałunkami i łzami swemi oba policzki jéj zwilżyła. Potém całém swém krępem ciałem na ramieniu jéj zwieszona, przez parę minut cichutko jéj coś do ucha szeptała.

Pietrusia uczyniła znów żywe poruszenie oporu i niechęci.

— *Nie chaczu!*—zawołała — nikomu już nic doradzać nie będę, żeby tam nie wiem kto był, nikomu! Dalibóg, nie będę.

Franka szyi jéj z uścisku swego nie puszczała i znowu jéj do ucha na wpół z płaczem, na wpół ze śmiechem coś szeptać zaczęła. Pietrusia powtarzała ciągle: — Nie chcę! nie dam! nie poradzę! pobożyłam się, że nie poradzę! Ale widocznie żal jéj robiło się Franki i ogarniać ją zaczęła ciekawość niewieścia. Odpowiedzi przeczące dawała, jednak szeptu Franki słuchała ze współczuciem i ciekawością.

— A lubiż on ciebie choć trochę? — zapytała.

Dziewczyna mokry od łez policzek na grubéj dłoni wsparła i smutne oczy wlepiając w powiernicę swą, odpowiedziała:

— Bóg że to jeden wiedzieć może, ale mnie zdaje się, że taki troszkę lubi. *Dwa roki* już od tego czasu minęło, jak pierwszy raz mnie zaczepił. Młodzieńka ja byłam wtedy i na żadnego parobka jeszcze ani patrzałam. Aż tu raz pod studnią, jak da mnie ktościś w kark, to aż w krzyżach trzasło. Patrzę, Klemens. Ja mu wody z wiadra wprost w oczy, a on mnie wpół schwycił i po plecach głaszcze. „Ty, Franka — mówi — nie do téj studni przychodź po wodę, ale do tamtéj, co bliżéj naszéj chaty.“ I potém już tak ciągle. Niech tylko gdzie zobaczy, to zaraz zaczepi. Zimową porą *gniłki za pazuchą* przynosił i garściami mnie w fartuch sypał, a ot dwie niedziele temu, z nikim w karczmie nie tańczył tylko ze mną...

— To i dobrze — zauważyła Pietrusia — to znaczy, że lubi...

Dziewczyna wstydliwie oczy ręką sobie zakrywając, cicho odpowiedziała:

— Kiedyż bo innym razem, to miesiąc i dwa i trzy ani na mnie spojrzy, i tak samo inne dziewczęta zaczepia... A tu mnie w chacie taka bieda, że niech Pan Bóg święty obroni. Dziad łaje i *dziadźki łają* i *dziadźkowe żynki* z chaty wygnać chcą. *Idzi w służbu*, mówią, kto ciebie durnę weźmie? mówią; Klemens nie weźmie, mówią; ot już dwa roki, mówią, jak zwodzi ciebie i oszukuje a ty wierzysz...

Ręce załamała i znowu płakać zaczęła.

— Ja i wierzę i nie wierzę...—śród płaczu mówiła,—czyby mnie Pan Bóg takie wielkie szczęście dał, żeby mnie wziął za żonkę syn gospodarski... Oj, szczęście to, takie szczęście, że większego już chyba na świecie niema...

Pietrusię zwierzenia te widocznie wzruszały.

Każdéj żywéj istocie życzliwą ona była, a biadania i pragnienia téj, przypominały jéj przeszłość własną. Franka w obie ręce całować ją zaczęła.

— Ratuj, Pietrusia, ratuj, dopomóż...— jęczała — ja tobie przez całe życie wdzięczną będę.

— Kiedyż bo — wahającym się już głosem zaczęła kowalowa— kiedyż bo, żeby i to.... *baćko* jemu z tobą żenić się nie pozwoli... syn gospodarski... bogaty i taki urodziwy... Słyszę, Pietruk téj zimy do Budrakówny dla niego swaty ma słać...

— Oj, zajęczała, Franka, *kab* tylko on *chaciel*, *kab* tylko on sam *chaciel*, z *baćkiem* już łatwy *jenteres*. On u *baćki* swego prawe oko w głowie, *baćko* świata za nim nie widzi....

— To jest prawda—potwierdziła Pietrusia—on u rodziców tak jak jeden, bo z *durnego* Jasinka mała pociecha...

— *Kab* tylko *chaciel! Kab* naprawdę polubił... wzdychała Franka i znowu ręce kowalowéj całowała, a policzki jéj pocałunkami i łzami swemi moczyła.

Pietrusia namyślała się jeszcze z wielkiego kłopotu, aż chustkę na głowie przekrzywiła, bardzo nie w porę przyszła jéj ta żarliwa prośba przyjaciółki. Lecz serce nie kamień. Istotnie, gdyby Franka za Klemensa wyszła, byłoby to dla niéj takiém samém szczęściem, jak dla niéj było wyjście za Michałka. Istotnie, Piotr był dobrym człowiekiem, syna lubił i możeby bardzo nie sprzeciwiał się jego woli, gdyby on naprawdę miał tę wolę.

— Nu — rzekła— dobrze... babula mnie kiedyściś rozpowiadała o takiém ziółku... Nigdy ja go jeszcze nikomu nie dawałam... ale tobie, cóż już robić? Może i dam. Jeżeli znajdę, to dam, ale nie wiem czy znajdę. Przyjdź dowiedzieć się jutro...

Franka aż na ziemię osunęła się z radości i kolana *znachorki* objąwszy, całować je zaczęła. Potém z ziemi poskoczyła i wyprostowana, obie ręce na kłębach oparła. Była to postawa tryumfująca. Radość i tryumf biły z czerwonéj pucołowatéj jéj twarzy i błękitnych, błyszczących oczu. Zdawać się mogło, że nawet mały, u czoła wklęsły nos jéj stał się więcéj zadartym. Nogą tupnęła i splasnęła rękami.

— Ot ja im wtedy dam, ot ja im wtedy pokażę, i dziadźkom i dziadźkowym żonkom.... Na próg do swojéj chaty nie puszczę... kupnę spódnicę włożę i przed oczami ich chodzić w niéj będę... jak zobaczę, że która chléb je, jedną ręką kiełbasę, a drugą figę jéj pokażę....

Pietrusia aż zachodziła się ze śmiechu z tryumfującéj miny i zawziętych pogróżek Franki. Widoczném było, że dziewczyna daleko mniéj pożądała lubienia Klemensa, niż świetnego losu, któryby dla niéj z małżeństwa tego wypadł. Ale i te także uczucia kowalowa nieco rozumiała i dzieliła. Jéj także, upośledzonéj niegdyś sierocie,

przyjemnie było teraz w kupnéj spódnicy po wsi chodzić i dawnych chlebodawców swych w dostatniéj swéj chacie przyjmować.

— Dobrze, powtórzyła, co robić? Jak tu ludzi nie ratować... kiedy można? przyjdź jutro...

Franka pędem strzały puściła się ku wiosce, pilno jéj było do karczmy, gdzie skrzypce grać już zaczynały i Klemens był pewno. Nazajutrz całkiem już o zmroku, znowu od kowalowéj wracała. Szła tym razem powoli, zamyślona, może trochę rozmarzona i co moment przyciskała ręką coś, co u piersi za koszulą miała. W tém, u końca ścieżki, pomiędzy gęstemi krzakami ostów zarastających brzeg pola, a rosnącą za płotem ogrodu jabłonią, ktoś ją za spódnicę przytrzymał. Zlękła się tak, że aż krzyknęła i żegnać się zaczęła, gdy nagle, w przechylonéj nad płotem postaci poznała Rozalkę. Zwinnie przez nizki płot przeskoczywszy, Stepanowa świszczącym szeptem pytać zaczęła.

— A zkąd ty Franka? Od kowalichy? ty i wczoraj tam chodziła. Nie *bójś*! ja wszystko widzę. A co u kowalichy słychać? Zioła warzy, ropuchy hoduje, czy z czortem rozmawia? ha?

Franka zrazu odpowiadać nie chciała i spróbowała iść daléj, lecz Rozalka znowu za spódnicę ją przytrzymała.

— Czego uciekasz? mówiła; pilno tobie do *dziadźkowych* kułaków i dziadowego łajania? Na, *masz*, siadaj tu i jédz. *Pogadamo.*

W rękę wcisnęła jéj ogórek, chłodny, duży, zielony ogórek i taki sam drugi z za koszuli wyjąwszy na spadzistości pola pomiędzy ostami usiadła. Ofiarowany przysmak zjednał Frankę dla kobiety, względem któréj zresztą żadnych przyczyn do niechęci lub gniewu nie miała. Owszem, Rozalka okazywała jéj nawet niejaką życzliwość i gdy jéj w chacie bardzo dokuczano, ujmując się za nią, ze stryjenkami jéj srodze się raz pobiła. Było to zresztą rzeczą dość prostą. Nie miała nic do zazdroszczenia France a litowała się trochę nad jéj sieroctwem. Obie tedy usiadły pod krzaczystemi ostami i gryząc ogórki, w zmroku szeptać zaczęły. Ogród, przy którym znajdowały się, był pusty, na ścieżce żywéj duszy nie było. Rozalka dopytywała się u dziewczyny, czego do kowalichy chodziła, a Franka, wnet rozrzewniła się znowu nad swoją dolą i jęczeć zaczęła.

— Oj, jaka ja nieszczęśliwa, to już nieszczęśliwszéj chyba na świecie nie ma. Wiadomo, sierota i uboga, tak prawie jak w cudzéj chacie zostająca. I wszystko to samo i tak samo wyjęczała jak godzinę temu przed Pietrusią. Rozalka głową ze współczuciem kiwała a potém zapytała.

— A czego ty do kowalichy chodziła?..

Ale Franka swoje daléj prawiła.

— Bóg że to wiedzieć może, czy on lubi czy nie lubi, ale mnie zdaje się, że taki troszkę lubi. Już dwa roki temu pod studnią jak dał mnie ktościś w kark, to aż w krzyżach trzasło, patrzę... Klemens. Ja mu wodę z wiadra wprost w oczy...

I tak daléj, do końca. Wszystko to samo i tak samo jak przed Pietrusią. Rozalka nie sprzeciwiała się i nie przerywała, po chwili jednak zapytała znowu.

— A czego ty do kowalichy chodziła?

Ale Franka nie wygadała jeszcze wszystkiego, co jak codzienny pacierz, w głowie jéj siedziało.

— A innym razem, jęczała, to miesiąc i dwa i trzy ani spójrzy i tak samo inne dziewczęta zaczepia...

— Czego ty do kowalichy chodziła?

— Ja i wierzę i nie wierzę, żeby mnie Bóg wszechmogący takie wielkie szczęście dał...

— Czego ty do kowalichy chodziła?

Pomimo całéj dyplomacyi, jakiéj w tym razie użyć zamierzyła, Rozalka była już blizką wybuchu. Franka nie wiedząc zkąd i dlaczego w rękę ją pocałowała i palcami z oczu łzy ocierając, zaczęła..

— Ratuj, ciotko, dopomóż,—ja tobie przez całe życie wdzięczną będę...

— Aha! przeciągle wymówiła Stepanowa i oczy jéj w zmroku błysnęły jak dwa płomyki.

— To ty do kowalichy o poradę prosić chodziła...

— Ale!

— Dała jaką?

— A dała... niech jéj Pan Bóg wszystko dobre daje... Rozalka całém swém giętkiem ciałem zwiesiła się na szyi dziewczyny i do ucha jéj prawie szeptać zaczęła śpieszne, naglące, namiętne pytanie. Franka broniła się przez chwilę wstydliwie i z bojaźnią twarz odwracając. Wstydziła się i lękała tajemnicy swojéj. Ale Rozalka obejmując ją jedną ręką, drugą pchała jéj w usta kawałek swego niedojedzionego ogórka a z wielkiéj serdeczności przyginała ją ku ziemi tak, że obie omal położyły się na trawie. Przytém, osypywała ją pieszczotliwemi nazwami gołąbki, zuzuli, robaczka, rybki. Do czułości takich Franka w twardéj, sierocéj swéj doli przyzwyczajoną nie była. Pochlebiało jéj, że w ten sposób obchodzi się z nią kobieta starsza i gospodyni chaty zamożnéj. W rękę Rozalkę pocałowała, ciotką ją nazwała i znowu skarżyć się i lamentować zaczęła. Rozalka ją pocieszała, pocieszanie wciąż zapytaniami przeplatając, a gdy po upływie godziny, powstały obie z ziemi, czarne oczy Stepanowéj,

pomimo zmroku świeciły radością i tryumfem. Wydobyła już z dziewczyny wszystko o czém wiedzieć chciała i nagle pozostawiając ją śród ostów stojącą, pędem strzały ku wiosce pobiegła. Bez tchu prawie biegła przez uciszoną już ulicę wiejską, aż u wrót chaty Piotrowéj stanęła. Miała zrazu widoczny zamiar wpadnięcia tam nakształt burzy i wygadania wszystkiego, o czem się dowiedziała. Nagle przecież, w głowie jéj powstał plan inny. Teraz, o niczém jeszcze nikomu nie powie, a wtedy dopiero, gdy w rodzinie Piotra stanie się bieda, gdy Klemens z Franką koniecznie żenić się zażąda a ojciec temu sprzeciwiać się będzie, gdy pomiędzy ojcem i synem wybuchnie kłótnia i niezgoda, ona przyjdzie do nich i powie kto temu wszystkiemu jest winien. Ciekawa to rzecz, co uczyni wtedy Piotr, który za nic nie zgodzi się na to, aby syn jego żenił się z dziewczyną byle jaką i w dodatku, ze złodziejskiéj chaty pochodzącą. Sam nie kradł nigdy i wnuczki złodzieja za synowę mieć nie zechce. Oj, będzież tu będzież w téj chacie kłótni i zgryzoty wszelakiéj! oj, będzież za to będzie kowalisze od Piotra i wszystkich porządnych ludzi. Dadzą już wtedy, o! dadzą téj, która jéj życie popsuła, przez którą ona mężowskiego lubienia nie zaznała, a na całém ciele tyle ma sińców, ile jest gwiazd na niebie. Niech by bił, ale lubił. I nie lubi i bardzo bije, a wszystko przez tę...

W zmroku, przed chatą Piotrową stojąc, zapłakała, fartuchem oczy otarła i powoli daléj iść poczęła. Czegóż pośpieszać miała? Wszak wiedziała z góry, co ją w domu czeka. Z rana dziecko zachorowało a wiadomo, że kiedy dzicko zachoruje, Stepan swą żałość w srogą złość przemienia i na niéj ją spędza. Jakby ona temu winną była, że dziecko urodziło się takie, nijakie. Wprawdzie, kiedy dwa lata miało, grzmotnęła je raz łopatą w głowę, tak że od rozumu odeszło i na kilka niedziel zaniemówiło. Ale, czyż ono od tego słabe jest i nierozgarnięte? Gdzie tam? Taka już jéj we wszystkiém dola *pohana*—i tyle!

(*d. c. n.*) *Eliza Orzeszkowa.*

O DRUGORZĘDNYCH ŹRÓDŁACH MIŁOŚCI.

Mówiąc o źródłach miłości, rozumiem wszelkie wpływy, warunkujące pojawienie się uczucia z danym stopniem natężenia, w danéj postaci, danym czasie, odnośnie do danego przedmiotu; a więc zarówno czynniki tkwiące w organizmie, jak i wszelkie bodźce zewnętrzne. Do głównych źródeł miłości zaliczyć należy, ze względu na podmiot: stan fizyjologiczny ogólny, jako pewną energią odżywiania, i specyficzny—organów miejscowych; ze względu na przedmiot—ogół czynników, stanowiących o t. z. wyborze, a podciągnąć się dających pod zasady: kontrastu, powinowactwa i ideału panującego w pewnéj grupie ludzi. Rozpatrując się jednak w wypadkach konkretnych, łatwo zauważyć, iż momenty powyższe nie zawsze wystarczają do objaśnienia zjawisk, że nie są one jedyne, że działają obok nich pewne czynniki uboczne. Rola tych czynników drugorzędnych zasadza się na tém, że określają one bliżéj działanie pierwszych, a niekiedy wprost je nawet krzyżują. Zbieg okoliczności wytwarza niekiedy takie położenia, że czynniki główne stoją w stosunku do siebie niejako neutralnym, wzajemnie się równoważą i znoszą, albo wskutek po prostu zbyt małego natężenia i innych jeszcze nieprzyjaznych im okoliczności nie dają rezultatu: i tu otwiera się pole dla czynników drugorzędnych, które przeważają obojętną szalę.

Momenty miłości drugorzędne mają to do siebie, iż z pozoru nie są w żadnym bliższym związku z naturą tego uczucia, to téż zazwyczaj pomijane bywają w zwykléj obserwacyi, która zatrzymuje się wyłącznie prawie na czynnikach głównych. Aby jednak ocenić udział drugorzędnych źródeł w procesie uczuciowym, rozjaśnić wprzód musimy niektóre zasadnicze pojęcia.

I.

Większość ludzi własne swe stany podmiotowe, wrażenia i uczucia uważa za cechy, tkwiące w przedmiotach: piołun wedle tego mniemania jest gorzki sam przez się, ogień na kominku mieści w sobie przyjemne ciepło i t. p.; tymczasem rzecz to widoczna, że czucia te są czysto subjektywne, wobec tego samego przedmiotu różne u różnych istot, zależne od obecności pewnego organu nerwowego i od chwilowego stanu tego organu.

Jako mimowolny wniosek z powyższego błędnego założenia, wyprowadza się i ten, choć mniéj widocznie, lecz równie niedokładny pogląd, że dana forma uczucia, popędu wzbudzoną i zaspokojoną być może tylko przez pewien przedmiot określony, którego szczególne cechy uważają się właśnie za przyczynę owego uczucia lub popędu. A jednak, jak przedtém tak i tutaj, istotnym momentem jest organ dla danego uczucia przysposobiony, t. j. przysposobiony tak, że zachodzące w nim zmiany molekularne wydają tylko dane uczucie, niezależnie od tego, przez co zmiany te wzbudzone będą.

Ażeby doświadczyć pewnego wrażenia, uczucia, — w pewnych granicach obojętnym jest bodziec, przedmiot, ważném jest przedewszystkiem, ażeby istniał organ nastrojony do téj specyficznéj działalności. Widoczném to już jest w zakresie wrażeń zmysłowych. Narząd wzrokowy daje zawsze czucie światła, niezależnie czy jest pobudzonym przez drganie eteru, ucisk mechaniczny lub elektryczność; na tylnéj powierzchni języka wywołać można wrażenia smakowe przez uderzenie, prąd elektryczny. O ile objawia się *potrzeba* patrzenia, smakowania i t. p., zaspokojoną ona być może przez wrażenia od bardzo rozmaitych przedmiotów pochodzące.

Jaśniéj jeszcze fakt ten okaże się w zakresie uczuć, w których przeważa charakter podmiotowy, przyjemności lub przykrości. Mamy tutaj organa takie, które czynne są tylko od czasu do czasu z przerwami; w chwilach przeciągającéj się nieczynności, wchodzą one w stan automatycznego pobudzenia, czyli objawiają czynność, którą poznajemy, jako uczucie braku, pożądania: organa te, spontanicznie wyprzedzając niejako swą funkcyą normalną, zazwyczaj warunkowaną i poprzedzaną przez działanie bodźca, w ten sposób okazują nam, jak dalece sam przyrząd nerwowy, odpowiednio przystosowany, stanowczą rolę odgrywa we wszelkich zjawiskach psychicznych, niezależnie od takiego lub innego bodźca. Weźmy dla przykładu *instynkt towarzyski* i instynkt *przyjmowania pokarmów*. Odpowia-

dają im dziedzicznie dla tych funkcyi przysposobione przyrządy nerwowe, aparaty ośrodków sympatycznych mózgowych i mózgowo-rdzeniowych. Pierwsza faza tych uczuć, którą nazywamy wogóle *potrzebą*, w szczególności tęsknotą, apetytem, głodem, polega na têm, że aparaty przed pobudzeniem zaczynają w słabym stopniu swą czynność spontanicznie; ponieważ czynność ta jest niedostateczną, bywa też niekiedy w wysokim stopniu przykrą i pobudza organizm do szukania odnośnych bodźców, przedmiotów. Te zaś przedmioty, dla zaspokojenia potrzeby, czyli dla podniesienia funkcyi do należytego poziomu, nie potrzebują posiadać jakichś cech specyficznych i wyłącznych; w granicach, jakie zakreśla pożytek, samozachowanie organizmu, organ może być pobudzonym, uczucie zadowolonêm przez jakikolwiek przedmiot. Tak dla popędu towarzyskiego, gdy jest dość natężony, obojętnêm jest wogóle jaki to będzie osobnik, który obecnością swą popęd zaspokoi; dla instynktu odżywiania się czyli dla głodu przydatnym jest i przyjemnym wszelki pokarm. Jak w jednym tak w drugim wypadku istotną granicę dla tego wyboru kładzie jeden tylko wzgląd, mianowicie cel samozachowania, dla którego właśnie wytworzonym i przystosowanym został dany przyrząd nerwowy, i ku któremu zmierza subjektywne uczucie potrzeby: instynkt odżywiania może być zaspokojony przez jakikolwiek przedmiot, byleby ten mógł być asymilowanym przez tkankę organizmu—tu bowiem celem jest odnowa materyi; instynkt towarzyski zadawalnia się obcowaniem z jakimkolwiek osobnikiem, byleby on należał do tego samego gatunku lub blisko pokrewnego, gdyż celem tego instynktu jest zabezpieczenie osobnika przez życie w gromadzie istot, mających z nim wspólne cele.

Podobnie twierdzić można i co do *instynktu płciowego, miłosnego*. Przyrząd nerwowy, pobudzony przez zmiany ustrojowe, daje nam subjektywne uczucie potrzeby, żądzy; wszystkie późniejsze fazy procesu, rozkosz i t p., tkwią już potencyalnie w przyrządzie nerwowym, w postaci siły napiętéj, jako pewne związki molekularne o równowadze nader niestałéj, gotowe za najlżejszym a bardzo rozmaitym bodźcem przeobrazić się w siłę żywą, t. j. pewną sumę ruchu i ciepła, pod względem objektywnym i pewnego uczucia pod względem subjektywnym. Jak wiele znaczy w całym procesie organ i jego stan siły napiętéj, a jak względnie małoważną jest natura bodźca zewnętrznego, to szczególniéj dobrze widzieć możemy na tym właśnie instynkcie miłosnym. Aparat nerwowy, wszedłszy w stan dostatecznie natężony, przedstawia już w sobie wszystkie prawie warunki uczucia jako takiego; stopień jego siły napiętéj tak podnieść się może, że dla jéj wyzwolenia wystarczy bodziec najlżejszy i przy-

tém często zupełnie wewnętrzny, ustrojowy, nic wspólnego niemający z normalnym bodźcem zewnętrznym: przyrząd funkcyą swą w całości wypełni i da nam uczuć jednocześnie właściwy stan podmiotowy, jak to widzimy mianowicie w odnośnych zjawiskach snu a niekiedy i czuwania. Chociaż nawet siła napięta aparatu nie dojdzie do poziomu, któryby powodował jéj spontaniczne wyzwolenie, to jednak, przy zadawalniającym stanie zdrowia i odpowiedniém wypoczęciu organu, zazwyczaj dość bywa znaczną, ażeby uledz działaniu bodźca jakiegokolwiek, do pewnego stopnia niezależnie od jego tych lub innych właściwości. Do pewnego stopnia — gdyż tu, jak w poprzednich wypadkach, przydatność bardzo różnych przedmiotów dla zaspokojenia instynktu zamkniętą jest w granicach, jakie wyznacza cel danego instynktu. A więc dla zaspokojenia instynktu płciowego przydatnym jest w zasadzie każdy osobnik, byleby posiadał odpowiednią cechę płciową, gwoli zadosyćuczynienia celowi—zachowania gatunku.

O ile rzecz idzie o przebieg procesu czysto zmysłowy, t. j. gdy po obudzeniu się żądzy następuje mniéj więcéj bezpośrednio zaspokojenie, wniosek powyższy jest dość powszechnie uznany i prócz nieznacznych zastrzeżeń, może być w całości przyjęty. Wątpliwości powstają dopiero, gdy przejdziemy do wyższych form uczucia, które występują już i u zwierząt, lecz całéj pełni dosięgają u człowieka. Gdy wskutek jakichkolwiek powodów niemożliwém się staje lub utrudnioném natychmiastowe zaspokojenie instynktu, między momentem pierwszym – wejściem narządu specyalnego w stan napięty, uczuwany albo nieuczuwany wyraźnie jako potrzeba, a momentem końcowym—zaspokojeniem potrzeby, wstawia się okres pośredni—usposobienia, pragnienia, pożądania. Podczas tego to okresu pośredniego, krócéj lub dłużéj trwającego, zachodzi złożony proces psychiczny, który u wyżéj rozwiniętych osobników wypełnia przeważną treść t. z. wogóle *miłości*, a który właściwiéj będzie przyjąć za jednoznaczny z tém, co zwykle się nazywa *tęsknotą miłosną i zakochaniem.* Otóż podczas tego pośredniego okresu, proces nerwowy rozpoczęty w ośrodkach niższych aparatu nerwowo-płciowego, wzmagając się w natężeniu i promieniejąc coraz wyżéj, za pośrednictwem prawdopodobnie nerwu pneumo-gastrycznego, albo pewnych ośrodków rdzeniowych okolicy lędźwiowéj, oddziaływa na ośrodki mózgowe, mianowicie ośrodki zmysłów specyalnych w *sensorium commune* i t. d., które leżą na korze. Doszedłszy do tych ośrodków, wzbudza w nich nowy proces molekularny i powoduje albo niezwykłe podniecenie ich wrażliwości dla pewnych przedmiotów, albo nawet, gdy jest silniejszym, i uświadomienie się pewnych gotowych wyobrażeń.

Wskutek tego człowiek w pierwszym wypadku staje się czułym na powaby płci, kochliwym, w drugim—wymarza sobie ideał, t. j. pewien przedmiot nieokreślony, odpowiedni dla instynktu. Otóż powstaje pytanie, czy i tutaj, w zakresie tego procesu psychicznego, mamy prawo przyjąć to, cośmy stwierdzili odnośnie do procesu czysto zmysłowego, mianowicie równą przydatność przedmiotów, skądinąd bardzo rozmaitych; t. j. czy możemy przyjąć, że w warunkach tylko co wymienionych człowiek staje się równie wrażliwym na każdy przedmiot bez różnicy, że jest zdolnym do wymarzenia lub zakochania się w każdym przedmiocie bez różnicy, byleby tylko ten przedstawiał cechę przydatności płciowéj?

Panujący w tym przedmiocie pogląd i powierzchowna obserwacya faktów każą odpowiedziéć przecząco. Jeżeli instynkt na stopniu czysto zmysłowym zaspakajać się może jakimkolwiek przedmiotem, byleby odpowiednim celowi, to na tym stopniu rozwoju, na którym przyłącza się do instynktu moment idealny, t. j. miłość, zakres przydatnych przedmiotów zdaje się niezmiernie ograniczać. Ażeby dany osobnik mógł zaspokoić swój instynkt w formie idealnéj miłości, przedmiot, zdaje się, posiadać musi pewne szczególne cechy, bez których okaże się dla instynktu nieprzydatnym. Widzimy, iż dany osobnik zostaje obojętnym względem wielu przedmiotów, lecz zapala się miłością wobec jednego; dany przedmiot, który budzi i zaspakaja w zupełności miłość jednego osobnika, jest obojętnym dla wielu innych. Instynkt w przebiegu swym zdaje się tu być zależnym od określonych właściwości przedmiotów, którym nie wystarcza już ogólna cecha przydatności płciowéj: między przedmiotami posiadającymi tę ogólną cechę, dokonywa się jeszcze pewien *wybór*. Jednėm słowem w całym procesie budzenia się i zaspakajania instynktu, punkt ciężkości zdaje się być przeniesionym z organizmu, gdzie tkwił w momencie zmysłowym, do przedmiotu, a przynajmniéj zdaje się być równomiernie rozdzielonym między podmiotem i przedmiotem. Czyż byśmy mieli tutaj do czynienia z procesem, różnym od tego, jaki nam wskazuje analogia w zakresie innych instynktów np. odżywczego i towarzyskiego i jaki stwierdziliśmy w samym instynkcie płciowym na stopniu jego zmysłowym? Zobaczmy, czy dla takiego zróżnicowania się bezwzględnie przydatnych przedmiotów, nie da się odnaleść analogicznych objawów i w innych instynktach?

Przyjęliśmy, że instynkty: odżywczy i towarzyski, jak i odpowiadające im uczucia, mogą być zaspokojone przez bardzo rozmaite przedmioty, w granicach tylko głównego celu — zachowania indywiduum lub gatunku. Jest to twierdzenie prawdziwe *w zasadzie* i na

ogół wypadków. Lecz rozpatrując się bliżéj w konkretnych wypadkach, łatwo zauważyć, że nawet w tych ogólnych granicach, różne przedmioty w niejednakowym stopniu dla zaspokojenia instynktów są przydatne. Wprawdzie niejednakowa ta przydatność nie objawia się prawie wcale tam, gdzie instynkt jest silnie natężony, niemniéj jednak przy słabszym jego stopniu wyraźnie występuje. Tak odnośnie do przyjmowania pokarmów, trafiamy na indywidualne gusta i wstręty, zależne od wieku, konstytucyi, w części od przyczyn, wcale nieznanych. Nierównie to częstszém i bardziéj stanowczém jest w instynkcie towarzyskim: osobiste sympatye i antypatye do różnych osób, w normalnych warunkach zacieśniają tu dość znacznie pole, na którém instynkt może znaleść zaspokojenie; trzeba dopiero by doszedł do niezwykłego natężenia, ażeby towarzystwo pewnych osób mogło potrzebie jego zadość uczynić, np. gdy długoletniemu więźniowi sprawi przyjemność nawet obecność dozorcy i t. p. Widzimy więc w tych objawach wyraźnie zboczenie od przyjętéj przez nas ogólnéj zasady o bezwzględnéj przydatności przedmiotów, zboczenie analogiczne do tego, jakieśmy znaleźli w postaci idealnéj instynktu płciowego. Cóż powoduje te zboczenia?

Co do instynktu odżywiania, to przyczyna jest od razu widoczną: różnice ustroju, składu chemicznego tkanek u różnych osobników, wymagają niejednakowego sposobu odżywiania, potrzebę niejednakowych substancyj, i co za tém idzie, subjektywne pociągi i wstręty do pewnych pokarmów; na tym więc punkcie zboczenie nie jest wyjątkiem z zasady, lecz jéj szczególnym przypadkiem: różne pokarmy w różnym stopniu służą celowi— zachowania danego indywiduum. Powtóre, jeżeli osobnik z przyczyn ubocznych zaspakajał instynkt częściéj tym rodzajem pokarmu, niżeli innym, jeżeli taka wyłączność powtórzyła się przez kilka pokoleń (co przy pewnych warunkach gleby lub klimatu łatwo miejsce mieć mogło w życiu pierwotném), to aparat nerwowy urabiał się w szczególny sposób, przystosowywał się dla danego rodzaju pokarmu, który odtąd nabierał większéj zdolności zaspokajania instynktu, a ze strony subjektywnéj stawał się przyjemniejszym: każdy nowy osobnik z danego szeregu pokoleń przynosił już na świat pewną wrodzoną idyosynkrazyą pokarmową lub smakową. Przyczyny te, które, zdaje się, dostateczne są do wytłómaczenia nielicznych zboczeń w sposobie zaspokajania instynktu odżywczego, w zakresie innych instynktów, np. towarzyskiego, miały daleko szersze pole oddziaływania, to też spowodowały tutaj i liczniejsze zboczenia. Zauważmy, że ze względu na genezę instynktu towarzyskiego (potrzeba wzajemnéj pomocy w chwytaniu zdobyczy, wspólnéj obrony lub napadu na nieprzyja-

ciela), ilość pierwiastków anatomicznych, wchodzących w skład aparatu tego instynktu, jest większą niż ilość tychże pierwiastków w aparacie instynktu odżywiania: a gdy ilość pierwiastków, które mają być we właściwy sposób pobudzane do swéj funkcyi i zaspokojone, jest większą, to i większem być musi prawdopodobieństwo, że znajdzie się wiele przedmiotów, które niezdolne będą pobudzić i zaspokoić odpowiednio wszystkie owe pierwiastki, czyli w miarę wyższéj złożoności instynktu zmniejszy się liczba przedmiotów bez różnicy przydatnych dla tego instynktu. Zauważmy daléj, że w instynkcie odżywiania druga przyczyna zboczeń, przyzwyczajenie się osobnika do pewnych pokarmów i dziedziczenie tych przyzwyczajeń, znacznie mniéj miała pola niż w instynkcie towarzyskim: w saméj rzeczy, w pierwszym wypadku instynkt (głód) objawia się nagle i zaspokojenie jego nie może być bezkarnie odkładaném na czas dowolny, a wskutek tego osobnik często musi tworzący się dopiero indywidualny pociąg lub wstręt przezwyciężać, zaspakajając głód pierwszym lepszym pokarmem i w ten sposób uniemożliwia swobodny rozwój i dziedziczenie swojego pociągu lub wstrętu. Instynkt towarzyski, przeciwnie, nie objawia się zazwyczaj gwałtownie, nie domaga się natychmiastowego zaspokojenia, które owszem, może być bezpiecznie na czas pewien odroczone. Stąd rezultat taki, że jeżeli osobnik wskutek jakichś przyczyn ubocznych często zadawalniał swój instynkt obcowaniem z osobnikiem o pewnych właściwościach, to rodzące się stąd przyzwyczajenie, przystosowanie szczególne aparatu, może on rozwijać swobodnie i w dalszym ciągu utrwalać i przekazywać dziedzicznie; nic mu zazwyczaj nie przeszkadza zawsze zaspakajać instynkt odpowiednio do indywidualnych sympatyj lub antypatyj, choćby te zrazu były nawet słabo zaznaczone. Idzie zatém, że w sferze takiego właśnie instynktu na którymś z dalszych szczebłów rozwoju znajdą się liczne i wyraźne zboczenia od ogólnéj zasady, że zakres bezwzględnie przydatnych dla instynktu przedmiotów okaże się bardziéj ścieśnionym, aniżeli w sferze instynktu gwałtownego i naglącego, jak np. instynktu odżywiania.

Przyczyny, które we wskazany sposób powodowały zboczenia w bezwzględnéj przydatności przedmiotów dla instynktu odżywiania i w wyższym jeszcze stopniu w instynkcie towarzyskim, działały również ograniczająco, choć w sposób nieco odmienny i bardziéj skomplikowany, i w sferze instynktu płciowego. Dla różnych osobników różne przedmioty okazywały się niejednakowo pożytecznemi i celowemi, jeśli nie ze względu na samo zaspokojenie instynktu, to ze względu na skutki w potomstwie: na téj więc drodze rozpoczęło się określone brakowanie przedmiotów wedle praw *doboru naturalnego*.

Zazwyczaj przypadkowe w innych instynktach przyzwyczajanie się i przystosowywanie aparatu nerwowego dla niektórych tylko przedmiotów, tutaj systematycznie wspieraném było i utrwalaném dziedzicznie przez *dobór płciowy*. Widzimy, iż czynniki, które w innych instynktach działały na ograniczenie bezwzględnéj przydatności przedmiotów tylko przypadkowo i doraźnie, tutaj wpływały stale i w określonym kierunku; to też gdy wynikłe stąd zboczenia, indywidualne predylekcye, wstręty i pociągi w innych instynktach, są stosunkowo rzadkie i nie dają się podciągnąć pod żadną ogólniejszą zasadę, w instynkcie płciowym są one jasno uwydatnione, możemy dojrzyć w nich pewnéj prawidłowości i uogólnić je. Wszystkie prawie objawiające się tutaj osobnicze pociągi i wstręty, pewne miłosne idyosynkrazye, podchodzą i tłómaczą się albo przez zasadę częściowego kontrastu i częściowego powinowactwa osobników—jako dziedziczony rezultat doboru naturalnego, albo przez zasadę panującego w danéj grupie społecznéj ideału — jako rezultat doboru płciowego.

Czynniki te, których wytworzenie się i utrwalenie umożliwia dopiero t. z. wybór, a połączone działanie w każdym wypadku rozstrzyga o wyborze, wpływają tutaj w tak szerokim zakresie, że wydają się niemal koniecznymi, ażeby zaspokojenie instynktu przynajmniéj w formie idealnéj wogóle miejsce miéć mogło. Powiedziałem „wydają się“, gdyż zbyt przecenilibyśmy wpływ tego nowego czynnika wyboru, uznając go za bezwzględnie konieczny dla zaspokojenia instynktu nawet w formie idealnéj miłości. Określony wybór, jak widzieliśmy, jest rezultatem rozwoju. O ile zaś wiemy skądinąd, rozwój w sprawach psychicznych nie polega na rugowaniu niższych organów i czynności, w celu zastąpienia ich wyższymi, lecz raczéj rozwój w sferze téj polega na tém, iż do organów i czynności niższych, pierwotnych dołączają się stopniowo organa i czynności wyższe; pierwsze nie usuwają się z ogólnego mechanizmu, lecz po większéj części tylko podporządkowują pod drugie. Wyższe i późniejsze utwory otrzymują znaczenie przeważne i stają się regulatorami, miarkującymi i zawiadującymi czynnością niższych. Widziéć to można bardzo wyraźnie na ośrodkach rdzeniowo-mózgowych. Porównawcze badanie okazuje, iż rozwój układu zwojowego od form niższych do wyższych uskutecznia się w taki sposób, że nowe zwoje wytwarzają się i dołączają do poprzednich, bynajmniéj nie usuwając ich i nie zastępując; tak, iż w typie najwyższym, np. u człowieka znajdujemy prócz jemu tylko właściwych ośrodków, także i ośrodki identyczne lub analogiczne z temi, które istnieją u typów niższych, czyli człowiek zachowuje wraz z organami i zdolność funk-

cyj właściwych niższym typom. Zwoje niższe i wcześniejsze z rozwinięciem się wyższych i późniejszych, zajmują względem tych ostatnich stanowisko podrzędne i podległe, to znaczy, iż czynność ich lub nieczynność, kierunek czynności i jéj zakres (stopień) zależne się stają od wpływu ośrodków wyższych, które, ze względu na to ich znaczenie nazywamy w stosunku do niższych koordynującemi lub tlumiącemi.

Przy takim stanie rzeczy, jeśli wpływ ośrodków koordynujących w jakikolwiek sposób, t. j. przez ich niedostateczne rozwinięcie od urodzenia, wycięcie sztuczne, zatrucie lub po prostu wyczerpanie (zmęczenie), zostanie zobojętniony lub usunięty, otrzymujemy w skutku samoistne i spotęgowane działanie ośrodków niższych. Usunięcie półkul mózgowych powoduje spotęgowanie czynności odruchowéj rdzenia. U mikrocefalów (idyotów) w parze z niedostatecznóm rozwinięciem półkul i zdolności umysłowych, idzie i nadmierna popędliwość ruchowa, np. wielka skłonność do naśladownictwa, a także wzmożenie się i przewaga niższych instynktów zmysłowych: jedzenia, płciowego. Zauważmy nadto, że wszelkie wpływy, ujemnie działające na prawidłową czynność układu nerwowego, uderzają przedewszystkiem na ośrodki wyższe, późniejsze i znoszą tém samém ich funkcyją, oszczędzają zaś do czasu ośrodki niższe, które przy tém, jak to wypływa z poprzedniego, wchodzą w stan spotęgowanego pobudzenia i zdolne się stają do większéj czynności. Senność znamionuje się ustaniem wyższych czynności umysłowych— uwagi, rozumowania, i spotęgowaniem, zwłaszcza u dzieci, czynności odruchowéj. Osłabienie, zmęczenie nerwowe powoduje t. zw. rozdraźnienie, które jest właściwie podniecóną zdolnością odruchów i przypuszcza względną nieczynność wyższych ośrodków. W chorobach umysłowych i niektórych nerwowych (paraliż ogólny) zaburzenie występuje najprzód w funkcyach bardziéj złożonych, tych, które w rozwoju pojawiły się najpóźniéj, jak zdolność drobnych i skomplikowanych ruchów organu głosowego, palców (1). Otrzymujemy zatém wnioski następujące:

1) Rozwinięcie się wyższych organów i funkcyj nie usuwa organów i funkcyj niższych, wcześniejszych, lecz tylko poddaje je pod wpływ i kontrolę wyższych; 2) z ustaniem tego wpływu ośrodków wyższych, ośrodki i funkcye niższe, pierwotne odzyskują znaczenie

---

(1) „W rozstroju nerwowym ustaje najprzód czynność przyrządów, które się rozwinęły najpóźniéj. Wpływ ich albo wcale znika, albo objawia się zbyt późno, aby przeciwdziałać przyrządom niższym.“ *H. Spencer*, *Zasady psychol.* — Porów. nadto: *Ferrier*, *De la localis. des maladies cérébr.* p. 142 i *Ribot*, *Les maladies de la vol.* p. 151 i nast.

samoistne i przeważne i 3) wszelkie czynniki, ujemnie działające na prawidłową czynność całego układu, powodują naprzód rozstrój w ośrodkach i funkcyach wyższych, późniejszych, znoszą ich wpływ tłumiący i koordynujący względem ośrodków niższych i przez to otwierają tym ostatnim pole do działania samoistnego w sposób im właściwy.

Przenosząc wnioski te na zajmujący nas przedmiot, orzec możemy *a priori*, że i w sferze instynktu miłosnego: 1) wytworzenie się z biegiem rozwoju wyższych przyrządów i przysposobień określonego wyboru nie zniosło przyrządów i przysposobień, zawiadujących zaspokajaniem instynktu niezależnie od wyboru; że 2) ile razy wpływ wyższych przyrządów nerwowych wyboru z jakichkolwiek powodów zostanie zobojętniony, niższe przyrządy instynktu funkcyonować będą w sposób im właściwy, t. j. na zasadzie bezwzględnéj przydatności przedmiotów, posiadających cechę główną; że 3) wszelkie warunki ujemnie wpływające na prawidłowy przebieg funkcyi miłosnéj, spowodują rozstrój przedewszystkiem w przyrządach wyższych, najpóźniejszych, najsłabiéj zintegrowanych, które właśnie warunkują określony wybór, wskutek czego działać zaczną swobodnie przyrządy niższe, powodując zaspokojenie instynktu na zasadzie równéj przydatności przedmiotów.

Jeśli teraz rozważymy, o ile stosunki rzeczywiste odpowiadają powyższemu wywodowi, to zgodzić się będziemy musieli, że w saméj rzeczy zasada wyboru miłosnego, jakkolwiek na pierwszy rzut oka wydaje się konieczną, bynajmniéj w całym procesie istotną nie jest; uznamy, iż nie mogła ona zapanować na całym obszarze zjawisk, że owszem, obok niéj w wielu wypadkach musi pozostać czynną zasada przeciwna, t. j. zasada bezwzględnéj przydatności przedmiotów w granicach głównéj cechy.

Przedewszystkiem, zasada wyboru, zależna jest od długiego i systematycznego działania pojedynczych czynników, a zatém pojawienie się jéj możliwém jest wogóle tylko na wyższych szczeblach rozwoju, gdy tymczasem na stopniach niższych panować musi wyłącznie prawie zasada równéj przydatności różnych przedmiotów. Powtóre, uważając nawet gatunek w wyższém stadyum rozwoju, nie możemy jeszcze przyjąć, że w każdym szeregu pokoleń składających dany gatunek, owe czynniki przygotowujące wybór miłosny, działały równie konsekwentnie i stanowczo, i że dały wszędzie równie wyraźny rezultat; czyli twierdzić musimy, że przy wyższym nawet rozwoju, w każdéj grupie znajdować się muszą indywidua, niemające żadnych wybitnie zaznaczonych miłosnych predylekcyj, takie indywidua, które na tym punkcie nie doszły niejako stopnia roz-

woju, osiągniętego przez inne, może większość osobników tejże grupy. Indywidua te obojętne, które nie mają żadnych wyraźnych. świadomych bądź nieświadomych sympatyi lub antypatyi dla osób, w zaspakajaniu swego instynktu nie kierują się żadném poczuciem świadomém. ani nieświadomém kontrastu, podobieństwa lub ideału, dla nich zatém moment wyboru nie istnieje i teraz jeszcze, wszystkie przedmioty w granicach głównego celu równie są przydatne dla zaspokojenia ich instynktu i uczucia. Pomijając wyjątkowe osobniki w tym rodzaju ze sfery oświeconéj, ten stan rzeczy przyjąć można jako zwykły w najniższéj klasie ludności, w któréj istotnie wybór miłosny nieznaczną tylko rolę odgrywa. Następnie, jeśli weźmiemy jakąś daną chwilę rozwoju, to zdarzyć się może, że te przystosowania aparatu nerwowego, osobnicze pociągi i wstręty, kryterya wyboru miłosnego, które stopniowo wytworzył dobór naturalny i płciowy, okazać się mogą wskutek zmiany warunków zewnętrznych (np. sposobu życia wojowniczego na przemysłowy i t. p.), niedostatecznemi, lub zgoła szkodliwemi, i oto dobór jeden i drugi wykonać będą musiały pewien zwrot, przybrać nowy kierunek, i zanim ten nowy kierunek ustali się i wyda skutki wyraźne, nastąpi chwila pewnego zamieszania i wahania się. Podczas takiego to okresu przejściowego, gdy dawniéj zdobyte predylekcye i ideały miłosne zatrą się i utracą moc oddziaływania, nowe zaś jeszcze nie wytworzą lub nie nabiorą dostatecznéj siły kierowniczéj, wszelki wybór miłosny we właściwém znaczeniu staje się nader chwiejnym, w niektórych wypadkach wcale niemożliwym i miejsce jego w odpowiedniéj mierze zajmuje zasada: równéj, w granicach głównego celu, zdolności każdego przedmiotu do zaspakajania instynktu. Wreszcie, pomijając nawet te przypadki wyjątkowe, t. j. biorąc stan rzeczy, jaki ma miejsce w wyższém stadyum rozwoju u osobników dostatecznie dla wyboru miłosnego przystosowanych i w chwili nie zwrotnéj, przejściowéj, ale normalnéj, znajdujemy, że i przy tych względnie najkorzystniejszych warunkach, zasada wyboru może miéć tylko ograniczone a nie powszechne zastosowanie. Zaznaczywszy, że i u najbardziéj nawet rozwiniętych osobników, moment instynktu zmysłowy, związany z ośrodkami niższymi i pierwotnymi, zaspokoić się może niezależnie prawie od właściwego wyboru, zwróćmy się do momentu idealnego.

Ażeby przyjąć możność wyboru wogóle i działanie składających się nań czynników, przypuścić trzeba dwie rzeczy: dostateczną liczbę przedmiotów, śród których wybór ma być dokonany i, powtóre, umiarkowany stopień natężenia popędu. Co do pierwszego, to biorąc całą grupę, rzadko tylko przytrafić się może brak bez-

względny przedmiotów wyboru np. kobiet w nowych społeczeństwach, w koloniach itp.; ale zato dla pojedynczych osobników z danéj grupy okazuje się bardzo często brak przedmiotów względny, np. wskutek rodzaju pracy, życia samotnego itp., a przy takim względnym braku, zdarzać się może niejednokrotnie, że w liczbie przedmiotów danych, nie znajdzie się ani jeden, względem którego mógłby dokonać się wybór prawidłowy, odpowiedni indywidualnéj idyosynkrazyi miłosnéj osobnika, czyli że tutaj zasada wyboru wcale czynną nie będzie. Skutkiem takiego położenia jest naprzód to, że instynkt zostaje chwilowo niezaspokojony, że niezaspokojenie to przeciągnie się może czas znaczny. Zrazu instynkt milczy i wzbiera nieświadomie, potém objawia się głuchém pragnieniem i tęsknotą, aż dojdzie do niezwykłego stopnia natężenia, czyli wystąpi druga z wymienionych wyżéj okoliczności przeciwnych wyborowi, okoliczność, która uniemożliwiać go będzie nawet wtedy, gdy ustąpi pierwsza tj. gdy się zwiększy liczba przedmiotów wyboru. W saméj rzeczy, działanie wyboru wymaga czasu i to nie dlatego, by tu szło o jakieś świadome poznanie i ocenę przedmiotu; owszem, proces ten dokonywa się zazwyczaj zupełnie nieświadomie, instynktownie. Ale w każdym razie koniecznėm jest postrzeżenie szeregu różnych przedmiotów, z których jeden instynktownie bywa wybrany; lecz umysł nie może postrzegać i uświadamiać wielu przedmiotów naraz, musi postrzegać je kolejno, w czasie; tymczasem, instynkt wysoko natężony objawia się gwałtownie, domaga nagląco zaspokojenia i tak nastraja umysł, iż ten zatrzymuje się na pierwszym zaraz przedmiocie postrzeżonym, lub jednym z pierwszych, wprzód nim inne przesunąć się mogły przez pole świadomości. Jak w instynkcie odżywiania zwykły jego charakter naglący uniemożliwiał wogóle wytworzenie się określonéj zasady wyboru, tak i w instynkcie miłosnym, gdy z jakichkolwiek powodów objawi się ów charakter naglący, paraliżuje on wpływ wyboru, już wytworzonego i w innych wypadkach czynnego.

Widzimy przeto, że w sferze instynktu miłosnego, konsekwentne działanie doboru naturalnego i płciowego, spowodowało zróżnicowanie przedmiotów, ze względu na zdolność ich zaspakajania instynktu, czyli do całego procesu wprowadziło czynnik wyboru, obcy, przynajmniéj w takim zakresie, innym instynktom. Ale widzimy jednocześnie, że czynnik ten i tutaj nie zapanował na całym obszarze zjawisk, że w wielu przypadkach okazuje się zupełny brak koniecznych dla niego warunków, czyli że w tych razach zaspokojenie instynktu dokonać się musi niezależnie od jakiegokolwiek właściwego wyboru, a zatém wedle zasady pierwotnéj i ogólnéj, w myśl któréj

każdy przedmiot, posiadający cechę główną, równie jest zdolnym zaspokoić instynkt tak w jego formie zmysłowéj, jak i formie idealnéj. Przypadków tych, w których działa pierwotna zasada równéj przydatności przedmiotów, znaleźliśmy pięć: zbyt niski poziom rozwoju niektórych gatunków, niedostateczny na tym punkcie rozwój niektórych osobników w danym gatunku, chwile przejściowe w życiu gatunku, brak względny lub bezwzględny przedmiotów dla wyboru i natężenie instynktu do stopnia żądzy gwałtownéj i naglącéj. Ilekroć wystąpi jedna z tych okoliczności, osobnik zaspokoi swój instynkt, albo, gdy idzie o postać idealną, człowiek poczuje dla pewnego przedmiotu miłość, która nie da się wytłómaczyć żadnym z czynników właściwego wyboru, kontrastem, powinowactwem, odczuciem ideału. Skoro więc w wypadkach takich nie działa ani przeciwieństwo, ani powinowactwo ani wpływ ideału, ani też jakiś inny jeszcze możliwy czynnik właściwego wyboru, jako siły prawidłowéj i konsekwentnéj,—to jakież są przyczyny, które powodują w każdym szczególnym przypadku, że instynkt zaspokaja się, albo że człowiek kocha się raczéj w tym przedmiocie, aniżeli innym? Działają tutaj właśnie wpływy, które nazwałem drugorzędnemi źródłami miłości, i do rozpatrzenia których przystąpię.

II.

Specyalny aparat nerwowy, pobudzony przez procesy ustrojowe, przychodzi do stanu siły napiętéj, niestałéj, czyli okazuje się bardzo pochopnym i skłonnym do czynności. Stan ten rozprzestrzenia się i na dalsze drogi, udziela się i skojarzonym, być może organicznie, z aparatem specyalnym, ośrodkom zmysłów wzroku, słuchu, powonienia i pewnym ośrodkom pojęciowym, wyobrażeniowym; ośrodki te podobnież stają się niezmiernie pobudliwemi dla szczególnych bodźców. Albo ze strony subiektywnéj, człowiek staje się skłonnym postrzegać przedewszystkiém pewne szczególne przedmioty, uświadamiać szczególne wyobrażenia, mianowicie przedmioty i wyobrażenia, będące w związku z instynktem miłosnym, zdolne instynkt ów realnie lub idealnie zaspokoić. W myśl przyjętéj wyżéj zasady, i przy okolicznościach uniemożliwiających wybór, zdolność tę, w granicach głównego celu, posiadają wszystkie przedmioty w równéj mierze. Ale pomimo tego instynkt (żądza, popęd), dążąc do zaspokojenia się, musi bądź co bądź zatrzymać się na jednym z przedmiotów: inaczéj bowiem rozpraszając się i przenosząc po kolei na wszystkie lub wiele z nich, nie mógłby posłużyć za impuls dla

woli, a przez to chybiałby swojego celu, uniemożliwiałby zaspokojenie. Wola objawić się może tylko odnośnie do pojedynczego, konkretnego przedmiotu, tj. wtedy tylko, gdy w umyśle utrwali się jakieś jedno określone wyobrażenie, które posłuży za bezpośredni impuls dla ruchów, dążących do osiągnięcia danego celu. Tak więc nieokreślona żądza musi się zatrzymać na określoném wyobrażeniu, musi się wcielić w jedno. Różne postrzeżenia i wyobrażenia dążą do zatrzymania na sobie żądzy, określanéj przez uczucie uwagi; toczą one z sobą walkę o byt; przypuszczamy, że zrazu szanse dla wszystkich są jednakowe, że przy innych równych warunkach tj. o ile nie działają wpływy uboczne—czynniki właściwego wyboru,—każde z nich ma równą dążność do wcielenia w siebie bezprzedmiotowéj jeszcze miłości.

Otóż w takiém położeniu, zwycięży w walce o byt, to z wielu postrzeżeń i wyobrażeń, które okaże się silniejszém, i ono zatrzyma na sobie błądzące marzenie, skupi uwagę, utrwali się, jako stały impuls woli, czyli ono stanie się przedmiotem miłości. A więc, skoro w tych warunkach o wyborze miłosnym stanowi względna siła postrzeżeń i wyobrażeń, to pośrednio o wyborze tym roztrzygać będą wszystkie te wpływy, które powodują większą lub mniejszą siłę różnych postrzeżeń i wyobrażeń. Widzimy zatém, że w razie zobojętnienia wyboru właściwego, o takim lub innym sposobie zaspokojenia instynktu roztrzygają czynniki uboczne i nie mające zazwyczaj nic wspólnego z naturą, ani celem danego instynktu.

Jakież to są te uboczne, drugorzędne czynniki, powodujące niejednakową siłę postrzeżeń i wyobrażeń?

Jak warunkiem świadomości wogóle jest zmiana we wrażeniu, tak stopień świadomości zależy od *stopnia zmiany, różnicy*: im większą jest różnica między danėm postrzeżeniem lub wyobrażeniem a innemi, które są z niemi współczesne lub bezpośrednio je poprzedzają, tém większy stopień świadomości towarzyszy owemu postrzeżeniu lub wyobrażeniu, czyli poprostu, są one tém silniejsze. Przy innych równych warunkach, przedmiot, który się różni od reszty bardziéj, niż którykolwiek inny, który powoduje w stanach świadomości żywą i nagłą zmianę, daje tém samém silniejsze postrzeżenie. Takie to właśnie postrzeżenie, dlaczegokolwiek różne, nowe, oryginalne, wobec dążącego do wcielenia się instynktu, zdobywa przewagę nad wszystkiemi innemi stanami, i staje się przedmiotem uczucia. Miłość, która już tkwiła w człowieku, jako siła napięta, bądź tylko jako nieświadome usposobienie, zdolność, bądź jako świadoma tęsknota, pragnienie, budzi się teraz, lub określa i zatrzymuje na danym przedmiocie, który zdołał czémkolwiek wyróżnić się od innych. Wiado-

mo, jak dalece w miłości, zwłaszcza u kobiet (1) popłaca niezwykłość, oryginalność; najbardziéj są one obojętne dla ludzi szablonowych i przeciwnie, doświadczeni w tych rzeczach podają zgodnie, że aby im się podobać, często dość jest być lub tylko *wydawać* się innym od wielu. Zresztą, co do oryginalności, to należałoby w każdym szczególnym wypadku uwzględnić, o ile z tém pojęciem wiążą się pewne pojęcia i domniemania uboczne, w rodzaju tych, że oryginalność jest znamieniem piękna, podniosłości ducha itp.: o ile to ma miejsce, na powstanie uczucia działałaby już nie prosta zmiana we wrażeniu, lecz czynnik ideału danéj grupy społecznéj.

Wszystko, co zwiększa zmianę, różnicę we wrażeniu, udzielając siły postrzeżeniu, zwiększa szanse przedmiotu stania się wcieleniem miłości; a więc jakieś niezwykłe otoczenie, jaskrawe światło, wyjątkowe okoliczności, śród których przedmiot się zjawia itp. Na powstanie miłości Słowackiego („W Szwajcaryi"), jeśli uwzględnimy obok tego podniecone romantyczną naturą usposobienie miłośne, nie było bez stanowczego wpływu zjawienie się kochanki nagłe i w niezwykłem otoczeniu.

„Gdzie Aar wody błękitnemi spada....
Tam ją ujrzałem! i wnet rozkochany,
Że z tęczy wyszła i z potoku piany,
Wierzyć zacząłem i wierzę do końca.
Tak *jasną* była *od promieni słońca*!
Tak pełna w sobie anielskiego *świtu*!
Tak *rozwidniona* źrenicą z błękitu!
Gdy oczy przeszły od stóp do warkoczy,
To zakochały się w niéj moje oczy!"

Inne możliwe w tym razie wpływy, czynniki właściwego wyboru, są tu poniekąd wyłączone przez tę okoliczność, że poeta znał dawniéj już Maryą W. a zostawał obojętnym.

Rzecz widoczna, że wrażenie zyskuje dużo na różnicy, zatém na sile i żywości, jeśli zjawia się *pierwsze* w szeregu innych wrażeń, gdy człowiek wychodzi ze stanu dłużéj trwającéj nieświadomości, np. omdlenia, snu. Osoba (rozumie się, posiadająca cechę główną), którą chory, otwierając oczy po długiéj nieprzytomności, pierwszą ujrzy, miałaby duże szanse zbudzenia dla siebie miłości, gdyby nie to, że w takich razach wskutek choroby obniża się zazwyczaj znacznie poziom napiętéj siły instynktu. Zato sen, działając wzmacniająco na

---

(1) Uwagi te, o ile przeciwnie nie zaznaczam, odnoszą się tylko do uczucia męskiego; uczucie kobiece przedstawia niejakie różnice, które należałoby bliżéj jeszcze zbadać.

organizm, wywiera skutek przeciwny: po śnie normalnym i spokojnym człowiek, *caeteris paribus*, jest zdolniejszym do miłości i bardziéj kochliwym niż przedtém, a wpływa na to nietylko ogólne zwiększenie sił, ale i to, że specyalny aparat nerwowy często właśnie podczas snu wchodzi w stan większego pobudzenia. To téż osoba, którą pierwszą ujrzymy po przebudzeniu, łatwo wzniecić może dla siebie miłość, stać się przedmiotem dla gotowego już w człowieku i napiętego uczucia. Objaw ten nie uszedł uwagi Szekspira, który uwydatnił go w „Śnie nocy letniéj,“ w stopniu zapewne nieco przesadnym. Demetryusz i Lyzander pałają miłością to dla Heleny to dla Hermii, stosownie do tego, którą z nich każdy postrzega pierwszą po przebudzeniu. Co do czynników, które rządzą procesem fizyologicznym podczas snu i powodują ukazanie się raczéj téj osoby niż innéj, to mechanizm ich jest tak powikłany i trudny do obliczenia, iż w saméj rzeczy poczytanym być może za dzieło przypadku i przyrównany do jakiegoś nadprzyrodzonego wpływu duchów, jak to właśnie czyni poeta.

Jeśli ze sfery zewnętrznego postrzegania przeniesiemy się do wewnętrznéj dziedziny wyobraźni, to znajdziemy, że i tutaj nieokreślony popęd miłosny zatrzymuje się i wciela w to *wyobrażenie, które wyróżnia się*, odbija od innych. Spotęgowany popęd wyszukuje sobie niekiedy przedmiotu nie śród osób obecnych, postrzeganych, ale z zasobu wyobrażeń, wspomnień. Siła wyobrażenia zależy zwykle od siły pierwotnego wrażenia, tak iż, gdy instynkt miłosny zwróci się do zasobów pamięci, to wydobywa z nich i przyswaja sobie ten właśnie przedmiot, który niegdyś zrobił na umyśle najsilniejsze wrażenie i który teraz jeszcze wydatnieje pośród innych wyobrażeń. Zdarza się w saméj rzeczy, iż poczuwszy silniejszą tęsknotę i pragnienie miłości, zwracamy się do wspomnienia i zaczynamy marzyć o osobie, która czemkolwiek się dla nas zaznaczyła, choćbyśmy dla niéj pierwotnie nie doznawali żadnego uczucia.

Niekiedy wyobrażenie, powstałe z wrażenia niezbyt silnego, wzmocnić się może wskutek innych przyczyn, np. snu. Marzenia senne tém się cechują, że pojedyncze wyobrażenia, występując na tle znieczulenia zmysłów i umysłu, nabierają szczególnéj siły i żywości, i takie właśnie wyobrażenie osoby, które z przyczyn ubocznych pojawi się we śnie, zdolne jest bardziéj od innych stać się przedmiotem napiętego uczucia. Dość jest śnić o pewnéj osobie, ażeby ją pokochać. Wprawdzie niekiedy bywa tutaj odwrotny stosunek przyczyny i skutku: osoba śni się dlatego, żeśmy ją już nieświadomie pokochali, ale ten wypadek, przy uważnéj obserwacyi, odróżnić można od drugiego, w którym obraz osoby pojawia się we śnie z przyczyn

ubocznych, przypadkowych, a dopiero jako skutek marzenia sennego budzi się uczucie dla téj osoby.

Wrażenia i spostrzeżenia, niezależnie od swych różnic zewnętrznych, przedmiotowych, zyskują zawsze na sile, jeśli noszą pewien *charakter uczuciowy*. Przedmiot, którego postrzeżenie wchodzi do umysłu w towarzystwie pewnego żywszego uczucia, ma większą szansę zbudzić lub zatrzymać na sobie uczucie miłości, aniżeli przedmiot, dający postrzeżenie zupełnie obojętne. Rodzaj towarzyszącego uczucia jest tu prawie wcale obojętny. Wogóle, najgorszym prognostykiem dla miłości, jest to, jeśli osoba robi wrażenie obojętne; jakiekolwiek uczucie, choćby zrazu niekorzystne, lepszém jest niż żadne. Przypadki takiego wpływu są dość różnorodne i interesujące; widzimy z nich, iż niekiedy miłość, jakby niepewna przyjęcia we własnéj postaci, maskuje się w najrozmaitszy sposób, podchodzi nas ukradkiem i gdy człowiek ani chciałby słyszyć o niéj, postrzega ją dopiero, gdy weszła jaką boczną furtką i opanowała go już w zupełności.

Jeśli z pewną osobą prowadzimy częste i *interesujące dla nas rozmowy* np. w przedmiocie ulubionego zajęcia, nauki, to rozmowy te późniéj w różnych okolicznościach przypominają się, a z nimi i wyobrażenie owéj osoby, które w ten sposób utrwala się w umyśle, bardziéj niż inne, i przy innych sprzyjających warunkach stać się może przedmiotem samorodnie budzącéj się miłości; tém łatwiéj, jeśli w rozmowach tych dotknięte było żywiéj uczucie miłości własnéj, zadowolonéj lub upokorzonéj.

Dla niektórych powodem miłości być może *obrażona duma* i *próżność*. Jeśli mężczyzna jest śmiałym, pewnym siebie przywykłym do łatwych powodzeń i względów, a tymczasem dana kobieta okazuje mu obojętność albo i lekceważenie, to porusza w nim ambicyą zdobywcy serc i myśl jego zatrzymuje się uparcie na téj osobie. Na mężczyzn znów nieśmiałych, skromnych obojętność taka bynajmniéj nie działa: przywykli do niéj, zbyt mało się w tym względzie cenią, by mieli do czegoś więcéj pretensyą; dla nich właśnie potrzeba wypadku przeciwnego: zachowania się kobiety, któreby różniło się od tego, co spotykać ich u kobiet zwykło. Wszelki objaw sympatyi, względów, które im kobieta okaże pierwsza, budzi w nich zrazu przyjemne zdziwienie, potém uczucie *wdzięczności*, które już przy innych równych okolicznościach przejść może w miłość dla tejże osoby. Przebieg taki obserwować możemy i w uczuciu kobiecém i to z odmiennym rezultatem, stosownie do tego, czy mamy do czynienia z kokietką, czy kobietą skromną i nieambitną.

Za wstęp do miłości posłużyć może niekiedy *współczucie*, *litość*. Częstem to bywa szczególniéj u kobiet, z natury tkliwych i współ-

czujących; wszelki pozór nieszczęścia, niesprawiedliwego upośledzenia, głębokich smutków i cierpień, budzi w nich litość, żal i utrwala w umyśle wyobrażenie osoby, która w ten sposób osiąga przewagę nad wszystkiemi współczesnemi. Don-Juani wiedzą, iż dobrze okazywać się kobietom nieszczęśliwym, cierpiącym. U mężczyzn współczucie doprowadza także do miłości, ale w odmiennych nieco warunkach. Mniéj skłonny do litości, mężczyzna w objawach nieszczęścia często dojrzy tylko słabość i niedołęstwo, od którego się odwraca. Ale jeżeli się zdarzy tak, iż sam spowodował cierpienie a jest uczciwy, szlachetny, dumny i wogóle zdolny do współczucia to uczuwa *wyrzuty sumienia* i litość nad ofiarą; tak, jeśli wyrządził kobiecie krzywdę, upokorzył ją, znieważył w przystępie rozdrażnienia, i czuje, że niesłusznie, to wyrzuca sobie postępek, przedstawia zadane cierpienie—czyli myśli często i żywo o sobie i przygotowuje z niéj w ten sposób przedmiot dla tkwiącego w nim, nieświadomie, w każdéj chwili mogącego się żywo uświadomić nieokreślonego pragnienia.

Za impuls dla wcielenia się miłości w określony przedmiot służy niekiedy *zazdrość*, i to nie zazdrość miłosna, która, jak wiadomo posiada w wysokim stopniu zdolność podniecania i ożywiania już istniejącego uczucia, ale taka, która wiąże się z zawiścią dla jednéj określonéj osoby, i którą uczuwamy, rywalizując z tą osobą na różnych polach. Choćby nam zrazu nic nie zależało na względach jakiejś osoby, gdy widzimy że zdobywa u niéj powodzenie nienawistny nam skądinąd współzawodnik, zaczyna nas to drażnić, niepokoić, czujemy jakby urazę, nawet gniew dla osoby, która okazuje się przychylną naszemu rywalowi. Ale tém samém właśnie wyobrażenie jéj nabiera siły i utrwala się w umyśle. Podobna nieco sytuacya, choć na innéj zasadzie, wytwarza się i wtedy, gdy uczucie objawiane przez kilka osób dla jednego i tego samego przedmiotu, oddziaływa zaraźliwie na innych. Widok, że ten i ów kocha się w danéj osobie, podaje nam obraz téj właśnie osoby, jako mogącéj być przedmiotem miłości, ustanawia w naszym umyśle skojarzenie między tkwiącém w nas nieokreśloném, może nawet nieświadomém uczuciem a wyobrażeniem téj osoby. Przy gotowém usposobieniu, przy częstem obcowaniu z osobami, doznającemi pewnego uczucia, uczucie to ma własność promieniowania niejako od człowieka do człowieka. Tak też bywa i w danym wypadku. Kokietka zazwyczaj tylko pierwszych wielbicieli zdobywa własną pracą, późniejsi rekrutują się z osobników bardziéj wrażliwych lub próżnych, na których oddziaływa widok szaleństw i zabiegów pierwszych.

Nierzadkie są przykłady, w których motywem wcielenia się miłości są uczucia wprost jéj przeciwne—*gniew* lub *nienawiść*. Osoba, która nas drażni, oburza, wyprowadza z cierpliwości, wywołuje wybuchy gniewu, za każdym razem wywiera na umyśle silne wrażenie; obraz jéj żywo się pamięta i przedstawia, często powraca w świadomości, w pewnym zakresie wypiera z niéj wszelkie inne: i oto niespodzianie pojawia się rezultat taki, iż tkwiące w człowieku bezprzedmiotowe uczucie przyswoiło sobie i skojarzyło się z tém właśnie wyobrażeniem, jako względnie najsilniejszém, w chwili gdy uczucie szukało instynktownie przedmiotu. Gniew, jako afekt, jest stanem nagłym, mniéj lub więcéj gwałtownym, lecz prędko przemijającym i postrzeżenie, które mu towarzyszy, siłę swą zawdzięcza żywości jednego, doraźnego wrażenia; jeśli gniew się nie powtórzy, wprowadzony przezeń do umysłu obraz, jeśli nie był bardzo silny, może wraz z afektem ustąpić. Inaczéj się dzieje, gdy mamy postać uczucia mniéj silną, ale trwalszą, taką jak nienawiść—stan namiętności. Odpowiadające jéj wyobrażenie nabiera wielkiéj siły, nie z powodu żywości pierwotnego wrażenia, które tu bywa zazwyczaj słabe, ale wskutek tego, że długo i uparcie trwa w umyśle: silna nienawiść, tak jak i silna miłość, każe nam wciąż myślić o swym przedmiocie, nasuwa go z najlżejszych napomknień. Otóż, jeśli w pewnéj chwili osoba nie daje nowych powodów do nienawiści, zachowuje się mniéj więcéj obojętnie, a przytém nie sprowadziła dla nas strat zbyt widocznych i ważnych, nie zadała ran zbyt głębokich, to obraz jéj, jako bardzo żywy, trwały, silniejszy od innych, łatwo pociągnąć może i skojarzyć z sobą napięte w danéj chwili uczucie. Jakkolwiek przejście takie wydawać się może dziwném, jest ono jednak niczém więcéj, jak prostym i naturalnym przypadkiem mechaniki naszego umysłu; dziwném i nienaturalném zdaje się tym tylko, którzy w czynnościach umysłu dopatrują pewnéj rozumnéj celowości, pewnéj zasady logicznéj, pojmując przy tém tę celowość i tę logikę w sposób nader jednostronny, oparty jedynie na ich osobistéj grubéj obserwacyi najbardziéj dostępnych i zwykłych zjawisk duchowych.

Innéni źródłem siły wyobrażeń jest *częstość powtórzeń*. Wrażenie samo przez się słabe i pozbawione charakteru uczuciowego, daje wyobrażenie blade, nikłe, odpowiedniego skutku w sferze wewnętrznéj nie powoduje. Ale jeśli to samo wrażenie powtórzy się większą ilość razy, to za każdém powtórzeniem wzmacnia swój ślad w umyśle i wydaje wyobrażenie trwalsze i, przy innych równych warunkach, żywsze od reszty wyobrażeń współczesnych. Jednakże zauważyć trzeba, że częstość powtórzeń oddziaływa w tym kierunku korzystnie tylko do pewnego stopnia. Siła, która czyni wyobrażenie

zdolném do wcielenia miłości, polega właściwie nie na jego trwałości, mocy, jako faktu pamięci, ale na jego żywości i wyłączności jako stanu świadomego, czyli na jego stopniu świadomości. Otóż trwałość pamięciowa wyobrażenia nie zupełnie idzie w parze z jego stopniem uświadomienia: jest w nas wiele stanów niezmiernie trwałych, a mimo to wcale lub bardzo mało świadomych np. pamięć niektórych ruchów, słów; i przeciwnie, stany bardzo silnie uczuwane nie zawsze są trwałe w pamięci, np. ból fizyczny. Otóż każde powtórzezenie wrażenia zwiększa trwałość pamięciową wyobrażenia, ale żywość jego, jako stan świadomości, potęguje tylko do pewnéj granicy. Po za tą granicą każde dalsze powtórzenie utrwala wprawdzie pamięć, ale żywości obrazu nietylko nie zwiększa, lecz osłabia ją: wrażenie i wyobrażenie zbyt często powtarzane staję się mniéj jasne, wyraźne, na polu świadomości pojawiają się rzadziéj, krócéj i mniéj żywo od innych, i tém samém tracą zdolność przyciągania do siebie bezprzedmiotowego uczucia.

Wywodowi temu odpowiada położenie takie, którego życie dostarcza przykładów. Mężczyzna i kobieta utrzymują z sobą długi stosunek znajomości, obcują często w rozmowie, przy wspólnéj pracy, ale bez żadnych następstw uczuciowych, prócz może spokojnéj przyjaźni; ale obcując w ten sposób, są na prostéj drodze do zakochania się. I oto przychodzi chwila, mniéj więcéj niespodziana i nagła, w któréj instynkt, wewnętrzne usposobienie, podniecone procesem ustrojowym albo jakimś przypadkowym wpływem zewnętrznym (poezya, muzyka itp.), objawia się gwałtownėm pragnieniem, domaga się przedmiotu i znajduje go w tym obrazie, który przez częste obcowanie stał się najbardziéj trwałym i żywym w umyśle. Powstanie wewnętrzne pragnienia i jego wcielenie się, albo są przedzielone pewnym okresem, albo następują jednocześnie. W pierwszym wypadku człowiek zrazu tęskni i marzy i dopiero mu wyobraźnia podsuwa dany obraz osoby; w drugim tak się rzecz odbywa, że uczucie. jakkolwiek się wewnętrznie natęża, niedochodzi jednak samo przez się do uświadomienia, aż dopiero w pewnéj chwili osoba, dawno znana i często widywana, naraz uczucie owo budzi, właściwie zaś dawno tkwiące i napięte tylko uświadamia. Człowiek zapytany wtedy, dlaczego teraz dopiero osobę tę pokochał, nic innego odpowiedzieć nie może, nad to: „w téj chwili zrobiła na mnie jakieś szczególne wrażenie“; wrażenie to niebyło inném od poprzednich, tylko człowiek w danéj chwili był odmiennie usposobiony do jego przyjęcia.

Wszakże, nie zawsze długa znajomość, częste obcowanie prowadzą do miłości: niekiedy, przeciwnie, stać się mogą dla niéj istotną przeszkodą, zmniejszyć dla danego przedmiotu szansę wcielenia

w siebie uczucia. Zbyt częste obcowanie, gdy np. od dzieciństwa żyjąc z osobą pod jednym dachem, nieustannie mamy ją na oczach, sprawia to, iż wrażenie, jakie od niéj odbieramy jest słabo uczuwane, wyobrażenie—blade i nikłe, z łatwością daje się w umyśle zasłonić innym, które są nowsze, mniéj zwykłe, bardziéj świadome. Jeśli długo trwający stosunek wywrzéć ma wpływ na uczucie, potrzeba, ażeby wrażenie było częstém, ale nie jednostajném, tj. ażeby zachodziły w niém przerwy, okresy niewidzenia, nawet niemyślenia o przedmiocie. Warunek ten występuje najkorzystniéj w takim wypadku: dwoje ludzi wychowywało się razem od dzieciństwa, następnie chłopcem i dziewczyną rozłączyli się na czas długi; gdy się spotykają potém jako dorośli, przy innych równych warunkach, istnieje wielkie prawdopodobieństwo wzajemnéj miłości. Trwałość pamięciowa wyobrażenia spowodowaną tu została przez dawne liczne powtórzenia we wrażeniu; żywość zaś, stopień uświadomienia, będące główną siłą przyciągającą dla uczucia, czerpie wyobrażenie z tego naprzód iż obecne wrażenie jest świeżém i przedewszystkiém z tego, że odczuwa się tu uderzający kontrast między obecném spostrzeżeniem—np. dorosłéj panny, a dawném—małego dziewczęcia.

Wpływ częstości powtórzeń na wcielenie się uczucia, zachodzi zawsze przez dłuższy okres czasu, a w ten sposób otwiera się pole i dla innych przyczyn współdziałających; trudném jest wyosobnić skutek jednych i drugich. Długi stosunek sam przez się zrodzić może miłość dla danéj osoby, ale nie w każdym wypadku konkretnym, w którym miłość objawi się po długiéj znajomości, przyczynę tego odnieść można do samego wpływu powtórzeń. Drogą długiego obcowania działać mogą i inne wpływy, mianowicie czynniki właściwego wyboru: przeciwieństwo i powinowactwo natur i poczucie ideału. Jeśli przypuścimy, że w osobniku wewnętrzne usposobienie płciowe jest umiarkowane, i że czynniki wyboru są w nim słabo uwydatnione, to oczywiście żaden z nich wzięty pojedynczo i działając chwilowo skutku nie wywrze, ale skutek nastąpić może przy działaniu czynników dłuższém, często powtarzaném. Działanie to składać się będzie z wielu drobnych, następujących po sobie impulsów, które stopniowo budzić będą i wzmagać popęd nieświadomy; żadnego impulsu pojedynczego nie uczuwa się dopóty, dopóki nie nagromadzą się w umyśle i nie złożą ślady. Wtedy dopiero jakiś jeden impuls, wcale nie silniejszy od innych, dodaje niejako ostatnią kroplę i w połączeniu ze śladami wszystkich poprzednich, zostaje uczuty, uświadomiony w jednéj chwili, jako miłosne pożądanie danéj osoby. Tak iż chociaż uczucie wybuchnie nagle, przygotowuje się powoli i stopnio-

wo, podobnie jak ciało ogrzewa się długo i stopniowo, ale zapala się widzialnym płomieniem w jednéj chwili (1).

Dotąd rozpatrzyliśmy wypadki, w których uczucie wciela się, skojarza z jedném wyobrażeniem, dla tego że to wyobrażenie jest silne, wyłączne lub przynajmniéj nad innemi w świadomości wydatne. Ale skojarzenie takie możemy téż spowodować ubocznie, sztucznie i to z wyobrażeniem, wcale nie silniejszém od innych. Mamy przed sobą umysł, w którym tkwi z jednéj strony bezprzedmiotowe uczucie, z drugiéj—pewna liczba wyobrażeń, zdolnych wogóle uczucie to wcielić; w zwykłym biegu rzeczy, wciela je wyobrażenie najsilniejsze; lecz przypuśćmy, że w danéj chwili żadne z nich nie ma wyraźnéj przewagi nad innemi—wszystkich szanse są prawie równe i wtedy łatwo nam szanse te przechylić na stronę jednego. Mówimy człowiekowi: „kochaj, powinieneś, możesz kochać osobę X,“ i wygłaszając te słowa, właśnie wyobrażenie X., czynimy w umyśle jego żywszém, silniejszém od wszystkich współczesnych, a nadto wymieniając jedno obok drugiego: uczucie i obraz osoby X, powodujemy i w drugim umyśle ich bezpośrednie skojarzenie. Zapomocą takiego to *poddawania* możemy nietylko dla uczucia, już istniejącego i silnie w postaci pragnienia napiętego, nasuwać daną osobę, ale téż, lubo w mniejszym stopniu, możemy dla danéj osoby przez poddanie, wmówienie, zbudzić uczucie, drzemiące w postaci tylko nieświadomego usposobienia, zdolności, czyli możemy téż poddawać człowiekowi uczucie. Powikłane warunki życia normalnego okazać mogą niewiele w tym rodzaju objawów, a takich, któreby pewność swéj przyczyny dawały, zapewne wcale. Lecz jeśli zwrócimy się do uproszczonych warunków anormalnych, jak np. w śnie hipnotycznym, to znajdziemy liczne fakty, które świadczą, że możemy przez poddanie słowne wywoływać w człowieku dowolne wyobrażenia i uczucia, w przypuszczeniu, rozumie się, że dla uczuć tych istnieje w nim odpowiedni organ i że organ ten w danéj chwili wogóle do funkcyi jest zdolnym. Dr. Bernheim z Nancy poddaje swemu pacyentowi, że po przebudzeniu czuć będzie ból zęba, drugiemu—że zobaczy na na swym stoliku koszyk jagód, i rzeczywiście, jeden uskarża się na ból zębów, drugi—zabiera się do spożycia poziomek. Ten sam przedmiot, wedle zapewnienia eksperymentatora, wydaje się człowiekowi słodkim lub gorzkim, przyjemnym lub przykrym. Poddane wyobra-

(1) Przykład tego, jak zlanie się pojedynczych, drobnych śladów nerwowych wydaje jeden skutek, widzimy w następującém doświadczeniu: pobudzając nerw ruchowy bardzo słabym prądem elektrycznym trzy, cztery razy w odstępach kilku sekund, nie postrzegamy w mięśniu żadnéj zmiany; dopiero za piątém lub szóstém tejże siły pobudzeniem, mięsień się kurczy.

żenie nie tylko staje się stanem świadomości; ale co dla nas jest szczególniéj znaczącém, oddziaływa i na funkcye ustrojowe np. wywołuje wypróżnienie. Ch. Richet mówi swojéj pacyentce: „po przebudzeniu okazywać pani będziesz sympatyą panu F., i antypatyą panu D."; zbudzona zapomina o tym rozkazie, mimowoli jednak zbliża się po chwili i siada przy F., starannie unika D.; gdy mówi F., twarz jéj wyraża zadowolenie, gdy zaś przemówi do niéj D., spogląda nań zimno, z trudnością ukrywając, że znajduje go nieprzyjemnym. W ciągu pół godziny wyrażała te uczucia *crescendo*, a gdy jéj zapytano, dlaczego robi tę różnicę, wymyślała najbłahsze powody, aby usprawiedliwić, dla czego powinna być ujmującą dla F., oziębłą zaś dla D.

O ile i przy jakich warunkach wnioski, otrzymane ze stanu patologicznego, stosować można do stanu normalnego, wyłuszczyłem to szczegółowo na innén miejscu. Tutaj powiem ogólnie, że zjawiska w rodzaju poddawania w zwykłym stanie zachodzą rzadziéj i mniéj typowo; że sprzyja im wszystko, co podnosi wpływ osobisty poddający, co zmniejsza odporną siłę osobnika, uwalnia umysł jego od wszelkich stanów, uczuć, myśli ubocznych, co wreszcie zdradza w nim i podnieca usposobienie do doświadczenia danego uczucia, które ma być poddane. Janus Braid wywoływał skutecznie różne subiektywne czucia u ludzi w stanie czuwania i to takich, którzy nigdy nie byli hipnotyzowani, cieszyli się zupełném zdrowiem i trzeźwością umysłu. Powszednia obserwacya okazuje nam niejednokrotnie, jak łatwo poddać, wmówić ludziom, że czują to lub owo, tém bardziéj, gdy i inne okoliczności dają pozory, że w téj chwili właśnie czuć to powinni, albo gdy sami z jakichbądź względów usposobieni są dany stan uczuwać. Wmówione czucie, nie tylko jest świadomém, ale wywołuje skutki fizyologiczne; z wielu znanych w tym rodzaju zjawisk, przypomnę to, które blisko naszego przedmiotu dotyczy, mianowicie, że użycie niewinnego zupełnie środka lub zapewnienie lekarza przywraca mężczyźnie utraconą funkcyonalnie potencyą (1).

Na tych więc podstawach przyjąć możemy jako w zasadzie możliwe i przy przyjaznych okolicznościach, rzeczywiście zachodzące, tak skierowanie się istniejącego uczucia ku danemu przedmiotowi pod wpływem trzeciéj osoby, jak i wywołanie tymże sposobem nieświadomego dotąd uczucia z zasobów drzemiącéj zdolności. W ży-

---

(1) *Dr. Herm. Eichhorst, Handb. der speciellen Pathol. und Therapie, 2-er B. IV. Abth. S. 222.*

ciu skutek ten objawić się może w takiéj np. sytuacyi, gdy dwoje ludzi do uczucia i związku małżeńskiego wogóle usposobionych, chętnych, sprowadzamy i zapoznajemy, uprzedzając, że powinni, że mogą w sobie się pokochać i pobrać, t. j. gdy ich swatamy. Albo gdy człowiek słyszy zewsząd, że niepodobna jest nie kochać się w téj i téj osobie, że każdy pokochać ją musi, gdy widzi przytém wielu innych, którzy w saméj rzeczy w niéj się kochają. O tém, czy przyczyna była tu taka lub inna, obserwacya konkretna, rozumie się, nic rozstrzygać nie może: uznanie lub zaprzeczenie wpływu poddania na miłość, zależéć musi tylko od przyjęcia lub odrzucenia prostszych przesłanek analizy i dedukcyi, jak je wyżéj przedstawiłem.

Wspomnę o jedném jeszcze drugorzędném źródle miłości, którą nazwałbym w tym razie miłością *przez odbicie* albo *przeniesienie*. Zdarza się, iż człowiek pokocha pewną osobę, czy to pod działaniem właściwego wyboru, czy któregoś z czynników drugorzędnych, wyżéj wymienionych; ale po pewnym czasie uczucie to okazuje się chybioném, widzimy, iż dany przedmiot nie może go zaspokoić, albo dlatego, iż osoba kochana umiera, przeniewierza się, albo téż sami czujemy, że przedmiot jest nieodpowiedni, nieprzydatny — źle obrany. Pierwszy wypadek działa głównie u mężczyzn, drugi t. j. rozczarowanie co do przedmiotu, obserwowałem tylko u kobiet i z pewnych powodów sądzę, iż u mężczyzn nie zdarza on się wcale lub bardzo rzadko. Otóż w takich razach przedmiot, który tracimy lub odrzucamy, podniecił pragnienie, dał przedsmak zaspokojenia, ale właściwego zaspokojenia, nie dał. Faktem zaś jest, że pragnienie, uczucie, zaspokojone w niedostatecznéj mierze, cząstkowo, wskutek tego właśnie wzmaga się i dochodzi do natężenia większego, niż to, jakieby miało w danym momencie, gdyby nie było zaspakajanem wcale. Tak więc pragnienie jest w wysokim stopniu natężone, wyobraźnia nastrojona na ton miłości, tymczasem uderzamy się o przeszkodę, widzimy omyłkę, zawód; ale marzenia pozbyć się nie możemy, zmuszeni okolicznościami lub z wysiłku własnéj woli, to jest pewnego silnego wyobrażenia, porzucamy pierwszy przedmiot, ale skwapliwie szukamy nowego; jesteśmy téż względem tego drugiego jaknajmniéj wymagający, wystarcza niekiedy, aby tylko nie posiadał cechy, która nas zraziła w pierwszym — lub posiadał tę, któréj brak przykro w poprzednim odczuliśmy, niezależnie od jakichkolwiek swych innych właściwości. Podniecona namiętność przyswaja sobie pierwszy lepszy przedmiot i wciela się weń, poddając się w tém zazwyczaj jednemu z czynników drugorzędnych; a więc obiera osobę, która uczyni niezwykłe wrażenie, albo z którą dawno i często obcuje, którą jéj poddadzą i t. p.

Niekiedy jednak o powtórném wcieleniu się takiéj odbitéj miłości rozstrzyga czynnik, specyficzny dla danego przypadku, a powodujący w szczególny sposób siłę i wydatność jednego wyobrażenia z wielu możliwych. Przypomnijmy tu sobie niektóre punkty z teoryi kojarzenia się wyobrażeń; wyobrażenie, skojarzone ściśle z innemi, które jest bardzo żywe, silne, nabiera samo siły od tego ostatniego; wyobrażenie, skojarzone z inném, które nosi wybitny charakter uczuciowy, np. jest przyjemném, przejmuje od niego tę samę barwę uczuciową, czyli, niezależnie od własnéj swéj natury, staje się przyjemném. Gdy człowiek kocha się w pewnéj osobie, to myśląc o niéj często i żywo, myśli razem i o przedmiotach, miejscach, w których ją spotykał, także o ludziach, w towarzystwie których zawsze lub najczęściéj ją widywał, lub z którymi o niéj rozmawiał. Jednocześnie zauważyć może, że miejsca te i ludzie, w taki sposób z przyjemném wyobrażeniem ukochanéj związane, stają się dlań same bardziéj przyjemnemi, nabierają jakiejś większéj ceny niż przedtém. Dopóki trwa miłość dla danéj osoby, dopóty wyobrażenia te, lubo dość żywe i często odświeżane, stać będą jednak w tyle po za główném wyobrażeniem osoby; ale gdy to ostatnie z jakichbądź powodów zostanie ze świadomości wypartém lub samo ustąpi, wtedy owe wyobrażenia skojarzone, przez długi czas towarzyszące głównemu, zasilane jego siłą i uczuciowym charakterem, teraz wystąpią na pierwszy plan i, *caeteris paribus*, okażą się najsilniejszemi z pomiędzy wszystkich współczesnych. A że uczucie, choć utraciło przedmiot, nie wygasło, lecz owszem, spotęgowało się, łatwo stać się może, iż teraz szukając nowego przedmiotu, zatrzyma się i wcieli w jedno z wyobrażeń, które silnie były skojarzone z poprzednim przedmiotem, i które teraz jeszcze są najżywsze, rozumie się o tyle, o ile każde z nich mieści w sobie cechę niezbędną. W taki to sposób wywiązać się może miłość dla osoby, którąśmy spotykali zawsze w towarzystwie ukochanéj, która służyła za pośrednika i protektora téj miłości, która dużo i sympatycznie mówiła nam o przedmiocie uczucia, lub pocieszała po jego stracie.

III.

Widzimy, jak powikłane i kręte są drogi, któremi przebiega namiętność człowieka, jak subtelne i niedostrzeżone często sprężyny, które powodują pojedyncze jéj drgnienia. Czasem kroczy ona przy pełném świetle świadomości, gościńcem szerokim i równym,

wytkniętym przez stałe, celowe drogowskazy; ale przypadkowe czynniki nieustannie usiłują zbić ją z tego toru, zepchnąć w ciemne manowce, wpada też w nie od czasu do czasu, błąka w ich sieci, ażeby śród złudnych uniesień i nadziei, prędzéj lub późniéj błąd poznać i odcierpieć.

I otóż, dopóki się komedya nie rozegra w całości, nie łatwo w każdym konkretnym wypadku określić, skąd uczucie wzięło początek, jakie przeszło koleje lub na czém skończy; niełatwo wykryć, czy przedmiot swoje wcielenie zawdzięcza właściwemu wyborowi, czy jednemu z czynników drugorzędnych, których działanie rozpatrywaliśmy. Jedne i drugie w rzeczywistych wypadkach działać mogą to kolejno, to w połączeniu, tak, iż skutki ich mieszają się. Wprawdzie sposób powstania uczucia z właściwego wyboru albo ze źródeł drugorzędnych, wyciska na niém szczególne piętno, które w bardziéj typowych wypadkach pozwala poniekąd odróżnić jedną postać od drugiéj; w uczuciu z właściwego wyboru, uważne badanie wykryć może jakąś zasadę prawidłową, która tłómaczy zejście się tych właśnie osobników: wydatne przeciwieństwo, powinowactwo, ideał grupy; w drugim razie — zazwyczaj nic z tego odnaleść się nie daje, i jedyne objaśnienie faktu, na jakie się wtedy sąd ogółu zdobywa, jest to, że namiętność jest ślepą, nierozumną. Korzystanie i z tego kryteryum jest w znacznéj części czysto hypotetyczném, przypuszcza bowiem zasób wiadomości o fizyologicznych i psychicznych właściwościach indywiduum znacznie większy niż ten, jakiego dostarczyć może obecny stan nauki. Nadto, o ile wogóle kryteryum to jest możliwém, dostępném jest tylko dla postronnego obserwatora, a nie dla czynnego podmiotu, a to dla tego, iż uczucie raz go opanowawszy i wcieliwszy się, w szczególny sposób oddziaływa na jego czynność postrzegania i sądzenia.

Jak tylko uczucie, pod ubocznym wpływem czynnika drugorzędnego, obrało sobie przedmiot, zachodzi między nimi ścisłe i na pewien czas *nierozerwalne skojarzenie*: ilekroć pojawi się w świadomości przedmiot, uświadamia się i uczucie, to ostatnie zawsze pociąga za sobą wyobrażenie danego przedmiotu i żadnego innego. Gdy nastąpi jakiś akt zaspokojenia realnego (pocałunek, dotknięcie i t. p.), lub idealnego (wyznanie, obietnica i t. p.), przedmiot mocniéj jeszcze wiąże się z uczuciem. Skutkiem takiego związku jest to, iż przedmiot, wciąż obecny i wyłącznie prawie dla uczucia obecny, (zakochany myśli prawie tylko o swym przedmiocie, w większém zgromadzeniu nie widzi często i nie słyszy nikogo więcéj prócz swojego przedmiotu), zaczyna na to uczucie sam przez się odziaływać: zrazu z pomiędzy wielu innych przypadkowym sposobem ściągnął

ku sobie uczucie, lecz teraz, gdy panuje niepodzielnie, stara się niejako tę swą supremacyą usprawiediwić, zaczyna odsłaniać i zasilać uczucie ze źródeł właściwego wyboru. Każdy bowiem z przedmiotów, zdolnych wogóle wcielić w siebie uczucie, posiada prócz cechy głównéj i mniéj lub więcéj cech innych, będących w związku i przydatnych dla instynktu miłosnego; w każdym z nich doszukać się można np. pewnego słabego przeciwieństwa lub powinowactwa z podmiotem, pewnéj cechy ideału danéj grupy. Cechy te przedtém, same przez się, działając własną tylko siłą, niezdolneby były uczucia zbudzić ani zatrzymać; ale teraz gdy uczucie to pod wpływem drugorzędnym (niezwykłość wrażenia, częstość i t. p.) zatrzymało się na tym przedmiocie, umysł staje się bardziéj wrażliwym na dany właśnie przedmiot, i teraz to każda z cech jego, choć sama przez się słaba, działa niejako na organ czulszy i skutek wywiera, tém więcéj, że cechy jakichkolwiek innych przedmiotów, może nawet przydatniejszych, wypchnięte przez pierwszy ze świadomości, konkurencyi im nie czynią. Umysł nasz, przytwierdzony niejako uczuciem do danego przedmiotu, wyzyskuje najdrobniejszy szczegół, który w przedmiocie ma wartość dla instynktu, i zużytkowuje go dla podtrzymywania i dalszego podniecenia uczucia. Tak, iż często nawet w miłości, powstałéj ze źródeł drugorzędnych, odnaleść można istnienie i wpływ podstaw właściwege wyboru, które nadają jéj pozór uczucia mniéj kapryśnego i nierozumnego. Rzecz jednak na tém polega, że te podstawy, te czynniki właściwego wyboru są tutaj tak słabe, nieliczne, złudne, iż bez udziału czynników drugorzędnych, nie byłyby nigdy w stanie uczucia wywołać ani utrzymać; że czynniki te znaleść się mogły i w innych współcześnie dostępnych człowiekowi przedmiotach w stopniu równym, albo i większym, a mimo to żadnego skutku nie wywarły, dla tego właśnie, że nie przyszedł im w pomoc żaden z czynników drugorzędnych.

Jaką jest etyczna i życiowa wartość miłości, która wypływa ze źródeł drugorzędnych?

Wytworzenie się określonego instynktu płciowego czyniło zadość celowi — utrzymania i rozmnożenia gatunku. Na najniższych stopniach rozwoju cel ten osiąga się przez zaspokojenie instynktu jakimkolwiek przedmiotem, posiadającym tylko cechę niezbędną. Dalszy rozwój, drogą doboru naturalnego i płciowego, systematycznie pracował w tym kierunku, ażeby zaspokojenie instynktu poddać określonym normom, tak, ażeby instynkt zaspakajał się i cel jego osiągał w sposób najpewniejszy i dla gatunku najpożyteczniejszy. Jako rezultat téj wiekowéj pracy wytworzyła się zasada wyboru, w myśl któréj instynkt ma być zaspakajanym nie przez jakikolwiek

przedmiot, ale przez pewien wybrany, taki mianowicie, który jest dla celu najodpowiedniejszy. Pojedyncze czynniki wyboru są: pewien stopień przeciwieństwa i powinowactwa osobników, oraz świadome lub nieświadome pojęcie ideału, który jest wogóle sumą cech najpożyteczniejszych w warunkach danego gatunku i grupy. Czynniki te, zbliżając do siebie najodpowiedniejsze osobniki, zapewniają to, iż funkcya instynktu wykonaną zostaje w sposób najbardziéj dla gatunku korzystny, że potomstwo przynosi na świat cechy najpożyteczniejsze w warunkach grupy, czyli że funkcya ta staje się wogóle należycie przystosowaną. Że zaś należytemu wykonywaniu funkcyi towarzyszy, ze strony psychicznéj, uczucie zadowolenia i to w stopniu tém wyższym, im należyciéj funkcya jest wykonywaną, to okazuje się, że normalne działanie wyboru, nie tylko najkorzystniéj urzeczywistnia cel instynktu, lecz zarazem zapewnia najwyższy stopień zadowolenia, największą sumę szczęścia. Doświadczenie dostatecznie to potwierdza.

U człowieka współczesnego, rozwój ten i przystosowanie w sferze instynktu płciowego został dość daleko posunięty, jakkolwiek bynajmniéj nieukończony. Zauważyć tu można różnice i stopniowania u różnych osobników i u tego samego osobnika w różnych momentach, które przebywa wykonanie funkcyi. Tak widzimy, że moment instynktu fizyologiczny, zmysłowy, który dziedziczy człowiek w danéj formie, jeśli nie od najniższych, to od bardzo niskich przodków zwierzęcych, nieznających wyboru, zaspakaja się i w nim jeszcze bez różnicy przedmiotów, niezależnie od jakiegokolwiek prawidłowego wyboru. Gdy tymczasem moment wyższy, idealny, który zowiemy miłością, a który wytworzył się i do pierwszego dołączył znacznie późniéj, u wyższych form zwierzęcych, podlega już w znacznéj części i w większości wypadków działaniu określonego wyboru, i niezależnie od takiego wyboru należycie zaspokajanym być nie może. Wszakże, jak to przekonaliśmy się, i tutaj zasada wyboru nie zapanowała dotąd na całéj przestrzeni zjawisk: różnorodne wpływy paraliżują ją od czasu do czasu, a na jéj miejsce rozpościera działanie zasada pierwotna, w myśl któréj instynkt zaspakaja się przez przedmiot dowolny, a raczéj obierany pod wpływem czynników przypadkowych, takich, które obce będąc naturze i celom instynktu, nie dają téż żadnéj rękojmi najkorzystniejszego osiągnięcia tych celów.

Tak więc zaspakajanie instynktu, przynajmniéj w formie idealnéj, t. j. uczucia miłości, wedle wpływu czynników przypadkowych, w naszém stadyum rozwoju uważać należy za objaw wsteczny, za brak przystosowania się osobnika do warunków otoczenia.

I te okoliczności, które w warunkach naszego bytu, zazwyczaj ubezwładniają zasadę wyboru, mianowicie bezwzględny lub względny brak przedmiotów do wyboru i nadmierne natężenie instynktu, w saméj rzeczy noszą wyraźne cechy niedostatecznego przystosowania. Co do pierwszéj okoliczności, jest to widocznén: przypuszcza ona mniéj lub więcéj nienormalne warunki życia. Nadmierne zaś natężenie popędu jest także wadą przystosowania, przypuszcza bowiem nieprawidłowe wykonywanie funkcyi, co do czasu lub stopnia, mające znów za przyczynę naruszenie równowagi w sferze innych funkcyj. Wszystko, co nadweręża ogólną harmonią czynności: nadużycia zmysłowe, przeciążenie pracą, nadmiar wyczerpujących wzruszeń, niedostatek materyalny, utrudniając właściwe wykonanie funkcyi zmysłowéj i idealnéj, powodują wielkie natężenie popędu i poddają człowieka pod wpływ czynników przypadkowych. Do okoliczności, sprawiających tu zaburzenie, zaliczyć należy i chwilę pierwszego zbudzenia się instynktu, t. z. pierwszéj miłości: ma tu miejsce gwałtowne wyładowanie obficie nagromadzonéj energii, stan towarzyszącego uczucia jest bardzo silny i zostawia w pamięci niezatarte ślady, ale też wyładowanie takie podlega najczęściéj czynnikom przypadkowym i przedstawia największe niebezpieczeństwo chybionego wyboru. Im bardziéj prawidłowo funkcya jest wykonywaną, tém większa rękojmia wykonania jéj w sposob najkorzystniejszy dla osobnika i dla gatunku. Odnośnie do momentu idealnego, im częściéj ktoś się kochał, tém większe osiąga prawdopodobieństwo trafienia w wyborze, rozumie się, do pewnego tylko stopnia, t. j. o tyle, ażeby odpowiednie ośrodki nerwowe miały potrzebne wypoczęcie.

W doskonalszym stanie społeczeństwa, o ile dotychczasowy rozwój od form najniższych do człowieka spodziewać się pozwala, funkcya miłosna zostanie bardziéj jeszcze unormowaną: z doskonalszém przystosowaniem się organizmu w innych sferach, zmniejszać się musi wpływ czynników perturbacyjnych, przypadkowych, aż te ustąpią miejsca w zupełności działaniu naturalnego wyboru. To też wszelkie wpływy, które związki miłosne osobników stawiają w sztucznéj zależności od czynników ubocznych, wpływy takie, jak kwestya majątku, swatanie, kantory stręczenia małżeństw, uznać należy za dążenie wsteczne, które występuje w anormalnych tylko warunkach bytu społecznego i cofa człowieka do niższych form rozwoju: z ustaniem tych niekorzystnych warunków, ze zmniejszeniem się ilości pracy podejmowanéj przez jednostkę, podniesieniem dobrobytu, rozwinięciem i ułatwieniem życia towarzyskiego, dążenie to zniknąć musi na korzyść zasady naturalnego wyboru.

Całkowite wypełnienie funkcyi miłosnéj, jak u niektórych wyższych zwierząt, tak bardziéj jeszcze u człowieka, składa się nie z jednego pojedynczego aktu, lecz z długiego szeregu powiązanych z sobą aktów: właściwie miłosnych, zmysłowych i idealnych, aktów wspólnego pożycia, wychowania potomstwa i t. p. Otóż o ile za miarę właściwego (celowego) lub niewłaściwego (niecelowego), wykonywania funkcyi służyć może ze strony podmiotowéj ogólna przewyższka stanów przyjemnych lub przykrych, — to znajdujemy i tutaj dowód, jak daleko jeszcze jesteśmy od zupełnego przystosowania się w sferze funkcyi miłosnéj. Rozpatrując stany uczucia, towarzyszące pojedynczym aktom funkcyi, w znacznéj większości wypadków znajdujemy w ogólnéj sumie, jak sądzę, niezmierną przewyżkę cierpienia nad przyjemnością; w wypadkach tylko bardzo korzystnych, przy swobodném działaniu naturalnego wyboru, przewyżka ta zmniejsza się, albo i przechodzi w stosunek wprost odwrotny: ogólnéj przewagi zadowolenia nad cierpieniem. W miarę tego, jak liczba wypadków tych zwiększać się będzie, czyli w miarę doskonalszego unormowania funkcyi, spodziewać się należy, że wykonywanie jéj nie tylko najkorzystniéj odbywać się będzie dla celów gatunku, lecz że i osobnikowi zapewni możliwie największą sumę szczęścia.

J. Wł. Dawid.

DWIE MISYE

FRANCISZKA PONIŃSKIEGO, STAROSTY KOPANICKIEGO, DO PIOTRA I,

w latach 1717 i 1718.

(*Dokończenie*).

Wiadomości coraz to draźliwsze, coraz przykrzejsze, nadchodzące z Polski, wyciągnęły nareszcie króla Augusta z jego wywczasu Cieplicko Drezdeńskiego. W pierwszéj połowie października 1717 zjechał w zwykłém otoczeniu swego dworu i orszaku saskiego do Wschowy, na pogranicze polskie, gdzie 16 października odbyła się niezwykle uroczysta i liczna rada senatu. Dyaryusz jéj wskazuje, pominąwszy zastęp szlachty województwa poznańskiego, pośród któréj obowiązki jakoby gospodarza domu pełni znany dobrze w ówczesnych dziejach Frańciszek Radzewski starosta wschowski, obecność następnych dygnitarzy: z ministrów stanu Józefa Mniszcha w. marszałka kor., Jana Szembeka w. kanclerza kor.; z senatorów Krzysztofa Szembeka biskupa poznańskiego, Bokuma bisk. przemyskiego podkanclerzego kor., Krzysztofa Jana Szembeka bisk. chełmskiego, Tarły nominata inflanckiego, Andrzeja Radomickiego wojewody poznańskiego, Sapiehy kasztelana trockiego, Piotra Bronisza kaszt. kaliskiego, Józefa Potockiego wojewody kijowskiego, Macieja Radomickiego wojewody inowrocławskiego, generała wielkopolskiego, Władysława Radomickiego kaszt. poznańskiego, Czapskiego kaszt. chełmińskiego, Andrzeja Dąbskiego kaszt. brzesko-kujawskiego, Adama Pawłowskiego kaszt. biechowskiego. Głównym kłopotem zaprzątającym liczne to, zebrane w małém miasteczku na krawędzi ziemi wielkopolskiéj, grono, była nieustanna obecność „wojsk auxyliarnych carskich." Pierwszą zaś niemal w obec tego kłopotu czynnością była „reassumpcya charakteru i negocyacyi Imci Pana starosty Kopanic-

kiego." „A że wiadomość," mówi pobieżny dyaryusz wschowskiéj rady senatu, „nietylko o nie wyszłych jeszcze z granic litewskich wojskach moskiewskich, ale też i tu w Wielkiéj Polsce pozostałe ich *reliquiae alterat* dużo pańskie J. K. Mości serce, tedy *circa numerosam* Ichmościów Panów senatorów tu *praesentiam* i tak wielu urzędników prowincyi wielkopolskiéj, *resolvit* J. K. Mość pan nasz Miłościwy *reassumptionem* charakteru i negocyacyi J. Mości Pana starosty Kopanickiego do Cara J. Mości z żywemi expressyami, że im mniéj pomienione woyska mają przyczyny *praetextu* do bawienia się, w państwach J. K. Mości y Rzeczypospolitéj *contra jura gentium*, przeciw lidze następnéj i obronnéj i przeciw ostatniemu sojuszowi, tém więcéj J. K. Mość i Rzeczpospolita ma racyi prawo, aby tego dłużey nie cierpiała i że po uczynionych wszystkich stopniach rekwizycyi przyjacielskiéj, jeszcze raz na pokazanie przed światem modestyi *requirere* umyślili. Taką zkoncypowawszy *in his terminis* expedycyą dla pomienionego IMci Pana starosty Kopanickiego, oneyże kancelarya koronna *praesenti senatui* komunikowała. Aby zaś na tak pilną i nieodbitą wyprawę skarb Rzeczypospolitéj trudności nie czynił, tedy *vigore novellae legis*, wszyscy Ichmoście Panowie senatorowie wyżéj specyfikowani podpisali assekuracyą na supplement w tę drogę znaczeniem summy 36 tysięcy złotych tak *pro praesenti* jako i *pro praeterito* za odprawioną już ze dworem Cara J. Mości negocyacyę. Co gdy *factum* na mieszkanie J. Mości Panu staroście Kopanickiemu odesłana."

Od 16 października datuje się tedy ponowna misya starosty Kopanickiego, trudniejsza na ten raz, mozolniejsza od pierwszéj, bo miała się odbyć wśród ciężkiéj zimy, wśród ważnych wypadków, jakie się naówczas właśnie z r. 1717 na 18 na północy odbywały. Wyjazd starosty opóźnił się blisko dwa miesiące z niewiadomych bliżéj powodów. Listy uwierzytelniające zostały dopiero wystawione dlań we Wschowie 13 grudnia 1717. Przytaczamy je w dosłownem brzmieniu, jako najlepszy rzut światła na charakter i przeznaczenie jego ponownéj misyi. „Rozumieliśmy," mówią owe listy, „że woyska W. Carskiego Wieliczestwa nad prawo powszechne wszystkim państwom y narodom służące, nad pakta wieczne dawniejsze y ostatni sojusz następny y obronny tak długo w krajach Rzeczypospolitéj bez żadney racyi y sprawiedliwey przyczyny subsystujące, już dotąd według assekuracyi, ustnie y na piśmie od W. C. Wieliczestwa na instancye y ustawiczne reprezentacye nasze y Rzeczypospolitéj danych, za granicami koronnemi y litewskiemi znaydują się. Aliści za przybyciem naszém (Augusta II) z państwa dziedzicznego do województw wielkopolskich z wielkim zdumieniem nietylko od partykularnych

obywatelów pełno skarg, żalów y lamentów na aktualną jeszcze subsistencyą woysk W. C. Wieliczestwa, tudzież srogie od niego uciemiężenie, przez zbyt z umysłu leniwy marsz Regimentów, tylko po iednéj mili na dzień uchodzących, a przez trzy dni spoczywających. ale też generalny resentiment y rekurs od Stanów Rzeczypospolitéj do nas uczyniony zastaniemy, że dłużey tej nienależytey y ciężkiey krzywdy cierpieć y dyssymulować nie mogą; za czem lubośmy z strony naszey wszystkie stopnie rekwizycyi y perswazyi przyjacielskiéj zachowali y to wszystko cokolwiek tylko należało do utrzymania skoligowaney przyjaźni wypełnili, jednak żeby wszystkie narody moderacyą, przychylność y aplikacyą Naszą y Rzeczypospolitéj do konserwacyi nie naruszonego pokoju widziały, że jako statecznie y skutecznie sąsiedzką y skonfederowaną przyjaźń z W. C. Wieliczestwem utrzymywać pragniemy, tak tego według wszelkiey słuszności y sprawiedliwości pretenduiemy, żeby woyska W. C. Wieliczestwa zaniechawszy nienależytych aggrawacyi y krzywd obywatelów Rzeczypospolitéj czynić, y nie zostawując żadney partyi tak w Koronie, jako y w Litwie, y Kurlandyi, spiesznym marszem jako nayprędzey za granicę do państw własnych wyszli, urodzonego Franciszka Ponińskiego starostę Kopanickiego na wyrażenie tey intencyi y poparcie żądania naszego do W. Wieliczestwa Carskiego ordinujemy, oraz bratersko żądamy, abyś mu W. Carskie Wieliczestwo łaskawy do siebie przystęp, zupełną w tém wszystkiém wiarę y pożądaną a prędką expedycyą dać raczył.“ Jak z tych listów uwierzytelniających, obejmujących zarazem instrukcyą posła, widzimy, ograniczało się zadanie starosty ściśle do żądania ewakuacyi wszystkich ziem krajów i miast rzeczypospolitéj przez wojska Piotra. Nie zmieniało się więc jego zadanie w niczém od czasu misyi paryskiéj. stawało się może tylko uciążliwsze ze względu na porę, w któréj, ze względu na kraje, w których mu je spełniać przyszło.

Po krótkiéj raz jeszcze wycieczce do Drezna w listopadzie. podejmuje starosta nareszcie swą podróż w grudniu (1717), obraca ją na Wolbórz, Częstochowę, Lublin, Brześć Litewski, wśród straszliwych dróg i ciężkiéj zimowéj pory. Zapiski starosty z téj drogi, są pod względem politycznym nader interesujące, rzucają charakterystyczne światło na usposobienie ówczesne, na prądy ówczesnéj opinii publicznéj a zarazem tłómaczą tém samém, dla czego poseł rzeczypospolitéj udawał się. podobnie ani najprostszym, ani najkrótszym szlakiem na spełnienie swéj misyi. Listy starosty nie są wprawdzie zupełnie pod tym względem jasne i wyczerpujące, każą się więcéj domyślać, ani wypowiadają rzecz wyraźnie. składają się jednakże dla nas. na następny rezultat. Chodziło w przedwstępie misyi

o stwierdzenie usposobień panujących na *Litwie*, gdzie się pojawiają widocznie dwa prądy. Brygadier rosyjski Ropp stoi w Grodnie, co ściąga na ludność okoliczną obowiązek dopełniania rozmaitych dostaw. Ropp żąda nie tylko zaopatrzenia obecnych potrzeb swego żołnierza, ale, co więcéj, domaga się, ponownéj dostawy tego wszystkiego, co Szwedzi idąc w r. 1708 na wyprawę zakończoną tak nieszczęśliwie klęską Pułtawską, w pochodzie swym przez Litwę, z magazynów tamtejszych rosyjskich wyprzątnęli dla siebie. Skutkiem tego ludność miejscowa zniechęciła się bardzo, i podobnie jak w lecie r. 1717 trybunał Radomski w Koronie, tak na Litwie szlachta powiatu Oszmiańskiego w zimie z roku 1717 na 18 zaczęła myśleć o pospolitém ruszeniu jako o jedynym środku zapobieżenia dalszym dolegliwościom. W przejeździe swym przez Litwę znajduje starosta podobne usposobienie i usiłuje gwałtowność jego w interesie skuteczności swéj misyi powstrzymać. Z drugiéj jednakże strony spotyka się starosta na tejże saméj Litwie, w sferach wyższych miejscowego społeczeństwa, pomiędzy dygnitarstwem, z usposobieniami o wiele niebezpieczniejszemi tak dla rządów Augusta, jak dla interesu rzeczypospolitéj i możliwego powodzenia misyi. Nie wskazanemi wprawdzie z imienia i nazwiska, ale łatwemi do odgadnienia filarami owego przeciwnego szlacheckiemu kierunku są, nie mówiąc o innych, nie mówiąc o ich licznéj klienteli, w. hetman lit. Pociéj, hetman polny lit. Denhof.

Nie należy w ocenieniu tych stosunków przepominać. co się wówczas działo na wielkiéj widowni politycznéj. Z roku 1717 na 18 przybierają nareszcie, dzięki zabiegłości ministra Goertza, układy między Piotrem I a Karolem XII o zawarcie partykularnego pokoju dotykalną postać, przez tak zwany kongres Alandzki, na który obie strony wyprawiają swoich reprezentantów. Krótko przedtém, w listopadzie 1717, pojawił się sam Goertz w Warszawie, odbywał, w czém listy starosty Kopanickiego zgodne najzupełniéj z równoczesnemi depeszami rezydenta cesarskiego Martelsa, konferencye z różnymi dygnitarzami, mianowicie litewskimi, wyjechał następnie przez Litwę, by tą drogą puścić się daléj do Rygi. Akcya polityczna Goertza, środki jéj i cele ostateczne wchodziły w wyraźną sprzeczność z wołaniami szlachty o wyprowadzenie wojsk rosyjskich z Polski, tém samém z interesem Augusta a naturalnie i z zadaniem starosty Kopanickiego. Partykularny pokój między Piotrem a Karolem XII, mający pierwszemu ułatwić akcyą na brzegach południowych morza Baltyckiego, drugiemu przywrócenie może na tron polski Stanisława Leszczyńskiego, czynił przedewszystkiém rzeczą konieczną dalszy

pobyt wojsk carskich w Polsce, jako widowni najbliższéj mającym się nadal rozwijać wypadkom. Interes Piotra schodził się tedy w oryginalny sposób z interesem polityki Karola, który znów w tym ostatnim jeszcze akcie swego awanturniczo bohaterskiego zawodu, chciał zapróbować szczęścia dla dawnego swego klienta Stanisława. Rozpoczęły się w tym celu ciche szepty, tuż po podróży Goertza, między panami litewskimi a dworem sztokholmskim. Jeździł w misyi od w. hetmana lit. do Sztokholmu niejaki Sagatowski, który, co ztamtąd przywiózł niewiadomo, ale którego poselstwo dowodziło jak najwyraźniéj, że jeżeli szlachta litewska domaga się wymarszu wojsk rosyjskich, to równocześnie jest pośród dygnitarstwa i panów litewskich możny stanowiskiem i znaczeniem zastęp, który wchodzi w konspiracyą z polityką partykularnego pokoju między Szwecyą i Rosyą a któremu, wręcz przeciwnie, na *pozostaniu* tychże wojsk w granicach rzeczypospolitéj zależy. Otóż stan rzeczy, jaki starosta Kopanicki przez czas przejazdu na Litwie miał sposobność stwierdzić, stan rzeczy, z którym obeznać się poprzednio jest tém większą koniecznością, że jak zobaczymy, przyszło mu się z nim późniéj niejednokrotnie liczyć w ciągu pobytu w Petersburgu. Nie od rzeczy przytoczyć niektóre charakteryzujące sytuacyą ustępy z listów starosty do różnych dygnitarzy rzeczypospolitéj.

Na wstępie spotykamy się z listem do w. marszałka kor z Brześcia Litewskiego, w styczniu 1718, gdzie starosta dnia poprzedniego stanął. „Im częściey," pisze starosta, „w instrukcyi sobie do Cara J. Mości daney się przeglądam, ażebym od niey tém lepiey *impressam cordi* nie odstępował, tym większe uważam trudności, w których, abym się mógł determinować, proszę unizenie W Pana, abyś mnie w tém rezolwować raczył. 1) Każe mi instrukcya dwoiakie otrzymać ordinanse, z których bym ieden do woyska, drugi do J. K. Mości posłał, w czym obawiam się, aby podobnych danym *in antecessum* nie wydano *in elusionem* ordinansów. Czy tedy uchodząc, y w tym grubego żartu bardziey pretendować *assecurationem in scripto*, że *in certo determinato tempore* wynidą, czyli téż *ex re capere consilium* jakie lepsze *suggerat necessitas.* 2) Nie mam w instrukcyi, abym wyrozumiał o partikularnym między Carem y Królem Szwedzkim pokoju. Jeżeli tedy ma w tym J. K. Mość należytą *certitudinem*, czy być w tym *non intelligens*, czyli *publicam* o tym *famam* Carowi J. Mości namienić na wyrozumienie y upomnieć się racyi, dla któreyby wprowadziwszy Rzeczpospolitą z sobą w kolligacyą, onęsz odstępował. 3) Mam w instrukcyi komiss, abym od Cara J. Mości nie odjeżdżał, pókiby y z Kurlandyi nie była ewakuacya. Kiedy Car J. M. nie przyjmuje *medium commissionis* do Kurlandii, *quo medio* uspokoiony będzie

w pretensyach Xżney synowicy swoiey, bez czego jestem pewien, że od tego iarzma nie będzie wolna Kurlandia. W tych tedy wątpliwościach czekam do Rygi rezolucyi WPana. W interessach litewskich jeszcze żadney dać nie mogę informacyi, nie mogąc nic tak prędko wyrozumieć, śpiesząc się do Cara J. Mości; ile jednak że *ex variabilitate linguarum* wnieść mogłem, że *Bibont* (?) robi *bilinguitatem.*"

Tymczasem, jak przekonywają późniejsze listy, miał starosta czas i sposobność, mimo wszelkich niewygód i uciążliwości podróży przez Litwę i Kurlandyą, powziąść języka i rozpatrzeć się w tamtejszych stosunkach. Wydawszy z drogi rodzaj otwartego listu do szlachty powiatu Oszmiańskiego, zasięgnąwszy w czasie podróży ze wszech stron potrzebnych informacyj, stanął wreszcie starosta „wśród głodu, mrozów, wilczych dołów, piramid y szpalerów śniegowych litewskich", 4 lutego w Rydze. Za przybyciem tamże rozpisał w te tropy do osób poufnych sobie w Polsce i dygnitarzy listy, z których następny mianowicie daje wyobrażenie o stanie rzeczy na Litwie, dotkniętym przez nas wyżéj. List ten adresowany „do IMci Pana Ponińskiego obersztlejtnanta" (w służbie saskiéj): „Jakom z samego wyjechał Brześcia, tak żem na żadną nie trafił pocztę, dopiero się ztąd tu *bezpieczniey* odzywam W. M. Panu. Nie *in tam perfecto statu et ordine* zastałem Litwę, jako o niey pisano, poniewasz ani *motus* szkodliwych nie masz, ani traktatowi idą *perperam.* Powiat tylko Oszmiański głodem u siebie przyciśniony *fortiter negavit* prowiantu Moskwie do Grodna, która grubych z plewami chlebów od nich brać nie chciała, ani bronił przejścia, broniąc tylko stanowisk we wsiach y miasteczkach, ofiarując za to, jeżeli by w polu stawali po 6 groszy na dzień na konia, poniewasz prowiantu sam Pan Bóg im *denegavit.* Komissya Grodzieńska w jednym tylko punkcie *non satisfecit* traktatowi, że Hetmani zasiadali, co się bardziéj stało w tumulcie, że przysiągł *cum multorum oppositione* y prawie *sub manu* Moskwy, która tam póty trwała, póki komisya i brygadier Ropp *expresse* wyrażał, że na komisyą zjechał. Działo się to *in favorem I. Mości Pana Hetmana interessów*, które miał ciężkie do wyrabiania *in rem sui* na tey komisyi, ale się temu (jakom przeszłą opisał pocztą) poradzić może. Bardziey się obawiać potrzeba cichych y skrytych konjunktur, które w mieyscu od Pana (króla) odległym do wyrabiania łatwieysze y sposobnieysze. Niechcę nikogo *criminare*, ale ile się z różnych relacyi informować mogę, tę u siebie formują suspicyą, *że duch zamorski* (szwedzki) *mając sposoby do korrespondencyi listowney y ustney, ubi vult, spirat.* Mianowicie tam, których zna *capi faciles*, których sobie dawno miał obligowanych y *pensionarios*, których widzi malkontentów z traktatu (warszawskiego z r. 1717), których widzi chcących

per abrupta lapsis privatis succurrere rebus, których fortuna *ex turbido* y którym *tunc optime, cum omnibus male.* Zagrzewając jednych do poigrania (?) z ruin domu powróceniem *ad pristinam dominationem*. drugich obietnicami, trzecich kartowemi assekuracyami. Z tych zaś iedni tak szlachtę różnemi nowinami *imbuunt*, żeby skłonni byli y gotowi do wszystkiego, byle się tylko iaka pokazała rewolucyjka, drudzy o jakichściś skrytych powiadaią rozruchach, nie dla tego, że są, ale żeby się autorami ich, gdyby jakie wybuchnęły, nie pokazali. Czemu, aby się zabiedz mogło, że Imci Pan Gercz minister króla szwedzkiego, przejeżdżający przez Litwę, miał na dwie godziny sam na sam konferencyą z J. M. Panem N. N. (hetmanem) u niegosz samego, po czem wokowany do Litwy J. Mci Pan H. H. Przyjechał także temi czasy do Litwy ze Sztokholmu sługa Imci Pana N. N. (hetmana) i zowie się Sagatowski. Z Wrocławia także chodzą korrespondencye (prawdopodobnie od Biebera agenta Leszczyńskiego), obiecujące zawsze Szwedów do Polski, jednych utwierdzające, drugich przynajmniey *in metu impendentes*, aby się całym sercem do J. K. M. (Augusta) nie udawali. Imci Pan H. H. także do Cara I. Mci posłany od N. N. (hetmana) przeciwko traktatowi. To wszystko pochodzi z odgłosu partykularnego pokoju Cara ze Szwedem, na który się zapatrując, albo rekoncyliacyi przez Cara szukają, albo konserwacyi fortun zawczasu *provident*, albo upadłe interesa nową jaką rewolucyą chcą podziwignąć, albo mając *metum* przyjścia Szwedów, *domum* sobie z powitaniem chcą uprzedzić. Sposob na to nie inny widzę, tylko wziąć sądy traktatu (warszawskiego) *in executionem* przeciwko korrespondencyom y nie trzebaby w tym tey iskierce dissymulować, ale ją wcześnie zgasić. *Clementius erit* J. K. Mość rekwirować, co to za konferencya była prywatna z Panem Görtzem, ale Panu H. H. trzeba dać mandat, aby się sprawił, co robił u Cara, Wrocław mieć *in animadversione*, osobliwie β. β. Jeżeli się temu *in herba* zabieży, dawszy na przykład, upewniam, że się zagrodzi droga do korrespondencyi. Wiedzieć y o tém należy, co ten Sagatowski powiada, żeby się jego pryncypał powrócić chciał (Leszczyński?) gdyby *clementiam* znalazł, y oddano mu to, co wzięto."

List powyższy dowodzi, mimo wszelkich swych nierozwiązalnych dzisiaj zagadkowości, jak niepewny grunt przedstawiała w owéj chwili Litwa, jak intrygi Goertza, agentów Leszczyńskiego, polityka partykularnego pokoju zdołały go podminować, jakie ztąd nowe trudności wynikały dla misyi Ponińskiego. Tymczasem, za przybyciem do Rygi, doszła wiadomość o legacyi starosty do Petersburga. Misya jego była tamże pod wielu względami wypadkiem do najwyższego stopnia niepożądanym. Nie chciano, ze znanych nam już wzglę-

dów wielkiéj akcyi politycznéj, wyprowadzać wojsk z Polski, nie chciano sobie również jednakże odmową narażać rzeczypospolitéj. Równocześnie sprowadził Piotr synowicę swą Annę ks. Kurlandzką do Petersburga, by załatwić ostatecznie jéj zatarg ze stanami księstwa a ją samę wydać za ks. Adolfa Weissenfelskiego. Nie dość na tém, trafiał przyjazd starosty w chwilę, kiedy sprowadzony przez Tołstoja i Rumiancowa z Neapolu carewicz Aleksy powrócił do Petersburga a Piotr zabierał się do wytoczenia olbrzymiego procesu jego wspólnikom. Z tych wszystkich powodów pragnęli Piotr, kanclerz Gołowkin, wicekanclerz Szafirow wstrzymać na połowie drogi wyprawę starosty do Petersburga, a znajdujący się w Rydze generał Adam Weyde odebrał rozkaz wejść z nim w porozumienie, dać mu najuroczystsze zaręczenie, że wyszły już nowe rozkazy do dowódców wojsk rosyjskich, tak że najdaléj w przeciągu pięciu tygodni żadnego żołnierza tych wojsk w krajach rzeczypospolitéj nie będzie, a skłonić tém samém posła do zaniechania dalszéj podróży. Weyde wykonał wiernie dane sobie polecenie, ale nie wpłynął w niczém na postanowienie starosty w wykonaniu instrukcyi z najściślejszą skrupulatnością. Po odbyciu nader uprzejmém konferencyi z generałem, puszcza się starosta po dwudniowym wypoczynku w Rydze, 7 lutego w dalszą drogę. Smutnie brzmi opis jego podróży przez kraj nadbaltycki.

„Z Rygi wyiechawszy 7 Februarii, przejechałem przez Narwę 13 *ejusdem*, mil 90, werst moskiewskich 397. Gdziekolwiek przez Inflanty przejechałem, nigdziem wsi staréj nie widział, ani dworu; wszystko popalone, fortece, miasta y miasteczka do szczętu zgładzone. Moskwa się tylko buduje. Ludzi bardzo mało, których nie tak wojna, jako powietrze poznosiło. Wszędzie, gdziekolwiek jechałem przez Inflanty, rudera tylko miast y ledwie mieysce jest, gdzie co było. Wszędzie *tristissima imago*. Chłopi, którzy pozostali, jusz się do niewoli przyuczyli. W Rydze pustki, z Derpt ludzie na Moskwę wybrani. Narew tylko i Rewel Inflanty zdobi. 12 Februarii zjechałem się z kuryerem Carskim nazad od Xcia Repnina powracającym, który był pierwszy wiózł ordinans Carski, aby pośpieszali, oraz y dispozycye zimowe woysku. Ten kuryer zostawił był Xcia Repnina w Kieydanach, mieście na Żmudzi, nie dziwować się, że z kajdan powoli idzie. Ja sam tam zażył prawdziwie moskiewskich mrozów, w jakich jeszczem nigdy nie bywał. Nie podobno ich wyrazić. Dosyć, że ile razy sobie przypominam, zaraz zimno człowieka wskroś przejmuje, moim się ludziom dużo taka naprzykrza podróża, ale i mnie nie mniéj, nie spodziewając się do tego za upały na południu, mrozy na samey północy podjęte, y tego słowa: Bóg zapłać. Jeżeli mi przyj-

dzie Cara I. Mci gonić, na co podobno przyjdzie, nie wiem, jako to zniosę mrozy, bo jeden czasem najcięższy kwadrans, jusz moim nogi odpadają. Inaczéj mi było w tamtych krajach szukać Cara Imci, mogąc się utaić, tu zaś nigdzie się bez paszportu nie ruszę y gdzie przyjadę, jusz wprzód o mnie wiedzą; wszędzie *ingrata persona*, bo wiedzą, z czem idę. Konie jak umyślnie leniwe, zabijaki po pocztach dają, żebym pośpieszyć nie mógł. Jeszcze bym tak mrozów nie czuł, gdyby prędsza była jazda. W drodze z Narwy potkałem kilkadziesiąt niewolnika szwedzkiego, którego Moskwa z Rewla do Petersburga prowadziła; tych Szwedów na morzu zabrali teraz nie dawno, zkąd znać, że traktat nie doszedł. W Petersburgu stanąłem szczęśliwie na południe 15 Februarii, werst 164 z Narwy; Cara I. Mci nie zastałem y nie zaraz go się tu spodziewają; ruszam tedy za nim na Moskwę.“ Otóż sprawozdanie starosty z pierwszego aktu podróży, która miała rozpocząć się po kilkudniowym zaledwie wypoczynku na nowo, ponieważ, w Petersburgu Piotra nie zastał.

Przypomnieć tu trzeba, że w tych samych dniach niemal, kiedy starosta przybył do Petersburga, toczyła się sprawa carewicza Aleksego. Z powodu tego panowało, jak starosta pisze, ponure w całym kraju usposobienie, komunikacye nadzwyczaj utrudnione, korespondencya bardzo niepewna, podróż bez paszportu całkiem niepodobna. Po pewnych staraniach, uzyskał przecież starosta paszport od Mężykowa a oddany, mimo osłabionego zdrowia i strasznie uciążliwéj podróży, jedynie tylko obowiązkom swéj misyi, wyjechał już 20 lutego do Moskwy. Podróż ta odbywała się, jak na ówczesną porę, stan dróg i środki komunikacyi, z niesłychaną szybkością. Dnia 1 marca stanął już starosta w Moskwie, jako gość nader niewygodny i niepożądany ze względu tak na chwilę, w któréj, jak na żądania, z któremi przybywał. „Zastałem tu rzeczy,“ pisze starosta, „y całą Moskwę *in summa consternatione* z okazyi tak dekretowanego przez Oyca Carewicza y odsądzonego *tanquam incapacem et rebellem* od Carstwa *et successione*, jako z zabrania *siccariorum conspiratorum* y onych na inkwizycyą moskiewską danych.“ Mimo to nie lenił się starosta z wykonaniem swych poleceń. Z osób obcéj dyplomacyi, na których mógł nieco liczyć, znajdował się naówczas w Moskwie reprezentant saski baron Loos. Znajdowali się nadto przy boku Piotra, jak zwykle kanclerz Gołowkin i wice-kanclerz Szafirow; był nareszcie wpływową wtedy w otoczeniu carskiém osobistością Jaworski, arcybiskup Riezański. Tuż po przybyciu, kołatał starosta do drzwi ministrów. Z początku nie byli dlań w domu. Dopiero 5 marca udało mu się zastać ich, doręczyć listy uwierzytelniające i prosić o audyencyą u Piotra. Gdy mimo to posłuchania nie wyznaczono, udał się sta-

rosta 8 marca ponownie do Gołowkina, który oświadczył, „iż jeszcze nie miał okazyi mówić z Carem IMcią, a zarazem dał do zrozumienia, „iż poseł staje się nieco uciążliwym swemi żądaniami.“ Starosta zaś na to: „Przyznałem mu, że się naprzykrzam I. Mci, alem prosił o wybaczenie, że się y daléj naprzykszać muszę, kiedy się woyska Carskie bardziey ojczyznie naprzykszają.“ Dzień po dniu odtąd od 8 do 12 marca zapisują listy starosty coraz to natarczywsze nalegania o udzielenie audyencyi, „poniewasz Rzeczpospolita jusz jusz do niecierpliwości jest dowiedziona“, a „o dalszey zwłoce musiałby *evincendo fidem* donieść.“ „Nazajutrz tedy (13 marca) — pisze starosta—*insperate* dano mi znać w kościele, że Car IMci czeka z audiencyą. Niedokończywszy tedy nabożeństwa pojechałem zaraz na audiencyą, po któréj oddałem ramotę. Uważałem, że pomieszany był Car IMość.“ Że mowa wypowiedziana przy téj sposobności przez starostę, nie podobała się ani Piotrowi, ani jego ministrom, mamy dowód w zarzutach, jakie późniéj robili mu z tego powodu ministrowie, mianowicie Szafirow. „W. Pan — wyrzucał staroście podkanclerzy — exkuzujesz a urażasz, jako w audiencyi u Cara J. Mości drwiłeś Waszeć z Cara mówiąc, że go cały świat slucha a woysko jego nie. Chwaliłeś Waszeć po retorycku Cara IMci, a przecie nie bez przymówki, y my po retorycku potrafimy gdzie tego potrzeba.“

Cóżkolwiekbądź, stało się jednak, według przyrzeczenia danego staroście na audyencyi, a 17 marca 1718 odbyła się konferencya między nim a Gołowkinem i Szafirowem, dająca, według relacyi spisanéj troskliwie przez naszego posła, nie mniéj dobre wyobrażenie o przebiegu toczącéj się sprawy, jak o stanowczości i energii samego posła. Po krótkiéj rozmowie w przedmiocie partykularnego pokoju między Piotrem a Szwecyą. o któréj to materyi obaj dygnitarze rosyjscy znaczące starali się zachować milczenie; po cierpkiéj z obu stron wymianie słów w przedmiocie mowy, z jaką starosta wystąpił na posłuchaniu z 13 marca, zainterpelował starosta obu ministrów wprost o przyczynę i racyą przedłużającego się pobytu wojsk rosyjskich. Odpowiedź Gołowkina na to zapytanie, odsłoniła odrazu prawdę sytuacyi. Gołowkin odpowiedział, że Piotr wydał istotnie rozkazy do dwóch dywizyi swych w Polsce, aby wychodziły; że jednakże trzecia, pod dowództwem Repnina. pozostanie o pięć marszów od granicy rosyjskiéj w krajach rzeczypospolitéj tak długo, „dopóki Król i Rzeczpospolita nie zaaprobują konwencyi zawartéj z miastem Gdańskiem.“ Ztąd zawiązała się na konferencyi owéj 17-go marca między posłem a ministrami Piotra długa i cierpka dyskusya, z któréj zarazem wypłynęły jako istotnie sporne między konferującemi stronami punkta: 1) sprawa konwencyi gdań-

skiéj, 2) sprawa kurlandzka. Co się tyczy *pierwszéj*, okazywali obaj ministrowie niesłychaną i niecierpliwą drażliwość, ile razy tylko poseł usiłował im wytłómaczyć, że król i rzeczpospolita nie mogą żadną miarą konwencyi gdańskiéj zatwierdzić raz dla tego, że się sprzeciwia sojuszowi zawartemu z Piotrem w roku 1704 i traktatowi warszawskiemu z roku 1717, następnie, że obchodzi się z Gdańskiem jakoby z osobną potęgą, któréj chce nakładać osobne jakieś ciężary wojenne, wreszcie, że stawia rzeczpospolitą w przykry delemat: albo wyparcia się opieki nad Gdańskiem, jako częścią swego ciała, albo uznania się hołdowniczą zależnością Piotra. Uległość podobna otworzyłaby oczy i innym sąsiadom rzeczypospolitéj, dla czego żadną miarą zatwierdzać konwencyi gdańskiéj nie można. Przychodziło z tego powodu w czasie konferencyi do ostréj wymiany słów. „Kiedym te proponował racye — pisze starosta w swém sprawozdaniu—wpadał mi często J. Mość Pan podkanclerzy (Szafirow) *impatientier*, pytając się, w czym konwencya gdańska jest przeciwko sojuszowi; pytałem się na to, jeżeli w sojuszu jest wziąść sumę pieniężną od Gdańszczanów? Odpowiadał, że to była sztrofa za korespondencye ze Szwedami. Pytałem się, czy mają dokument? Odpowiedzieli, że jest; prosiłem o kopię. Pytali się, jeżeli mam instrukcyą na to, aby się o to pytał y upominał o pieniądze wzięte. Odpowiedziałem, że nie mam instrukcyi teraz, abym się o to upominał, ale J. K. Mość y Rzeczpospolita inszego czasu o to rekwirować będzie. Tłumaczył to inaczéj J. Mci Pan podkanclerzy, obiecując woyskiem na tę odpowiedziéć rekwizycyą.“

Co się tyczy sprawy kurlandzkiéj i ewakuacyi księstwa przez wojska rosyjskie, trwali obaj ministrowie przy dawniéj objawioném postanowieniu, że ewakuacya przed zaspokojeniem pretensyi księżnéj Kurlandzkiéj nastąpić nie może, kiedy starosta oświadczał natomiast, że dla rozpoznania tych pretensyj będzie wyznaczona osobna komisya sejmowa, która „gdyby się nie podobała, upraszam się teraz najuniżeniéj o podanie inszego do tegoż pomiarkowania sposobu.“ Na tle powyższych tych oświadczeń swoich wypracował starosta obszerny memoryał i doręczył go 20 marca w Moskwie ministrom, „upraszając imieniem Króla i Rzeczypospolitéj o jak najpożądańszą expedycyą.“

Otóż to streszczony obraz usiłowań, jakie starosta podjął ku spełnieniu powierzonego zadania. Tymczasem, pominąwszy już nawet drażliwość jego i trudność, z jakiemi się na dworze moskiewskim spotykał, stanowiła przybierająca coraz groźniejsze i większe rozmiary sprawa carewicza niepospolitéj donioslości przeszkodę w uzyskaniu przez starostę „owéj prędkiéj i najpożądańszey ex-

pedycyi.“ Czekał za nią nadaremnie starosta w Moskwie do końca marca, dopraszając się równie nadaremno choćby prywatnéj audyencyi u Piotra, który załatwiwszy się z interesami w Moskwie, wybierał się w podróż do Petersburga, dokąd i starosta ruszyć za nim sobie przedsięwziął, „gdzie wolniejszy w większą wziąść może tę materyą reflexyą.“

Pojąć łatwo, że wśród podobnych wypadków, sprawa reprezentowana przez starostę zstąpiła na drugi plan, że ministrowie z żądaną przezeń ekspedycyą się nie śpieszyli.

W ostatnich dniach marca opuścili oni Moskwę i pojechali wraz z Piotrem do Petersburga, ograniczając całą swą ustępczość dla posła na udzieleniu paszportu do podobnejże podróży. Korzystając zeń, wybrał się starosta 9 kwietnia i odbył drogę wśród śniegów i mrozów, następnie roztopów, częścią kolaską, częścią sankami, częścią wodą, w przeciągu 32 dni. Dnia 11 maja stanął ponownie w Petersburgu, we dwa dni później odbył konferencyą z Gołowkinem, która znów obracała się około trzech znanych nam już spornych punktów: pobytu wojsk Piotra w Polsce, konwencyi gdańskiéj i Kurlandyi, a nie posunęła, mimo wszelkich nalegań starosty, głównéj rzeczy, o którą chodziło, ani o jeden krok naprzód. Starosta znajdował się w ciągłéj, jak widzimy, korespondencyi, ze szlachtą kurlandzką. W Gdańsku był jego głównym a najbezpieczniejszym jeszcze wśród bardzo utrudnionéj komunikacyi korespondentem, tamtejszy generalny pocztmagister pruski Sardi. Dochodziły go więc wciąż czy to z Gdańska wiadomości o posuwaniu się dywizyi Repnina na Żuławach, ku terytoryum miejskiemu, lub o ponownéj wyprawie galer rosyjskich, zagrażających blokadą od strony morskiéj, czy z Kurlandyi o nieprzestannym sekwestrze dóbr książęcych, jako i „o przymuszaniu szlachty *et status Curlandiae* do podania Xięcia na miejsce *viventis.*“ Wiadomo dobrze, jak trudném, jak kłopotliwém jest położenie dyplomacyi, opierającéj się jedynie na podstawie prawa, które nie ma za sobą argumentu siły. Starosta Kopanicki, jak to na pochwałę jego bystrości politycznéj powiedzieć możemy, był o téj prawdzie głęboko przeświadczony, dopomina się w listach swych do prymasa, do w. kanclerza kor., do w. marszałka Józefa Mniszka częstokroć o konieczność jakiejbądź zbrojnéj demonstracyi pułków koronnych na Żuławach Gdańskich, a tymczasem grozi zręcznie Portą Ottomańską, która bliska będąc zawarcia pokoju z cesarzem, „gotowe siły czy to do Polski, czy to państw Carskich obrócić może.“ W takim zaś razie potrzebniejsze Piotrowi niż kiedykolwiek, dobre porozumienie z rzecząpospolitą.

Na wszystkie te przedstawienia, odbierał starosta od Gołowkina i Szafirowa tylko w przedmiocie ewakuacyi wojsk jakokolwiek pożądaną odpowiedź. Gdańsk i Kurlandya natomiast stanowiły szkopuły, o które się wszelka ustępczość dygnitarzy rosyjskich rozbijała. „Na wszelkie — pisze starosta 13 maja 1718 do w. kanclerza kor. — *in materia* Gdańska remonstracye, to tylko *repositum*, że C. I. Mość tego nie odmieni, co deklarował, y póty na Żuławach Xże Repnin będzie, póki Kaprów nie wystawią. Przydał, że od Porthy nie ma *metum* Car Imci przeciwko sobie, chyba przeciwko Polsce, *exprobrando* oraz, żeśmy nie chcieli poyść *in societatem armorum* przeciwko Turczynowi; na co *reposui*, że Rzeczpospolita doznawszy *fluctus kolligacyi* z Carem Imcią, dla której wszystkie *incommoda belli* na grzbiecie swoim do tego czasu znosiła, nie chciała się w tęsz kolligacyą nowey woyny wdawać. Kontynuował daley IMci Pan Kanclerz, że jeżeliby Polska była niecierpliwa, niechay czyni co chce. Interess Carski jest *impedire* wszelkie ze Szwecyą korespondencye, *in quem finem negotiantes Ducatus Prussiae* ze Szwedami zabierać na morzu rozkazał. *In materia* Kurlandyi przyznał reprezentowane przezemnie konsekwencye wdania Cara IMci y Rzeczypospolitey w woynę.“ Tymczasem domaga się starosta nadaremno tak „reskryptu“ na podany memoryał i „expedycyi“ na swe konferencyjne żądania, kiedy przez cały maj dochodziły go pod bezpieczną kopertą kupca Thiringa z Rygi, coraz to więcéj alarmujące doniesienia od poczmistrza Sardego z Gdańska, od szlachcica kurlandzkiego Bülowa z Mitawy.

Nadszedł tak wśród owych żądań z jednéj, odmów czy zwłok z drugiéj strony czerwiec. Wśród ciągłych, ponurych zajęć, jakie wywoływał i na widowni petersburskiéj proces carewicza, nie mogła się mimo nalegań i kołatań starosty doczekać załatwienia i końca powierzona mu sprawa. Natomiast, zebrało się niespodzianie kilka okoliczności, które jéj mniéj lub więcéj otwarcie przeszkadzać poczęły. Jedną z takich był dokonany przez Sapiehów zajazd na dobra litewskie ks. Mężykowa, Dąbrowę. Bliższych szczegółów téj sprawy nie wyjaśniają listy starosty, ani inne znajdujące się w naszych ręku dokumenta. Być może, iżby się znalazły takowe gdzieindziéj. Cokolwiekbądź, stanowił ów zajazd Sapieżynki przykry wypadek, który wpływał niekorzystnie na usposobienie Mężykowa i wychodził na przeszkodę w staraniach posła. W gorszém nierównie świetle przedstawia się inny, nie mniej przeszkadzający jego misyi, zagadkowy nieco fakt następny, dowód widoczny owych prądów i usposobień, jakie starosta miał sposobność stwierdzić w styczniowym swym przejeździe przez Litwę. W czerwcu, właśnie kiedy

starosta nie przestaje kołatać coraz energiczniéj, choć ciągle nadaremno o „reskrypt“ i „expedycyę“, pojawił się w Petersburgu, niby-to mu do pomocy, niby to aby mu dodać ostrogi, niejaki Galiński stolnik wołkowyski. Starosta Kopanicki spoglądał na tę misyą po za plecami króla i rzeczypospolitéj z pewném niedowierzaniem od samego początku, podejrzywał tu nawet, choć jak się przekonał późniéj niesłusznie, skrytą rękę samego króla, a wypadki okazały wkrótce, że Galiński zamiast pomagać staroście w spełnieniu trudnego zadania, był raczéj równie zabiegle, jak intrygancko nurtującą jego przeszkodą. Stolnik wołkowyski przybywał po prostu, jak się pokazało, w skrytéj misyi od obu hetmanów litewskich, Pocieja i Denhofa, z poleceniem, by wejść w porozumienie z ministrami Piotra i postarać się o zatrzymanie wojsk rosyjskich w Polsce. Przyjechawszy w podobnéj misyi, Galiński odnosił naturalnie sukcesy, jakich Poniński z powodu cierpkiéj swéj postawy i niewygodnych żądań odnosić nie mógł. Stolnik zyskał posłuchanie u Piotra, odbywał konferencye z ministrami, był widocznie osobistością dobrze i chętnie widzianą na dworze i w świecie wysoko urzędowym, kiedy starosta nie tylko uwzględnienia swych postulatów, ale nawet odpowiedzi na nie uzyskać nie mógł.

Niedość, że w ten sposób zaszczepiano, jak pisze, za pomocą Galińskiego nieufność między królem a narodem, *„inter libertatem et majestatem“*, wstąpiła téż równocześnie, jak donosi starosta w liście swym do starosty Babimojskiego 24 czerwca, i Brandenburgia w rząd czynników zamącających do współki z Petersburgiem sprawę kurlandzką. „Car chce zrobić Rzeczypospolitey zabawkę z Brandeburczykiem“—pisze starosta, a rzeczywiście wystąpił naówczas król Pruski z planem osadzenia na tronie kurlandzkim krewnego swego, margrabiego Brandenburg-Schwedt, a to przez ożenienie go z ks. Kurlandzką, na co Piotr zdawał się przez niejaki czas przynajmniéj przyzwalać. Pomysł podobny jednakże sprzeciwiał się wręcz równie prawom żyjącego jeszcze i przebywającego w Gdańsku ks. Ferdynanda Kettlera, jak najwyraźniejszym prawom rzeczypospolitéj; stawał się zaś tém niebezpieczniejszym, że zamiast jednego, tworzył Polsce dwóch przeciwników na widowni kurlandzkiéj, wikłał coraz gorzéj zatarg z Piotrem i utrudniał w nieskończoność misyą starosty. Wobec tych wzrastających z każdym dniem przeszkód, wobec nieustannych gróźb Gdańskowi i pobytu dywizyi Repnina na Żuławach, radzi starosta w liście do w. kanclerza kor. zdobyć się na energiczniejszą akcyą i wyprawić na Żuławy „regimenty koronne.“ „Gdyby sobie tak postępowano wszędzie—pisze nie bez widocznéj goryczy—

skuteczniejsze by były moje remonstracye, ale widząc naszą dissimulacyą, daléj *progrediuntur*."

Z długiego szeregu listów ówczesnych starosty, przytoczymy w co ważniejszych i charakterystyczniejszych ustępach niektóre. Tak pisze 3 czerwca do starosty Babimojskiego: „Tak długo się doczekać nie mogąc na podany mój memoryał reskryptu, od którego cała determinacya *dependet*, posełałem znowu 30 *Maii*, upominając się o ten reskrypt, który, gdy znowu *differebant*, pojechałem sam nazajutrz. Konfundował się I. Mci Pan Kanclerz z tego przedłużenia, prosił, aby jeszcze zaczekać. Prosiłem y ja o wybaczenie, że się tak często naprzykrzam y naprzykrzać będę. Przypominałem, żem na rekwizycyą Ichmościów dałem memoriał zaraz we trzy dni a reskryptu nań czekam już trzeci miesiąc. Przyznał, że tak, dokładając, że ten memoriał potrzebuje czasu, aby nań dobrze y należycie odpisać, dla tego upraszał o pacyencyą jeszcze. Przypomniałem na to rezolucyą moją, że jeżelibym widział zwłokę, tedybym o paszport upraszał y jeżeliby rezolucya nie *ad vota* Rzeczypospolitéj być miała, na cóżbym za nią miał czekać? I gdy mi odpowiedział, że takasz będzie, jaka dana na pierwszey konferencyi, znowumem przekładał idące za tem konsekwencye, nowe ztąd w Polsce zamieszanie, podanie nieprzyjacielowi okazyi do czynienia praktyk szkodliwych wspólnym interesom. Jeżeli interes Cara Imci jest, aby Rzeczpospolite była *in tranquillo statu*, *in quem finem* woyska Carskie (jako o tym w Paryżu na konferencyi rezolwowano) w Polsce przebywały, za cóż po uspokojeniu się Rzeczypospolitéj teraz woyska u nas bawiące się okazyą dają do zepsucia tego interesu. Przyznałem się, że uważający interessa, y okoliczności y chęć dobrą ku Rzeczypospolitéj Cara IMci, przy których nic nie chce uczynić *ad desideria* Rzeczypospolitéj, nie inaczey sądzę, tylko że z samey naszey Polski musi być kto taki, który Cara IMci perswazyami w tym utrzymuje. Nic mi na to nie powiedziano, tylko że jeszcze za listami od Xcia Dołgorukiego do Króla I. Mości posłanego, z reskryptem zatrzymują się. Pytałem się tedy, czy jaką mają od niego wiadomość względem determinacyi na rekwizycye Króla I. Mości. Odpowiedziano mi, że żadney. Upewniłem tedy, że inszey rezolucyi mieć nie będą nad tą, którąm tak często w remonstracyach moich na konferencyach przełożył Ichmosciom, dla czego upraszałem, aby się Car I. Mość chciał prędko determinować y obligować Rzeczpospolitę, nie mogąc dłużey czekać nad Sobotę przyszłą, to jest *diem* 4 *Junii*."

Jak się przekonamy, przedłużył się jednakże pobyt starosty w Petersburgu bardzo znacznie nad powyższy termin, na co się zło-

żyły bardzo różne okoliczności: wspomniana wyżéj misya Galińskiego, proces carewicza, wreszcie umyślne zwłoki, których energia posła zwyciężyć nie mogła. Świadomość tego stanu rzeczy powtarza się ciągle w rozpaczliwych listach starosty, jak znów ze strony ministrów Piotra powtarza się niezmiennie odpowiedź, „że póty trzecia dywizya nie wynidzie, póki approbować nie będzie Rzeczpospolita konwencyi z Gdańskiem uczynioney y póki Gdańsk nie wystawi fregat obiecanych.“ Najciekawszą i najważniejszą pod tym względem była nowa konferencya 24-go czerwca, o któréj starosta tak pisze:

„Byłem 24 *Junii* po poczcie expediowaney u Imci Pana Kanclerza tutejszego, upominając się reskryptu, na co gdy według zwyczaju odpowiedział, że gotują, pytałem się, jeżeli Car I. Mość nie odmienił intencyi względem trzymania trzeciey dywizyi w granicach Rzeczypospolitej? Odpowiedział, iż jako na pierwszey deklarowano konferencyi, tak tosz y teraz Car I. Mości mówi, gdym znowu w téj materyi chciał mówić, czyniąc znowu niektóre remonstracye, niechciał y słuchać mówiąc: żeśmy dosyć już w téj materyi mówili, pytałem się jednak na jakim fundamencie ta dywizya jeszcze *subsistit* po wydanym już w Paryżu ukazie aby wyszła? Odpowiedział, ponieważ Gdańszczanie konwencyi zadosyć nie czynią. Pytam się: Ta sama konwencya Gdańska na jakim fundamencie czyniona? Wszystkie państwa mają prawa swoje, któremi się rządzą. Państwo zaś między państwem niczem się nie rządzi, tylko sojuszami. Jestże ta konwencya Gdańska na fundamencie sojuszu? y owszem, wyraznie jest przeciwko sojuszowi. Przyznał, że tak jest, ale Cara I. Mości wola. Wola, mówiłem, żeby była trwała, powinna być gruntowna, na fundamencie dobrym czyniona. Odpowiedział, że Gdańszczanie mają na wszystko gotowość y pieniądze, tylko Rzeczpospolita nie chce pozwolić. Odpowiedziałem, czy może to czynić z racyi, którém dawno powiedział. Pytałem się jaka rezolucya o Kurlandyi, do którey pretensye pomiarkować by się mogły. Powiedział, że może być tak, jakim projekt uczynił. Żeby zaś przymuszała Moskwa *status* do nominacyi Xcia, tego nie było. Przypomniałem list, któregom kopią podał, P. Bestużewa; exkuzował ten list, że to nie jest przymuszanie. Wziąwszy tedy informacyą nieodmienney Cara I. Mości rezolucyi, prosiłem o reskrypt. Y kiedy P. Kanclerz także prosił o poczekanie, mówiąc, że go gotuje, odpowiedziałem, że jusz czekam responsu tego cztery miesiące. Przypomniałem, żem jusz przed kilką niedziel namienił, że mam w instrukcyi, abym y bez expedycyi odjechał, chociażby ewakuacya woyska Carskiego była, gdyby miała być pózna y zwłóczona, dopierosz kiedy nie *ad vota* Rzeczypospolitéj rezolu-

cya. Dla tego poniewasz przez cztery miesiące nie możecie W. M. Panowie racyi fundamentalnych znaleść, dla których trzymacie u nas woyska, abym się więcey nie przykszył, proszę o paszport. Odpowiedział, że paszportu nie damy, ale reskrypt damy. Mówiłem na to, żeby to był polityczny sposób mnie przyaresztowania, nie dając ani reskryptu, ani paszportu. Iustyfikował się z tey suspicyi I. Mci kanclerz y gestem, y *admirationis notis*, nie mając tego nigdy w pomyśleniu, upraszał jeszcze o jakiś czas do tego reskryptu. Prosiłem, aby determinował dzień, w który reskrypt ma być oddany, obiecując cierpliwość moią do owego dnia. Nie chciał tego czynić, mówiąc, żem jest sługą Cara IMci, deklarować tego nie mogę, ale jak sam Car IMci rozkaże. *Ex hac immediata dependentia* od Cara I. Mci determinacyi czasu oddania reskryptu, domyśliwałem się, dla czego *retardant*. Dla tego tem bardziey *urgebam*, wyrażając, jakom tak długo był cierpliwy y dissimulujący, tak dłużej nie mogę znieść tego, aby Rzeczpospolita cierpiała. Widząc tę prolongacyę, upraszałem o paszport. Pytał się tu I. Mci Pan Kanclerz dosyć niedyskretnie, pretendując, żebym pokazał, czy to mam w instrukcyi. Odpowiedziałem, że instrukcyi mojéj nikomu pokazać nie mogę, ale mi krzywdę każdy czyni, ktokolwiek powątpiewa, żebym się według instrukcyi nie sprawił; prosząc za tem o wybaczenie, prosiłem IMość, jeżeli IMć miał ukaz od Cara IMci pytać się mnie, czy to mam w instrukcyi? Lepieyby mi było nie dawać audiencyi, niżeli dawszy nie wierzyć. Nic na to nie powiedział. Prosiłem daley o wybaczenie, że dłużey czekać nie mogę. Mogą Ichmość zważyć y w Xięstwie Litewskim do osoby moiey nieukontentowanie, kiedy iakobym tu próżnował, wysłali do Cara IMość z trybunału litewskiego. Odpowiedział, że żadnego listu nie było z trybunału do Cara IMci. Inszym zaś Ichmciom korespondencya z Carem IMością żadnym sposobem zabroniona być nie może. Nie chciałem się w to głęboko wdawać, jednak widząc, że to mówił nagotowany, spodziewając się, że tym korespondencyom przeszkadzać miałem, przypomniałem, że to przeciwko powadze Cara Jegomości, utrzymawszy po traktacie warszawskim powagą swoją tę konstytucyą zabraniającą korespondencye onesz *favorare*, odpowiedział, że się to nikomu zabronić nie może. Pytałem się, czyby miło było Carowi IMci, gdyby kto z poddanych iego korrespondował z Królem IMością P. N. N. Odpowiedział, że tego Car IM. zabronić nie może, a jako to przedtym bywało, tak y na potym będzie. Przydał: Macie W. M. Panowie konstytucye, ale się według nich nic nie dzieje. Odpowiedziałem, że jeżeli konstytucye podczas zamieszania zawieruszyły się gdzie w kąt, to teraz przyszedłszy wolność z majestatem do konfidencyi, prawa

te wezmą się na stół y otworzą się, byle komu z tem ciężko nie było. Poniewasz zaś nadzieię czynił prędkiego reskryptu, prosiłem o prywatną u Cara I. Mości audiencyę, którą obiecał, byle się Car ułacnił."

Przytoczyliśmy umyślnie długie powyższe sprawozdanie starosty z konferencyi z Gołowkinem i Szafirowem, ponieważ ono właśnie daje najlepsze wyobrażenie nie mniéj o charakterze i postawie posła, jak o intrydze podkopującéj jego działalność ze strony dygnitarzy litewskich, jak o samemże położeniu rzeczy. Biada wszelkiéj dyplomacyi, która nie ma za swojemi słowami argumentów czynu i siły. Czuł to i rozumiał bardzo dobrze starosta, nalegał dla tego, na jakąbądź w okolicy Gdańska zbrojną demonstracyą ze strony rzeczypospolitéj, jeżeli akcya jego w Petersburgu ma choć do pewnego stopnia być skuteczną. W razie przeciwnym a istniejącym niestety, przedstawiała się rzecz dla Polski i dla misyi starosty w najtragiczniejszych barwach. A więc najprzód niespełniona w niczém obietnica wyprowadzenia wojsk, następnie stanowcze oświadczenie wymuszenia siłą na Gdańsku zawartéj z nim konwencyi, wreszcie okupacya Kurlandyi aż do zadosyć uczynienia pretensyom owdowiałéj księżnéj. W takiém położeniu rzeczy pozostawało tylko staroście uważać układy za zerwane i domagać się paszportu. Jednakże, zabraniał ten sam interes, który wymagał pozostawienia wojsk rosyjskich w Polsce, stanowczego i wyraźnego z rzecząpospolitą zerwania. Zerwanie zagrażało rozpoczętym ze Szwecyą rokowaniom. Niepewna, co najmniéj, postawa Anglii, Hanoweru, cesarza Niemieckiego i Porty zapowiadała, iż w razie istotnego zatargu z Piotrem, Polska nie pozostałaby prawdopodobnie bez sprzymierzeńców, jak się téż rzeczywiście w kilka miesięcy późniéj stwierdzić miało. Ztąd to tłómaczyć sobie należy owe zwłoki stanowczéj decyzyi, owe obietnice „reskryptu“ i „expedycyi“, owo odmawianie paszportu.

Tymczasem pod koniec czerwca, w pierwszych dniach lipca (1718) zachmurzał się coraz bardziéj horyzont około starosty. Podkopywał go u Piotra stolnik Galiński. Słabą podporę, jeżeli nie wyraźną przeszkodę znajduje w pośle saskim Loosie, którego, nie wiadomo o ile słusznie, podejrzywa o współintrygowanie z Galińskim i o chęć zatrzymania wojsk carskich w Polsce w interesie Augusta. Komunikacya z Polską była nadzwyczaj utrudnioną, zwłaszcza wśród toczącego się jeszcze procesu carewicza. Nie dochodziły go, jak się uskarża, listy z Polski, nie dochodziły listy jego do Polski. Najbezpieczniejszymi, jak dotąd, pośrednikami korespondencyi pozostają kupiec Thiring w Rydze, poczmistrz pruski w Gdańsku Sardi, kiedy

on sam, do Petersburga, każe sobie nadesłać listy pod adresem „leytnanta A. Merfelda.“

Równocześnie trwa męcząca zwłoka, bez odpowiedzi, bez paszportu, stan istnéj niewoli, wśród któréj raz poraz powtarzająca się obietnica „rychłego responsu.“ Jakżeż to inaczéj wszystko w porównaniu z przeszłoroczną misyą paryską, któréj paralela nasuwa się częstokroć pod pióro staroście w jego listach. Jakże rozpaczliwie brzmi w liście z 4 lipca taki np. ustęp: „ale ani paszportu dać nie chcą y jusz y manifestem grożą; jednak tego nie uważają, kiedy króla (Augusta) y hetmanów (litewskich) mają, tamtego dla Kurlandyi (dla zamierzonego następstwa Maurycego Saskiego), tamtych dla pieniędzy.“

Jedyną pociechą w ówczesnych utrapieniach starosty a być może, iż i niezupełnie bezskuteczną okolicznością dla zakończenia jego męczeńskiéj misyi i uwolnienia jego osoby, był fakt rady senatu Rydzyńskiéj, odbytéj 10 czerwca 1718 pod przewodnictwem samegoż Augusta, rady zdobywającéj się przecież na jakieś energiczniejsze postanowienia względem carskiego reprezentanta w Polsce, Dołgorukiego. Przebieg wspomnianéj rady był następny. Kiedy starosta męczył się w najlepsze nad spełnieniem swéj misyi, a wojska Piotra mimo wydanych rozkazów, pozostawały w Polsce, zjechał August 31 maja z Drezna do Rydzyny, gdzie w zamku wystawionym przez króla Stanisława, przebywającego na wygnaniu Zweibrückeńskiém, zabieral się odbyć radę senatu. Była ona zewnętrznie świetniejszą, zapowiadała się nadto znaczeniem politycznem ważniéj i poważniéj, od poprzednich. Zjechał równocześnie do Rydzyny, a dostał pomieszczenie w pobliskiéj wsi Dębcu wysłannik Porty Kapidżi Basza, przybywający, co najważniejsza, z ofiarami przyjaźni i przymierza rzeczypospolitéj przeciw Piotrowi. Na siedemnastu zaś obecnych senatorów i ministrów, było trzynastu Wielkopolan, czyli reprezentantów województw, które cierpiały dotąd najdotkliwiéj przez pobyt wojsk rosyjskich. Rezultatem ztąd dość naturalnym, że rada senatu mogła być i była téż istotnie więcéj, niż kiedykolwiek, stanowczą i śmiałą w postulatach swych wobec Piotra i jego reprezentanta Dołgorukiego. Odbyła się rada, jak już powiedziano 10 czerwca, a pominąwszy inne jéj, obojętne dla naszego przedmiotu uchwały, najważniejszym jéj czynom było wygotowanie do Dołgorukiego długiego, obszernemi argumentami popartego, stanowczego w swych postulatach listu, w którym rada żądała wyprowadzenia wojsk rosyjskich z wszystkich krajów polskich, nie wyjmując owéj trzeciéj dywizyi Repnina, przeznaczonéj iść pod Gdańsk. W liście tymże odmawiała Rydzyńska rada zawartéj między Gdań-

skiem a Piotrem konwencyi wszelkiego obowiązującego znaczenia, dopóki by jéj król i rzeczpospolita sankcyi nie udzielili. Oświadczenie podobne, jakkolwiek tylko akt papierowy, nie poparty żadnym czynem, ani nawet jak tego chciał starosta Kopanicki, żadną choćby demonstracyą zbrojną, nie pozostało przecież bez wpływu, dodało postawie jego więcéj śmiałości. Za odebraniem doniesienia o wystąpieniu rady senatu, udał się starosta 28 czerwca ponownie do Gołowkina i Szafirowa, powołując się na odebrane z Polski wiadomości, żądając natarczywie albo szybkiej odpowiedzi, albo paszportu, w każdym zaś razie audyencyi u Piotra. Ze strony ministrów spotkała go znowu zwlekająca, pełna nowych wybiegów odpowiedź. Co się zaś tyczy żądanéj audyencyi, wpłynęło na to żądanie starosty najniewątpliwiéj rozwiązanie ostateczne strasznéj tragedyi, jakiéj od pół roku już widownią były Moskwa naprzód, następnie Petersburg. Carewicz, z którego procesu i śledztwa śladami spotykamy się jeszcze niejednokrotnie w pozostałych po staroście Kopanickim papierach, zakończył nareszcie opłakany żywot w twierdzy petersburskiéj 8 lipca. Piotr wyprawiwszy synowi uroczysty pogrzeb, wyjechał natychmiast do Kronsztadu następnie do Rewla, potém zamierzał udać się na wyspy Alandzkie, podobno dla osobistego spotkania się z królem Szwedzkim. Dość, że nie uzyskał starosta mimo wszelkich starań żądanego posłuchania.

Przeciągnęły się w takim stanie rzeczy do 23 lipca. Misya starosty, nie poparta akcyą z kraju, paraliżowana do pewnego stopnia z Litwy, znajdująca pierwszą i ostatnią pomoc w uchwale rady Rydzyńskiéj, chybiła; poseł sam domagał się już tylko osobistéj wolności, możności wyjazdu, paszportu, domagał się interwencyi królewskiéj, aby mu swoboda osobista była przywrócona. „Jestem jako w więzieniu,“ pisze do Sardiego, „z którego wybawienia codzień czekam. Jużem nieodmienną odebrał ustną rezolucyą, że trzecia dywizya póty zostanie, póki Rzeczpospolita konwencyi gdańskiéj aprobować nie będzie, ale to *praetext*, w rzeczy samey zaś, aby bliższymi y gotowszymi byli in *succursum* do Meklemburgii. Chociażby ta trzecia dywizya wyszła, jednakowoby nie dotrzymano, y miawszy sobie Polskę za kamienicę przechodnią, zawszeby się do Meklemburgii przechodzili.“ Nareszcie, 31 lipca, odebrał starosta z rąk ministrów datowaną dnia 12 lipca 1718 z Kronsztadu odpowiedź na swój podany Piotrowi 12 marca memoryał. Uważając go za niewystarczający, upomniał się starosta o list Piotra do króla i rzeczypospolitéj, uwierzytelniający carski „reskrypt“ i uzyskał téż takowy po niejakich targach. „Dali,“ pisze 31 lipca, „paszport y expedycyą a sposobu wyjazdu bronią“ (podorożnego nie dają). Wspomniony reskrypt, nie-

znany dotąd przytaczamy w całéj rozciągłości ze względu, iż stwierdza smutną prawdę ówczesnych stosunków rzeczypospolitéj z przemożnym aliantem. Dokument ten brzmi w oryginalnym swym języku dosłownie, jak następuje.

„O wyprowadzeniu Jego Carskiego Wieliczestwa woysk z ziem Rzeczypospolitéj przy odprawiającey się na Moskwie konferencyi od ministrów *status*, obszernie jest I. Mość Panu staroście Kopanickiemu objawiono, że kiedy IMość od Jego Królewskiego Wieliczestwa y Rzeczypospolitéj z rekwizycyą o wyprowadzenie tych woysk przysłany był do Jego Carskiego Wieliczestwa, natenczas z tymże J. Mością odprawione były Jego Carskiego Wieliczestwa ukazy do komenderującego I. Mci Pana Generała Feldmarszałka Graffa Szeremeta y drugich generałów o wystąpieniu onych z temi woyskami w granice Jego Carskiego Wieliczestwa, według którego Jego Carskiego Wieliczestwa ukazu, ci generałowie jak prędko sposobny czas do tego onym posłużył, marsz swoy odprawowali y jusz dawno większa część wyszła w granice Jego Carskiego Wieliczestwa, tylko jeden generał Xżę Repnin po ukazu Jego Carskiego Wieliczestwa z dywizyę swoią za pięć marszów do granicy był ostawiony y to dla tego, że Gdańszczanie po uczynioney z Carskim Wieliczestwem konwencyi przyobiecali poprzestać z Szwecyą odprawować targów y korrespondencyi, jako z spólnym nieprzyjacielem, tak Jego Carskiego Wieliczestwa, jako y Jego Królewskiego Wieliczestwa y Rzeczypospolitéj (ponieważ przeto wielka pomoc y przybytek jest nieprzyjacielowi) y aktualnie przeciwnych siebie onemu pokazawszy, chcieli wystawić trzy fregaty wojenne swoim kosztem pod imieniem Jego Królewskiego Wieliczestwa y za iedno przy orężu Jego Carskiego Wieliczestwa z temi fregatami starać się chcieli wszelką czynić przestrogę targom szwedzkim, o czym iego Carskie Wieliczestwo tegoż samego czasu hramotę swoją do Jego Królewskiego Wieliczestwa pisać raczył. Oraz y posłowi o tym Jego Królewskiemu Wieliczestwu y Rzeczypospolitéj przełożyć rozkazał, aby dla dobra pospolitego y spolnego sojuszu na tę uczynioną konwencyą aprobacyą swoią Jego Królewskiego Wieliczestwa uczynić raczył y na wypełnienie wszystkiego tego należące ukazy do magistratu gdańskiego odprawione były. A ponieważ według żądania Jego Carskiego Wieliczestwa dotychczas od Jego Królewskiego Wieliczestwa aprobacya na to nie jest uczyniona y przynależące ukazy, odkładając do następnego seymu, do magistratu gdańskiego nie odprawione. Przeto rozkazano generałowi Xięciu Repninowi z jego dywizyą dotychczas być w ziemiach Rzeczypospolitéj, póki Gdańszczanie według obietnic swoich wszystko wypełnią, gdyż Jego Carskie Wieliczestwo

sprawiedliwe ma przyczyny do tego ich przymuszać y dla tego generał Xiążę Repnin ma rozkaz zbliżać się ku miastu Gdańskowi. A najbardziéj że z wielu mieysc mamy wiadomości, iż Król Szwedzki nie mogąc więcéj armeję swoją, *de novo* teraz w niemałych tysiącach zebraną na swoim koszcie w swoich utrzymywać ziemiach, dla tego ma przedsięwzięcie z tą armją swoję transport uczynić ku Gdańskowi w Polskę, albo też w Prussy i Germanię. Przeto tym Jego Carskiego Wieliczestwa woyskom dla dobra pospolitego wszystkich skolligowanych aliantów pobliżey być należy, ażeby w takiey okazyi z woyskami wysokich Jego Carskiego Wieliczestwa aliantów a osobliwie Jego Królewskiego Wieliczestwa Pruskiego złączywszy się, szwedzkie przedsięwzięcia przeszkodzić mogli. Jeżeli zaś Jego Królewskie Wieliczestwo uczynioną z miastem Gdańskiem konwencyą approbować y należące o tym ukazy a osobliwie o *worężeniu* fregatów do magistratu gdańskiego posłać y ich do wykonania tego wszystkiego przymusić y pobudzić raczy, y żadnego niebezpieczeństwa od transportu szwedzkiego nie będzie, w tym tedy Jego Carskie Wieliczestwo Jego Królewskie Wieliczestwo y Rzeczpospolitą upewnić raczy, że na ten czas bez zamieszkania te pozostałe woyska z ziem Rzeczypospolitéj do swoich granic wyprowadzi... Gdy zaś I. M. Pan starosta Kopanicki w podanym swoim memoriale *inter caetera* y to wyraził, że Jego Królewskie Wieliczestwo dla tego tey uczynioney z miastem Gdańskiem konwencyi approbować nie może, ponieważ tę konwencyę uczynił magistrat bez dania wiadomości y konsensu Jego Królewskiego y Rzeczypospolitéj, dla tego na to daie się ten respons, że przed dwiema roki, kiedy Jego Carskie Wieliczestwo podróżą swoią w Germanię odprawować raczył, w którym z Jego Królewskiem Wieliczestwem miał powitanie w Gdańsku, natenczas tedy tak Jego Królewskiemu Wieliczestwu, jako y znanym Rzeczypospolitéj osobom, przy Królewskiem Wieliczestwie będącym a mianowicie biskupach Warmińskim y Kujawskim, podskarbim Przebendowskim, wojewodzie Chełmińskim Rybińskim, o wszystkich od tego miasta spolnemu sojuszowi czyniących się przeciwnościach, obszernie takim sposobem przekładać raczył, że miasto Gdańsk nazywa się być Jego Królewskiego Wieliczestwa y według obligacyi sojusza należy onym przeciwko spolnego nieprzyjaciela dopomagać y z nim iako z nieprzyjacielem postępować. Lecz oni miasto tego wszystko czynią *in favorem* Szwecyi, poniewasz wspomagaią onych pieniędzmi przez wexel y swobodne targi z nią odprawiaią; przez ich albowiem sukkurs tak długą Szwedzi przeciągayą woynę. Dla tego tedy, aby Jego Królewskie Wieliczestwo y Stany Rzeczypospolitey ich Gdańszczan przymusili, ażeby oni odprawowania targów z Swecyą

poprzestali, y żadnego wspomożenia nie czynili; lecz naybardziey aktualnie według spolnego sojuszu przeciwko oney dopomagali, o czym Jego Królewskie Wieliczestwo y Stany Rzeczypospolitey przy Jego Królewskiem Wieliczestwie natenczas będące, chociay Gdańszczanom przekładali. No, poniewasz wtedy żadnéj skłonności od nich na to nie było, przeto Jego Carskiemu Wieliczestwu Jego Królewskiemu (?) Wieliczestwu (?) raczył, że po wielu remonstracyach Gdańszczanie na to skłonności swey nie pokazuią y że Jego Królewskie Wieliczestwo siłą przymusić ich do tego nie może, lecz żeby sam Jego Carskie Wieliczestwo dla dobra pospolitego do tego onych przymuszać raczył. Co Jego Carskie Wieliczestwo natenczas zaniechał, gdyż woyskom potrzeba było nie opuszczając czasu marsz swóy w Duńską kontinuować ziemię dla maiących się odprawować akcyi przeciwko spolnego nieprzyjaciela. Przy powracaniu się tedy woysk Jego Carskiego Wleliczestwa z Germanii, o pomienioney konwencyi z Gdańszczanami konsentiment jest uczyniony. O czym tegosz czasu Jego Carskie Wieliczestwo przez hramotę swoią Jego Królewskie Wieliczestwo uwiadomić raczył. Z czego I. Mość Pan starosta Kopanicki poznać może, że nie bez komunikacyi o tem Jego Królewskiemu Wieliczestwu y znałym Rzeczypospolitey osobom jest to uczyniono. A do tego, gdy ta konwencya ku dobru jest Rzeczypospolitey, przeto nie z małym iest Jego Carskiego Wieliczestwa podziwieniem, dla czego Jego Królewskie Wieliczestwo konwencyi tey aprobować nie zezwala, kiedy ona uczyniona jest nie w przeciwność interessom Rzeczypospolitey, ino bardziey pożyteczna wszystkim skoligowanym aliantom. Dla tego y samym należałoby wszelkiemi sposobami pobudzać do tego Gdańszczan, aby przyobiecanemi woręźnemi swemi fregatami mogli iaki uszczerbek przynieść nieprzyjacielowi, poniewasz samych ich wymaga interess szukać tego wszelkiemi sposobami, aby nieprzyjaciela bezsilnym uczynić y ku pożywieniu onego potrzebnych materiałów y chleba nie przepuszczać, ponieważ on większą część do sustentowania się z Gdańska otrzymał. Tu zaś przeciwnym sposobem od przedsięwziętego ich samych woręźenia utrzymywaią y oną wypełnić bronią, przez co samo przeciwność czynią postanowionemu z Jego Carskiem Wieliczestwem sojuszowi, gdysz sami nic poczynać nie chcą. Tym zaś, którzy przeciwko nieprzyjaciela postępować y onemu iaki mały uszczerbek uczynić są skłonnemi, od Rzeczypospolitey zabrania się. Wszystek zaś ciężar tey wojny na jednego tylko Jego Carskie Wieliczestwo składają, którą dotychczas Jego Carskie Wieliczestwo z wielkim swoim kosztem musiał ieden ponosić, bez żadnego według obligacyi sojuszu wspomożenia. Mniemamy oraz, że Jego Królewskiemu Wieli-

czestwu y Rzeczypospolitey jest pamiętno, kiedy Turcy wszczęli woynę, przeciwko Jego Carskiemu Wieliczestwu, tylko z tey przyczyny gdy faworyzuiąc oni Królowi Szwedzkiemu to przedsięwzięcie z spólnym nieprzyjacielem wzięli, aby do Polski wstąpiwszy, siłą postanowili królem Stanisława. Co Rzeczpospolita w pilny przyiąwszy rozsądek obaczyć może, jakie Jego Królewskiemu Wieliczestwu niebezpieczeństwo y iak cierpka Rzeczypospolitey mina y naruszenie wolnościom przez to przytrafić się mogłoby. Co widząc Jego Carskie Wieliczestwo y do tego zła Jego Królewskie Wieliczestwo y Rzeczpospolitą dopuścić nie chcąc, rozkazał przeciwko tego u Porty protestować, przez co od Turków nawiódł na siebie woynę y przy początku oney, chociay Jego Królewskie Wieliczestwo y Rzeczpospolita *in senatus consilio* w Jarosławiu byli postanowili y według obligacyi rozhoworu wiecznego pokoiu *et secundum defensivum foedus* przyobiecali z woyskami swemi przeciw Turkom dopomagać, naznaczywszy posłać *corpus* woysk koronnych y litewskich. Lecz potém uwidział Jego Carskie Wieliczestwo, że te woyska nie tylko przeciwko Turkom, ale tesz y za granicę nie wychodziły a Jego Carskie Wieliczestwo za przeciwnym przytrafiwszy się trafunkiem y za niedostatkiem prowiantu, nietylko niebezpieczeństwa wielkie, lecz y niezliczone poniósł ubytki. Przytym y prowincią Azowską z miastem y *Hawen* (portem) na Taganrogu, gdzie okręty przystają, z drugiemi miasteczkami, dla otrzymania pokoiu oddać Turkom musiał, ażeby z swoiey strony woynę ukończyć, swobodne mieć zaś ręce przeciwko króla szwedzkiego. Oraz należałoby pamiętać przeszłey konfederacyi Tarnogrodzkiej domową woynę, przez którą Jego Królewskiego Wieliczestwa wysokiey osobie i władze, iliteż wolnościom Rzeczypospolitey naruszenie wynikałoby, ieżeliby Jego Carskie Wieliczestwo według prośby Rzeczypospolitéj nie przedstawił mediacyi swoiej y przez *authoritet* swoią, to *oporządziło* (sic), nie przyprowadziłby do dobrego y na wszystkie strony pomiarkowanego przymierza, nie szukaiąc przy tym y nie wymagaiąc żadnego sobie interessu, według którey całemu światu pochwalney, pozyskany zaś interessom Jego Królewskiego Wieliczestwa y Rzeczypospolitey od Jego Carskiego Wieliczestwa uczynioney skłonności, można Jego Carskiemu Wieliczestwu oczekiwać było podziękowania. Lecz przeciwnym sposobem przymuszony widziéć od I. Mci Pana Starosty Kopanickiego przy podaney onemu audiencyi kontenta oracyi, także y na konferencyach bardzo urażające z niektórym ugrożeniem narzekania, czego Jego Carskie Wieliczestwo za takowe swoie dobre sprzyiaiące chęci, których wszystkich y wypisać trudno, nie zasłużył. Chociay tego nie iest wiadomo, jeżeli to pomieniony starosta po ukazu, ili też sam sobą uczynił.

O czym wszystkiem ukaz jest Posłowi Jego Carskiego Wieliczestwa Jego Królewskiemu Wieliczestwu y Stanom Rzeczypospolitey przedłożyć y iawno uczynić. I tey jest Jego Carskie Wieliczestwo nadzieiey, że kiedy Jego Królewskie Wieliczestwo y Stany Rzeczypospolitey przyjmą wszystkie te Jego Carskiego Wieliczestwa w pilny rozsądek przedłożenia, to nie tylko temu, że woyska Jego Carskiego Wieliczestwa zbliżają się ku Gdańskowi, nie będą przeciwni, lecz rozważając o dobru pospolitym a osobliwie o swoim partykularnym bezpieczeństwie, sami do tego ich Gdańszczan pobudzić nie zaniechają y approbowawszy nawet tę konwencyę, ku wykonaniu oney należące ukazy do magistratu poszlą, nie dopuszczając do ostatniego przedsięwzięcia przeciw tego miasta.. Co zaś należy o pretensyach Jego Carskiego Wieliczestwa do Kurlandii. według rozhoworu małżeństwa między nieboszczykiem Xięciem Kurlandzkim y Synowicą Jego Carskiego Wieliczestwa, Jaśnie Oświeconą Carówną Anną, y o tém już wielokrotne prośby od Jego Carskiego Wieliczestwa Jego Królewskiemu Wieliczestwu y Stanom Rzeczypospolitéj o satisfakcyi przedłożone były, lecz nigdy w tém skłonności nie pokazano było, dla tego tedy sam Jego Carskie Wieliczestwo satisfakcyi szukać był przymuszony. O czym Jego Carskiego Wieliczestwa Poseł ma ukaz przekładać Jego Królewskiemu Wieliczestwu y Stanom Rzeczypospolitey. (Podp.) Kanclerz *Graf Gołowkin*, podkanclerz Baron *Piotr Szafirow*."

Nieznany ten a ważny dokument zamieściliśmy w całości z dwojakiéj przyczyny. Najprzód ze względu na ciekawy szczegół, jaki odsłania pod względem *formalnym*. Jak widać z całego stylu, układu i języka niepoprawnego owego dokumentu, toczyły się, jeżeli nie ustne konferencye między posłem rzeczypospolitéj. a kanclerzami carskiemi, to z pewnością piśmienna korespondencya w języku *polskim*, takim naturalnie, jakiego charakterystyczną próbkę dostarcza nam powyższy dokument. Nie mniéj ciekawym jest powyższy dokument pod względem treści. Reprezentanci Piotra odzywają się do sprzymierzonéj z sobą rzeczypospolitéj tonem nie sprzymierzeńców, ale wyraźnych panów. Obietnica wyprowadzenia wojsk pozostaje obietnicą bez jakichbądź widoków urzeczywistnienia, Gdańsk, miasto wchodzące w skład rzeczypospolitéj ma być bezceremonialnie zmuszone przez Repnina do wykonania narzuconéj sobie konwencyi w przedmiocie wystawienia kaprów i zapłacenia kontrybucyi. Co się tyczy Kurlandyi, również części rzeczypospolitéj, zapowiada Piotr że myśli sobie poszukać sam odmawianéj satysfakcyi. Nie dość na tém, poczynione królowi i rzeczypospolitéj zarzuty, że nie dopełnili sojuszu, że zrzucili cały ciężar wojny na Piotra, że go bez pomocy

pozostawili w obec całéj potęgi Porty. Z oskarżającéj stała się w dokumencie tym rzeczpospolita oskarżoną a jeżeli kto wyszedł obronną ręką, to starosta Kopanicki, który „czyto na audiencyi, czy na konferencyach", choć pozbawiony wszelkich środków wspierających zwykle akcyą dyplomatyczną, „odzywał się z narzekaniami i ugrożeniem."

Rozdrażniony i rozżalony do najwyższego stopnia, wśród ciągłych jeszcze sporów i targów z ministrami o list do króla i stanów rzeczypospolitéj, o kopię powyższéj, udzielonéj sobie rezolucyi, znalazł się nareszcie starosta w jéj posiadaniu w pierwszych dniach sierpnia (1718) a po uzyskaniu paszportu i podorożnego, widzimy go z wielkiem zadowolnieniem, po półrocznym przeszło, utrapionym pobycie, przygotowującego się nareszcie do wyjazdu. Kiedy Petersburg opuścił, nie widać dokładnie z pozostałych po nim papierów. Najprawdopodobniéj, nastąpiło to jednakże około połowy sierpnia, ponieważ dnia 20 tegoż miesiąca widzimy go w Rydze, zkąd wyprawia jeszcze cierpki w przedmiocie swéj misyi list do Gołowkina. Złamany na duchu, zmitrężony doznanemi przykrościami i niepowodzeniem legacyi, wyjeżdża następnie do Mitawy, dokąd przybywa 22 sierp. „Y tu ztąd," pisze do starosty Babimojskiego, „zadosyć uczynię powinności moiey, ucierpiałem siła, wyjście zaś trudne... W czym mnie tylko mogli mortifikować, nie omieszkali, nie mogąc ani *pretio*, ani groźbami *frangere*." Istną rozpaczą był nacechowany inny, równoczesny list starosty, do prymasa: „Jakże *una manus* (starosta sam) miała *aedificare*, kiedy druga (Galiński i dygnitarze litewscy) ruynowała, ale o tym pisać trudno. Posełam kopie, z których się W. X. Mość doczytasz y domyślisz, jakie jeszcze formować będą pretensye. Chociaszby y ta trzecia wyszła dywizya, jednakby nie dotrzymano y *pro libitu* by wchodzili, kiedy im potrzeba będzie, do Meklemburgii." Przewidywania te spełniły się prędko, bo już za przybyciem do Tylży, 17 września, doszła starostę wiadomość o wkroczeniu nowych dziesięciu pułków rosyjskich od strony Smoleńska na Litwę pod Mińsk...

Nie zatrzymując się nad szczegółami przykréj przez Żmudź podróży, połączonéj z tak drażliwemi zajściami, iż się w przedmiocie ich starosta udawał ze skargą do biskupa Żmudzkiego Horaina,—powiedzmy, że Poniński po kilkunastodniowym wypoczynku na terytorium pruskiem w Tylży, ruszył do Grodna, gdzie stanął 3 października 1718. Tutaj to wrzało wszystko gwarem i życiem w obec zbierającego się, pierwszego po uspokojeniu kraju na sejmie niemym, walnego sejmu. Zjechał już był na miejsce, król w zwykłém otoczeniu dworu saskiego, panów i ministrów rzeczypospolitéj, zjeżdżali się

powoli posłowie, znaleźli się ambasador Piotra, jednooki książę Hrehory Dołgoruki, reprezentant króla pruskiego baron Kunheim. Jak w 75 lat późniéj na tejże saméj widowni, tak i naówczas przedstawiali Dołgoruki i Kunheim ligę i wspólny interes obu państw sąsiadujących z Polską, zwłaszcza, że Prusom podobnie jak Piotrowi chodziło o wytrącenie Augustowi naczelnictwa nad wojskiem rzeczypospolitéj, co się spełniło przez rezygnacyą z dowództwa obu hetmanów, zwłaszcza daléj, że Prusy poczęły zaglądać do Kurlandyi z cichem przyzwoleniem Piotra, podejmując plan ożenienia margrabiego Brandenburg-Schwedt z księżną Kurlandzką. Co się tyczy zgromadzonéj szlachty, wrzała ona rozdrażnieniem i gniewem z powodu nieustającego ciężaru, jaki na nią spadał przez pobyt wojsk rosyjskich, domagała się natarczywie nowych środków zaradczych, odkazywała się przeciw Dołgorukiemu, wyprawiała doń nawet deputacye z groźnemi, jak byśmy powiedzieli po dzisiejszemu, interpelacyami. Nie przeszkadzało to jednakże, że w gronie jéj nie zbywało na licznych, mniéj lub więcéj otwartych zwolennikach rosyjskiego interesu. „Przyjaciół moskiewskich siła tutaj“— pisze starosta 26 października, ulegając temu samemu usposobieniu, tym samym wrażeniom, jakie wywiózł z sześciomiesięcznego przeszło na Moskwie pobytu. Akcya jego w Grodnie przedstawia się następnie: Nazajutrz po przybyciu, 5 października, „przywitałem—pisze—Króla IMci, u którego miałem prywatney audiencyi z godzinę. Byłem i u inszych Ich Mościów, osobliwie Ich Mościów P. P. ministrów; wszędzie obawiałem się nagany za to, żem list odesłał od Cara I. Mości nazad, ale to wszyscy pochwalili.“ Odtąd, przez kilkanaście dni, widzimy starostę, nie będącego ani posłem, ani ministrem, na uboczu, co najwięcéj bacznym i bystrym widzem czynności i ludzi sejmowych. Raz poraz, jak sam powiada, przychodziło między nim a Dołgorukim do ostrych, jakkolwiek dyplomatyczną galanteryą osłonionych przemówek. „Byłem ja tamże (u prymasa) — pisze starosta w swym grodzieńskim dzienniku 17 października — gdzie mnie Xżę Dołgoruki nadzwyczay obligował sobie y Sekretarz Carski z nim będący zapraszał mnie znowu do Moskwy, chcąc poprawić tego, w czymkolwiek w traktowaniu mnie *peccatum.*

Dzień 19-go października dopiero zapisuje się w kronice sejmu ważnym aktem, w którym widzimy uczestniczącego i starostę Kopanickiego. W dniu tym, po ustąpieniu arbitrów, w obecności króla, kanclerzy i ministrów obojga narodów, połączonych izb poselskiéj i senatorskiéj— składali wszyscy z kolei wyprawieni kiedybądź do Piotra posłowie, sprawozdanie ze spełnionych przez się legacyi. Pierwszy zdawał sprawę Wołłowicz, referendarz lit., jako sekretarz

misyi, odbytéj przez zmarłego późniéj brata swego, w. marszałka lit. w r. 1710. Jako drugi zdawał podobnąż sprawę Jakób Dunin, regent kancelaryi kor., z misyi odbytéj w trzy lata późniéj,—wszystko nadaremne tylko próby bezsilności starającéj się siłę przekonać argumentami pisanego prawa i literą traktatów. Jako trzeci zabrał głos starosta Kopanicki i odezwał się w następne słowa:

„Posłany na południe, posłany na północ, w ukazach woyska moskiewskie wyprowadzających *ramum olivae* przynosiłem. Z północy *ab aquilone* oziębłą Cara IMości ku Rzeczypospolitéj niosę chęć i ochotę. Niosę *ex centro cordis* jako najniższą Maiestatowi W. K. Mości P. N. M. submissyą. Podnoszę przed Najjaśniejszym Jego Thronem wesołość twarzy z otrzymanych na południu ukazów. Zalewam się wstydem pod nogami W. K. Mości za niedotrzymanie na północy przez Moskwę ukazów swoich..... y musiałbym ten wszystek czas, którym u Cara IMości bawił, relacyi *impendere*, gdybym należytą wszystkiego wyprowadzić miał kategoryą. Nie wspominam, *quibus artibus* tey od Rzeczypospolitéj rekwizycyi uchronić się chciano. Nie wspominam *modum tractandi exoticum*, nie wspominam nieukontentowania z jednoczenia *inter majestatem et libertatem*, aby *in turbido piscari* mogli. Mijam *elusiones* y zapierania się wszystkiego, przepominam tak wiele trudności *et mille discrimina*. Z tym narodem się traktowało, który jeżeli *flectitur*, to albo z interessu swego, albo przymuszany *flectitur*, który interessa nasze *suis metitur utilitatibus*, który *in tantum* sobie więcey pozwala, *in quantum* u nas więcey widzimy dissimulacyi. Pokaże to obszerniey relacya *in scripto* ułożona. Tymczasem dosyć namienić, że po nakłonieniu się do wyjścia z Państw Rzeczypospolitey, wydano ordinanse, aby jako nayprędzey wyszli, nic nigdzie nie pretendując. Przyznać muszę, że nie tak na sprawiedliwe remonstracye to czynili, iako dla tego, że z iedney strony wyiazd Carewicza IMości przez legacyę do obrony naturalney przez pospolite ruszenie ochota Cara IMości w publicznych gazetach *permovebat*. Uczynili prawda y temu ukazowi *in parte* zadosyć leniwszym, niż żółwim krokiem przez 9 miesięcy za granice *progrediendo*; ale się nazad wrócili, *eo* niby *praetextu*, jakoby Rzeczpospolita na konwencyą z miastem Gdańskiem konsensu nie dała. Był to niby *praetext* y nie *praetext*. *Praetext*, bo do Meklemburgii intencyą; nie *praetext*, bo wysokim Cara IMci *ad tractanda commercia* intencyom, potrzebna na potym do portowego miasta *ad dispensandes merces* pretensya. Iakożkolwiekbądź, chociażby byli wyszli, jednakby się potym wracali y bawili się póty, pókiby Car IMość woyskami swoiemi do potrzebnego sobie interessu Rzeczypospolitey nie przymusił. Propozycya w konwencyi gdańskiéj, próba to iest i sto-

pień do inszych propozycyi. Ieżeli aprobacyą konwencyi gdańskiéj woyska moskiewskie wymuszą? Ieszcze nie wynijdą póty, póki nie będzie *renovatio foederis* y kolligacyi a przez to zapomnienie wszelkich uraz. Póty nie wynidą, póki Rzeczpospolita przeciwko wszelkim nieprzyjaciołom wspólnym *in foedus* nie poydzie; póty do kolligacyi przymuszać nas z sobą zechcą, póki Car IMość *cum vicinis* Rzeczypospolitey Turczynem y Cesarzem I. Mością (jako się zanosi), woynę prowadzić zamyślając, potrzebować będzie państw Rzeczypospolitey *ad belli sedem* y ochronę kraiu swego. Poty nie wynidą, póki Rzeczpospolita rekompensować nie będzie Cara I. Mości za Azow y prowincyą tameczną, niby na obronę naszą straconą. Jeszcze póty nie wynidą, póki inszych, których nie wspominam, nie przymuszą propozycyi. I to donieść muszę W. K. Mości y całey Rzeczypospolitey, że przy odmianie praw dawnych y nadaniu nowych, jusz zakazano kraiu zwać Moską, ale tylko Rusią, ani się jusz zowie *imperium* iako przedtym *moschoviticum*, ale *imperium Russicum*..... Szedłem potym do czytania rozgoworów y inszych tranzakcyi Króla I. Mci. Po przeczytaney relacyi oddalem list, ktory mi przyszedł y oddany był od Xcia Dołgorukiego tegosz dnia relacyi, to jest respons Cara I. Mości z kopią tegosz którym to respons nie chciał był odebrać w Petersburgu y odesłał go nazad z tey racyi, że mi był oddawany bez kopii jego, a potym poniewasz go odemnie odebrać nie chciano, odesłałem do I. Mci P. Kanclerza W. Cara I. Mci. Kopia responsu tego taka była: Przybył do nas posłany od Waszego Królewskiego Wieliczestwa y od Stanów Rzeczypospolitey urodzony Poniński starosta Kopanicki, któremuśmy audiencyą nie bawiąc dali y Waszą Królewskiego Wieliczestwa z nim do nas posłaną Ramotę u niego przyjęli; przytym zlecone onemu od Waszego Wieliczestwa komisye naszym ministrom u niego wysłuchać a potym na podany od niego memoriał przez ministrów naszych, rezolucyą naszą onemu objawić rozkazaliśmy. Dla jakich ważnych racyi niektórą część woysk naszych zastanowić *in confiniis* granic naszych, w prowincyach Rzeczypospolitey przymuszeni jesteśmy. O czym *in antecessum* extraordynaryjnemu y pełnomocnemu posłowi naszemu Xciu Dołhorukiemu przy dworze Waszego Królewskiego Wieliczestwa zostającemu rozkazaliśmy Waszemu Królewskiemu Wieliczestwu, senatorom y ministrom Rzeczypospolitey donieść y jesteśmy tego zdania, że Wasze Królewskie Wieliczestwo przez tegoż extraordynaryjnego y pełnomocnego naszego posła, jesteś jusz o tym informowane. I Wasze Królewskie Wieliczestwo mocą sojuszu dla spólnego dobra całey Nordskiey kolligacyi, chciey w tym także uczynić dispozycye, któreby się zgadzały z przy-

jaźnią i sojuszem jako to obszerniey od pomienionego naszego extraordynaryjnego y pełnomocnego posła Waszemu Wieliczestwu doniesiono. Także y ten Wasz przysłany starosta Kopanicki Waszemu Wieliczestwu według uczynioney onemu od nas rezolucyi doniesie, któregośmy z tą naszą Carskiego Wieliczestwa Hramotą Waszego Królewskiego Wieliczestwa od dworu naszego expediowali. Przy tym życzemy Wam, Bratu naszemu, Waszemu Królewskiemu Wieliczestwu od Boga długoletniego zdrowia y szczęśliwego panowania."
„Czyniłem potym — mówi starosta w swych zapiskach daléj — informacye, pierwszą względem Kurlandii y pretensyi do niéj Cara IMości, drugą *de statu* interesów Cara I. Mości. Złożyłem za tym pod nogi I. K. Mości prace i starania moje, supplikując najuniżeniey Majestatowi, tudziesz y Rzeczypospolitey, aby nie jakiey w applikacyi oziembłości, ale kraju y narodu nieużytości przypisano było, że co południe w wydanych ukazach *illustravit*, to północ w niedotrzymaniu słowa zaćmiła. Poszliśmy potym do przysięgi relacyą czyniący. Approbował za tym *a Maiestate* I. Mci Pan Kanclerz prace y starania, lubo *eventu infelicia*, obiecując za to respekta Pańskie."

Relacye Wołłowicza, Dunina, przedewszystkiem jednakże starosty Kopanickiego, jako najświeższéj daty, najświeższe wrażenia skreślająca, najwyraźniéj oczy na groźne rzeczypospolitéj niebezpieczeństwo otwierająca, wzburzyły do głębi opinią szlachecką i stały się powodem drażliwych zajść między większością sejmujących a Dołgorukim, który się śmiało czynionych sobie zarzutów wypierał, wypełniły nadto cały szereg następnych sesyi wołaniami o wyprowadzenie wojsk rosyjskich, i zadość uczynienie krzywdom rzeczypospolitey, domaganiami o wyprawienie nowego poselstwa do Piotra. „Siła tam była—mówi starosta Kopanicki—przyjaciół Moskwy." Kiedy jedni domagali się głośno wyprawienia „zwyczajnego emissaryusza", do Piotra, coby było mogło nastąpić prędzéj, a wybór paść najprawdopodobniéj znów na starostę Kopanickiego, żądali owi przeciwnicy starosty wyprawienia osobnego posła rzeczypospolitéj. Druga ta opinia zwyciężyła, a 14-go listopada 1718 zapadła na sejmie uchwała, powierzająca poselstwo to Stanisławowi Chomentowskiemu, wojewodzie mazowieckiemu, króry je pod zmienionemi, jak zauważyć winniśmy, warunkami miał spełnić w następnym roku. Wyraźnie mówimy, w zmienionych faktycznych warunkach, bo przyniesiona właśnie w dzień Bożego Narodzenia 1718 na wyspy Alandzkie wiadomość o zgonie Karola XII w przykopach Frederikshallu, zmieniła od razu całą sytuacyą, obaliła wszystkie plany Piotra opierające się na porozumieniu z królem szwedzkim, zwichnęła szeroko sięgającą politykę jego baltycką; czyniła mniéj potrzebnym pobyt wojsk

rosyjskich w Polsce, również zbyteczną konwencyą gdańską i kaprów gdańskich.

Z uchwałą sejmu grodzieńskiego, powierzającą nowe poselstwo do Piotra wojewodzie Chomentowskiemu, kończą się dzieje poprzedniéj, dwukrotnéj starosty Kopanickiego misyi, które opowiedzieć tu zamierzyliśmy.

Powtórzmy, starosta czuje aż nazbyt dobrze nienaturalność swego położenia, rozumie wyraźnie, że nie mając siły, zmuszony, jak to mówią nadrabiać miną; skarży się częstokroć w swych listach do ministrów polskich, „że sprawa źle idzie, bo jurystów nie ma,“ błaga choćby tylko o zbrojną demonstracyę na Żuławach gdańskich, doznaje jakby ulgi serca, gdy go dochodzi wiadomość o energiczniejszych nieco postanowieniach rady senatu Rydzyńskiéj. Słowem, jest w tym rzadkim, wyjątkowym okazie swéj epoki materyał na męża stanu i dyplomatę, jakich rzeczpospolita w pierwszéj połowie zwłaszcza przeszłego wieku nie do zbytku zaiste posiadała, a jeżeli mimo to wszystko, dwóch jego misyi do Piotra nie wieńczy, ku największéj *jego* własnéj rozpaczy, sukces,—nie zapominajmy niestety, że wszelka dyplomacya, w któréj odwodzie nie stoją budżety, armie i działa, pozostanie igraszką. Cokolwiekbądź, pozostanie on jedném z rzadkich, światłych zjawisk na ciemném, zamglonéem tle epoki panowania u nas pierwszego Sasa.

Kazimierz Jarochowski.

HUMOR U LUDU.

Umiejętność pochwycenia komicznéj strony w życiu i wywołania wesołości, jest jedną z najprzyjemniejszych zalet ludzkich. Śmiech bowiem, to gość, z którym obcować gotowiśmy wszyscy każdéj chwili i któremu drzwi nasze zawsze stoją otworem. I tém cenniejszym jest dar tak zwanego humoru, że tylko wrodzonym być może i nie da się zdobyć ani pracą ani naśladowaniem. Spotykamy go we wszystkich warstwach społeczeństwa, tak samo po salonach, jak i pod słomianą strzechą wiejskich chałup, z tą może różnicą, że w salonie bardziéj wykwintny i elegancki, u ludu za to bardziéj jest swojski i naturalny, a o wiele świeższy i jędrniejszy. Lud nasz bowiem posiada niezmiernie wiele humoru i umie go po swojemu oblec w obrazowe przysłowia, w tak zwane okolicznościowe przymówki, nareszcie w niezrównane anegdoty, które przechodzą z pokolenia na pokolenie i są jakby ustną literaturą wiejską, klasie inteligentnéj zresztą prawie nieznaną. I tak jak różne są szczepy i niejednakie usposobienia, tak też i w humorze ich widoczne są rozmaite miejscowe odcienie.

Krakowiaczek np. cały swój dowcip zasadza na wyśmiewaniu się z bliźniego swego. Najprzód, stroi żarty z górali, których uważa za jakiś pośledniejszy gatunek ludzi,—potém z bliższych i dalszych sąsiadów swoich a nareszcie z całego rodzaju niewieściego. Nie sprosta mu nikt w przypięciu komuś łatki, w nadaniu zręcznego przezwiska, w puszczeniu w obieg dykteryjki, która zwykle tak bywa charakterystyczną, że nie tylko jednostki, ale wsie całe śmiesznością okryć potrafi.

O góralach każdy z nich, i starszy i młodszy, umie kilka anegdotek i z całą przyjemnością je opowiada. Oto jest jedna z najbardziéj znanych i rozpowszechnionych, w któréj, jak zwykle, naśladuje się mowa góralska, mająca na tém niby polegać, że się wszędzie

18*

mazuruje bez wyjątku, nawet tam gdzie stoi *rz*,—chociaż wiadomo, że lud ani w górach, ani w nizinach, nigdy i nigdzie *rz* do dzetacyzmów nie zaciąga.

Pewnego razu szło dwóch górali drogą i znaleźli strzelbę. „Dzis ty, Wojtek,“ prawi jeden, „co to za pseślicno piscàłecka!“ „Zagràj-ze co na ni,“ powiada drugi.—„A no, dobze,“ mówi piérwszy, „ty bedzies pchàł pare, a jà bede psebiràł.“—Wojtek zaczął pchać parę, to jest dmuchać do lufy, a tamten zaczął przebierać, pocisnął kurek, strzelba wypaliła, gdyż była nabita i Wojtek się przewrócił. „A ty Wojtek, coś ty za *łaskomy*,“ powiada piérwszy muzykant, „kiejś ty wygryz korek z piscàłecki!“ Taki był głupi, że nietylko strzelby nie poznał, ale i tego nie zrozumiał, że Wojtek kulką w łeb dostał.

W powiecie Chrzanowskim, o jakie półtory mili od Krzeszowic, jest miasteczko Nowagóra, które niewiedziéć czemu tak zostało ośmieszone przez okolicznych dowcipnisiów, że dziś jest przedmiotem żarcików wszystkich wsi sąsiednich. Opowiadają, że jest starsze od samego Krakowa, ale z pogardą Kobylem miastem je nazywają. Pochodzi to stąd zapewne, że jak wiadomo ze starych kronik, miasteczko to, za dawnych czasów, gdy jeszcze posiadało swego burmistrza i prawo miecza, miało konia drewnianego z ostrym grzbietem, na który sadzano za karę wszystkich przekraczających prawo winowajców. Dziś, wyludniona i podupadła mieścina, zaledwie wsią nazwać się może, ale taki ma rozgłos, że dość wspomnieć Nowągórą lub Nowogórzanina, aby obecni śmiechem homerycznym wybuchnęli. A skoro którykolwiek z jéj mieszkańców pokaże się w okolicy na jarmarku albo na robocie, wnet każdy go nagabuje o zdrowie i powodzenie pewnego stworzenia, które Nowogórzanie mają niby pielęgnować jako wyjątkową i starożytną pamiątkę lepszych czasów, a którego nasze przepisy towarzyskie głośno wymienić nie pozwalają. Jest to bowiem okaz entomologiczny, z tego niestetycznego rodzaju, co to ma wyłączny przywiléj na zaludnianie nieczesanych czupryn dziecinnych. Otóż kiedyś, podobno trafiło się tak, że kobiéta przyszedłszy na ratusz Nowogórski płacić podatki, w podatkowéj książeczce swojéj przyniosła przypadkiem to stworzenie. Burmistrz, spostrzegłszy je, wydał postanowienie, żeby je na ratuszu zatrzymać i miéć w opiece, awszystkim obywatelom miasta swego kazał pasać je *za okółką*, to jest z kolei. Gdy wypadły nowe wybory i zaszły w nich pewne nieporozumienia z przyczyny rozstrzelonych głosów, wtedy uradzono, aby osobę tę puścić na stół, a rajcowie, których było dwunastu, pokładali brody do koła i czekali, a ten któremu ona na brodę wlazła, został burmistrzem. Odtąd znaczenia jéj przybyło i sława urosła, gdyż gruchnęło wszędzie, że ona burmistrza wybrała. Zatém,

pielęgnowana troskliwie przez wszystkie następujące lata, przyszła dziś do niezwykłych rozmiarów, ma zęby i pazury ogromne, szczeka na psów z ratusza, gdzie jest uwiązana na łańcuchu. Przeszłego lata, przegryzłszy łańcuch, umknęła do przyjaciółki swojéj do Radwanowic i tam jéj na weselu druchnowała. Wracając w nocy trochę pijana, przewróciła się na Chechle (1) i złamała pazur, w skutek czego długo chorowała na nogę, a biuletyny o zdrowiu jéj, gdyż raz było lepiéj, raz gorzéj, codzień krążyły w okolicy, ku niezmiernemu umartwieniu Nowogórzan. Więc téż raz, gdy parobek z sąsiedniéj wsi, Filipowic, wjechawszy na rynek Nowéjgóry, zaczął głośno dopytywać o pacyentkę, wyleciało do niego kilkunastu chłopów z drągami i byliby go stłukli na miazgę, gdyby nie nogi konia, dzięki którym, szczęśliwie umknąć potrafił.

Zresztą krakowiacy nikomu nie darują i na swoich współmieszkańców we wsi mają téż przeróżne koncepta. Opowiadają, jak kiedyś gospodarz, który miał *sydła w ramionach*, *piasek w rękawach*, *a żywiec w rękach* (2), poszedł na pole ukraść sąsiadowi kapusty. Ale żeby sumienie było czyste, sześć główwyrzynał, a siódmą zostawiał, bo skoro siódme przykazanie mówi „nie kradnij,“ więc on téż siódméj główki nie kradł i sumienie nic mu wyrzucać nie mogło.

Znany jest téż powszechnie figiel, który dzieciom wyprawiają. Posyłają np. dziecko do sąsiedniéj chałupy i powiadają mu: „Idź proś o nawrot,“—albo: „mów, coby ci kręcidło dali.“ Dziecko w prostocie ducha idzie spełnić polecenie,—prosi o nawrot i ku wielkiemu swemu zdziwieniu dostaje pięścią w kark, lub téż domaga się kręcidła, a tu je za uszy kręcą!

Jeżeli ktoś we wsi ma na imię Symon, to mu dokuczają, opowiadając następującą dykteryjkę. Rzeźnik prowadził kozę, a ona się odzywa: „Symoooooonie!“ — „Co chces?“ — „A kaj mie wieeeee-dzies?“—„Na góre.“—„A po cooooo?“—„Zdejmie z ciebie skóre.“—„O Jeeeeezu!“

Dla tych, którzy się nieprędko pomykają w robocie, jest następująca przypowiastka o jéżu, który był na służbie. Zbliżało się Boże Narodzenie, posłali go po drożdże, a on jak poszedł, tak nie wrócił aż na Wielkanoc. Zaczęła się gospodyni swarzyć, że tak długo siedział, a on się w dodatku na progu przewrócił, flaszkę z drożdżami stłukł i jeszcze powiada: „Bodaj djabli wzięli takie nagłe uwijanie!“

---

(1) Chechły, wieś okoliczna.

(2) Szydła w ramionach i piasek w rękawach oznacza próżniactwo, a żywiec w rękach, złodziejstwo.

Na przednówku zwykle narzekają na św. Jana, opowiadając, że on jest najbiedniejszym ze świętych, gdyż sam Pan Bóg to przyznał. Kiedyś, św. Jakób, który jest szafarzem ziemniaków dla ludzi, bo i przysłowie mówi: „Na św. Jakub ziemniaków nadłub", przezwał św. Jana Morzykichą. Ten ostatni się obraził i poszedł samemu P. Bogu się poskarżyć. Pyta się go P. Bóg: „I cóż ty masz dla ludzi, żeś się tak o Morzykichę zgniéwał?" Św. Jan powiada: „Mam trawę zieloną." — „Trawę—powiada P. Bóg — cóż ludziom po trawie? To ino koniowi przydatne, a św. Jakub ma ziemniaki, więc ty mój kochany siedź cicho, bo on na ciebie całą prawdę powiedział." Takim sposobem św. Jan przegrał sprawę.

O głupich babach jest opowiadań bez liku. Chłop zabił wieprza i zszywał sadło, jak to się zwykle robi, *w bułkę*, a baba się go pyta, na co to? On powiada: „A ot będzie dla nieprzygody" (1). Nazajutrz przychodzi dziad i prosi o jałmużnę, a baba się go pyta: „Jak wy się dziadku nazywacie?" On powiada, że się Nieprzygoda nazywa. „Tak? — mówi baba — a to zapewne dla was mój chłop zszywał sadło, bo mówił, że to będzie dla Nieprzygody." Poszła do komory, sadło przyniosła i dziadowi oddała. Przychodzi chłop do domu, pyta gdzie się sadło podziało? a baba mówi, że je dała temu dziadkowi, co dla niego było zrobione. Chłop się zgniéwał i chciał babę zabić, ale że mu się bardzo wypraszała, więc powiedział jéj tak: „Dobrze, jeszcze ci dam spokój, a pójdę między ludzi i będę patrzył—jeżeli nie znajdę głupszéj od ciebie, to cię zabiję,— a jeżeli jeszcze głupszą spotkam, to ci życie daruję." Zebrał się w drogę, idzie,—zaszedł do drugiéj wsi, patrzy, a baba trzyma kozę na powrózku i ciągnie ją po drabinie na dach. Pyta się, co to ona chce robić? A ona powiada, że chce kozę napaść, bo na dachu trawa urosła. — „A nie możesz ty głupia babo sama wleść na dach, trawę zżąć i dać kozie?" mówi chłop. — „Boję się żebym nie spadła", gada baba.—„A to i tak spaść możesz", mówi znowu chłop. — „A to koza spadnie naprzód, ja zaś na nią, to się nie potłukę." Chłop plunął i poszedł,—idzie daléj przez wieś i widzi, jak baba zwoławszy kwokę z kurczętami, złapała ją i biła. Pyta się więc: „Za co ty babo tę kwokę bijesz?"—„A za to—powiada baba—że tyle kurcząt wylęgła, a cóż im da ssać?" Chłop nie poszedł już daléj, ale do domu powrócił, bo choć nie daleko wędrował, prędko się przekonał, że jego baba jeszcze nie najgłupsza była,— i stosownie do umowy, życie jéj darować musiał.

---

(1) Na wszelki przypadek, na niespodzianą potrzebę.

Przezwiska u Krakowiaków sypią się jak z rękawa i nie ma prawie człowieka, ani młodego, ani starego, któryby jakiémś okolicznościowém mianem nie był przyozdobiony. Jeżeli się spytamy: jak się nazywa ten a ten chłop? — to nam mówią, że on się nazywa Nanicka, albo Zagierzyniec, albo Złoty krzak, albo Śtajerek, ale to wszystko będą przezwiska tylko. Chcąc zaś trafić do celu, trzeba się pytać, jak się ten a ten chłop *pisze?* a wtedy dopiero dowiemy się prawdziwego nazwiska. I tak: Nanicka, jest w rzeczywistości Ziomkiem, ponieważ jednak, gdy mu się sprawa jaka nie podoba, ma zwyczaj powtarzać: to na nic, na nic, na nic! Został więc Nanicką. Zagierzyniec jest znowu Źbikiem, ale gdy był małym i służył za *pastuchę* u gospodarza, cielę go słuchać nie chciało,—złapał więc kozik i cielę pchnął kozikiem w bok. A gdy go gospodarz o to strofował, tłómaczył się, że „jà nàm przecie cielęcia nie zabiuł, inom sie zagierzył!“ Miało to oznaczać, że się zamierzył, wyrażenie się podobało, poszło w kurs, i chłopak zostawszy sam gospodarzem i będąc już starszym dziś człowiekiem, zawsze jest Zagierzyńcem, a jego żona Zagierzyńcyną. Złoty krzak znowu nazywa się Owcàrzem, ale to młody i ładny chłopak z gęstą czupryną, jasną jak złoto, więc go dziewczęta Złotym krzakiem przezwały i zapewne dopóty nim pozostanie, dopóki czas go na srébrny nie przerobi. Śtajerek zaś, w rzeczywistości Maciejowski, wędrował kiedyś po krajach *miemieckich*— zapewne po Tyrolu— i stamtąd jako nabytek przyniósł umiejętność nowego tańca, *śtajerka*, którego i sam tańczył i przyśpiewując „muzykę“, grać go nauczył. Za to został Śtajerkiem a syn jego już jest Śtajercykiem.

Przysłowia są nadzwyczaj liczne, a tak przez mężczyzn jak i przez kobiéty z wielkiém upodobaniem używane. Np. wyszydzając niezgrabnego, mówią: taki zdarny jak Maćków kot, co świécę zjàd, a po omacku siedziàł“ (1). Gdy kogoś wyśmiać chcą, że jest zarozumiały, powiadają: „Taki honorny jak kulawy koń“, — albo: „paraduje jak w... po płascu.“ Gdy znowu ktoś zbyt gorąco do jakiéj rzeczy się bierze i chciałby wszystko w jednym dniu zrobić, przekładają: „Po kąsku, ksiązku, będzie plebanija!“ Jeżeli ktoś bardzo się czém zdziwi, wyśmiéwają się, że „wywaluł ocy jak wół na nowe wrota,“ — albo jeżeli bardzo mądrego udaje, mówią: „co ty znàs! chyba dwa ptàki, żabe i mys!“ Takiemu znowu, co się bardzo z czém droży, powiadają: „Ceregiele! karcma w lesie!“

(1) Jest-to waryant znanego i w innych okolicach wyrażenia: „Niewiniątko z kociego łoju, co świéczkę zjadło, a po ciemku siedzi“, — użyty do zupełnie niewłaściwego porównania. (*Przyp. red.*)

Na każdą też okoliczność mają tak zwane przymówki. Np. gdy zachodzi wątpliwość co do trwałości pogody i jedni twierdzą tak, drudzy inaczéj, wtedy ktoś zabiéra głos i w następujący sposób rozstrzyga pytanie: „Powiedział klisc, ze bedzie dysc, powiedziała pchła, ze bedzie mgła, powiedziała mucha, ze bedzie zawierucha, powiedziała woda, ze bedzie pogoda.“

U górali znowu rzadko spotkać się można z podobną przymówką, rzadziéj jeszcze z przysłowiem. Mają oni za to wielką obfitość tak zwanych *piscałecek*, czyli anegdotek okolicznościowych, a tak jak Krakowiacy dowcipkują na koszt górali, tak górale znowu opowiadają różne facecyjki o *Rusnokach*, to jest o Rusinach.

Szedł kiedyś *Rusnok* i zobaczył pszczoły na smreku, zachciało mu się miodu. „Ej, Panie Boże—mówi—dopomóż mi, żebym mógł na to drzewo wleść i miodu dostać, to i tobie dam *połowice*.“ Ale skoro wlazł, zmaczał palec, skosztował — bardzo słodkie było; powiada więc: „Tobie Panie Boże nic nie dam, sam wszystko zjém.“ Wtémześliznął się z gałęzi i spadł. „O Panie Boże—powiada—jak ty śpasów nie znasz! Przeciek by ci był jaką kapeckę z tego dał, gdybyś mię nie zrucił na ziemię!“

Opowiadają też, że u Rusnoków dla tego nie ma teraz organów, że jak dawniéj zagrały, tak ludzie szli do tańca w kościele. Zatém ksiądz uradził z organistą, że je trzeba wynieść precz, a wyniosłszy, wzięli je, przepili. Przychodzą parafianie na nabożeństwo, pytają gdzie się organy podziały? a ksiądz powiada, że je złodziéj ukradł. Jaki złodziéj? — A ten, co na oknie siedzi. Na oknie zaś siedziała sójka, — ludzie do niéj, a ona w las. Wszyscy za nią do lasu, tak, że w kościele ksiądz sam został z organistą. Ale sójka tymczasem siadła na takiém wysokiém drzewie, że nie mogli jéj dostać i zaczęli stawać jedni na drugich. Najprzód na dole stanęło pięciu, potém tym pięciu na plecach stanęło czterech, daléj trzech i dwóch, jeszcze raz dwóch i dwa razy po jednemu. Dopiéro ten ostatni najwyższy, wsunął rękę do dziupla, a sójka go uszczypnęła za palec, — on w krzyk, tamci pod nim się wystraszyli i pospadali, a on zawisł w powietrzu na jednéj ręce. Pobiegli co tchu po drabinę do wsi, ale nie mogła się zmieścić w lesie, bo ją w poprzek nieśli, a las był coraz gęstszy, — ucinali więc po kawałku, ucinali, ucinali, to z jednego, to z drugiego końca, aż nareszcie tak obcięli, że tylko jeden szczebelek został. Zaczęli więc siekierami ciskać na tego wiszącego, aby mu odciąć rękę w drzewie zahaczoną i tym sposobem uwolnić. Ale tak niezgrabnie rzucali, że spadł nieżywy i musieli go pochować do ziemi, a organy tymczasem przepadły nazawsze.

Panów górale też chętnie wyszydzają.

Biegł Pan *bez* Kraków i jadł bób, w tém spotkał się z drugim panem. Ten się go pyta: „Co pan jé takiego?“ — „A migdałki.“ Niech-że mi pan da z jednego.“ — „O jéj, kiedym już ostatniego do zębów wraził!“

A znowu był pan bogaty i był także młynarz dostatni i każdy z nich miał konia pięknego, a te konie tak były do siebie podobne, że jak je postawili obok, nie można było odróżnić, który do kogo należy. Pan chciał kupić u młynarza, aby miéć do pary, młynarz też rad by od pana kupił, ale żaden swego konia pozbyć się nie chciał. Postanowili więc innego użyć sposobu. Weszli do pokoju, a pan powiada: „Gadajmy sobie jakie głupstwa, ale żeby jeden drugiemu durniu! nie powiedział, bo który to powié, konia przegra.“ „Dobrze, gadajmy—mówi młynarz—niech pan zaczyna.“ — „Jakem ja jeszcze był małym chłopakiem — zaczął pan — pamiętam, że mój ojciec miał ogromnego wołu. Jak go zabili, obdarli ze skóry, zważyli, to ten wół miał dziesięć centnarów mięsa, a dwanaście centnarów łoju, — ze spodniéj skóry zrobili sto par kierpcy dla czeladzi, a wierzchnia nietknięta została.“ Skończył pan, a młynarz powiada: „Może i to być. A nas—mówi daléj—było trzech synów u ojca, mieliśmy ul pszczół i z kolei paśliśmy te pszczoły. Najprzód pasł najmłodszy, potém średni, potém nareszcie i ja najstarszy. Wygnałem, porachowałem, było ich sto, — wieczorem przygnałem do domu, rachuję—dziewięćdziesiąt dziewięć jest, jednéj nie ma. Wróciłem się szukać téj pszczoły, przeskoczyłem przez potok, słucham—brzęczy. Idę, a ona leży w *młace* (1), pod górę gardłem, a do góry nogami, i ruszyć się nie może. Ja też nie wiele myśląc, poderznąłem jéj gardło i spuściłem krew (pana już *brało do porządku*, ale zapanował nad sobą i słuchał daléj). Potém poleciałem do chałupy i opowiedziałem ojcu co się stało, a ojciec wziął, zaprzągł trójkę koni i ligarami pojechał. Wzięliśmy tę pszczołę, położyli na ligarach, przypięli łańcuchami, żeby się mocno trzymało i przywieźliśmy do domu. Jakeśmy jéj zdjęli skórę, daliśmy wyprawić garbarzowi, garbarz wyprawił i zatém kożusarz zrobił z niéj cztéry kożuchy: dla ojca jedén i dla każdego z nas po jednym. Wszyscyśmy w kożuchach chodzili, ino że ich się zdarły wnet, a mój był taki mocny, żem go nosił i nosił i zedrzéć nie mógł,— i dopiéro go potém ojciec pana *dodarł*, jak u mojego ojca świnie pasł....“

Pan jak skoczy, jak krzyknie: „Co ty durniu gadasz? Kiedyż to ojciec mój świnie pasł u was?....“ A młynarz się śmieje. Dopiéro

(1) Młaka znaczy mokradło.

się pan spostrzegł po niewczasie, że mu durniu powiedział i konia swego oddać musiał.

O żydach dużo jest tak zwanych *piscalecek*, a w każdéj sens moralny taki, co zresztą nieraz w życiu codziennem się potwierdza, że nie żyd okpił górala, tylko góral żyda.

Był jarmark w małém miasteczku i góral przyszedłszy na kupno, miał w worku starego psa, którego przy téj sposobności chciał zanieść do oprawcy. W tém zastępuje mu drogę żyd jakiś, widocznie zainteresowany tym workiem i pyta się: „Ny gazda, co go gazda niesie?“ — „Cicho żydzie — mówi gazda — bo lisa niosę!“ — „Niech go gazda pokazie!“ — „Juści! pokazywał będę, żeby który z leśnych zobaczył i żeby mię do kozy wsadził!“—„To niech go gazda spsieda, bo ja go gazde wydam!“ Góral udaje wystraszonego i ogląda się na wszystkie strony, żyd coraz staje się natarczywszym. — „A no, co robić — mówi gazda — sprzedać, to sprzedać, co mi dasz żydzie?“ „Ja go dam tsi papierki.“ — „Daj pięć....“ — „Nie, abo tsi, abo ja go gazde wydam!“ — „To dawaj że już trzy, żydzie, i umykaj prędzéj, bo leśny idzie tu ku nam. Ino pamiętaj żebyś mi na inszy jarmark worek przyniósł!“ — „A jak ja go gazdy będzie wołać?“ — „Wołaj Jaworek z Cisa - odparł góral i zniknął w tłumie. Żyd poszedł gdzieś do kąta za stodołę, otwiera ostrożnie worek, a tu pies do niego z zębami. Puścił go ze strachu samego i leci z workiem szukać górala,—trzęsie nim na wszystkie strony i woła: „Jaworek z Cisa! Jaworek z Cisa! poć po worek!“ Nie odzywa się nikt! Żyd myśli sobie on mi kazał na inszy jarmark przyjść z workiem, już ja go wtedy złapię! Stawi się więc na następny jarmark i biega z tym workiem, trzęsie nim, a woła: „Jaworek z Cisa! Jaworek z Cisa! Zjadeś go tsista, coś mi spsiedał psa za lisa! Jaworek, poć po worek!“ Nikt się nie odzywa, jeszcze się ludzie śmieją. Dopiéro żyd się dowiedział, że Jawora z Cisem mógł w lesie znaleść, ale że między góralami nie było ani jednego, któryby się tak nazywał.

Ciekawe są téż tak zwane *brzęki*, to jest okolicznościowe dowcipy, czasem nawet rymowane, jak oto ten następujący, przez starego górala Wojtka Gładysza we wsi Ponicach pod Rabką (1) ułożony.

(2) „Jakek śe ^{u}ozeńuw, chytàwek kvicàle,—nachytàwek kvicàl, c^{u}o jich ḿàwek na vóz, p^{u}ovózek d^{u}o Krak^{u}ova, vypředàw te kvicàle, kuṕuwek mlika vóz ji kuṕuwek k'ern^{u}oza, zapřǫgnowek d^{u}o voza. V́o k'ern^{u}oźe, ch^{u}oć p^{u}o mroźe, choć p^{u}o grudźe, leṕi ci śe pódźe,

(1) Galicya, powiat Myślenicki.

(2) Pisownia fonetyczna jakiéj Akademia Krakowska używa dla gwar ludowych.

a p^{u}o na nalodku, jin^{u}o jidź p^{u}o środku, b^{u}o syrok'e raće màs, t^{u}o śe tàm utřymàs! Jadek—zajechàwek ku V́iśle, zavadźuw k'ern^{u}oz n^{u}ogǫ, zḿisawo śe mliko z v^{u}odą; vróćuwek śe d^{u}o d^{u}omu z mńijsǫ sk^{u}odǫ. Přyjechàwek d^{u}o d^{u}omu, a baba ḿi tymcasem umarwa. Jà tys vźon, p^{u}ov́inow v swome, jak sv^{u}ojǫ p^{u}oććivǫ z^{u}one, zav́ózek d^{u}o k^{u}ośćowa,—mój dysel na k^{u}ośćów vysed, a jařm^{u}o tys za ńim p^{u}olazwo, a ^{u}oswony p^{u}olećawy p^{u}od zv^{u}ony, a kwońice p^{u}od zv^{u}ońice, a ^{u}ośi p^{u}olećawy d^{u}o vśi, a ^{u}ozv^{u}ora d^{u}o dv^{u}ora, a k^{u}owa syćk'e śtyry g^{u}ońǫ k^{u}owo k^{u}ośćowa, a t^{u}o ćawo ńe v́edźawo, dźe śe tàm p^{u}odźawo.

Drugi bywa taki,—b^{u}ok jàd v́e baby ḿàw,—druǵij kàzawek jiść na góre p^{u}o spyrk'i; ^{u}ona sk'idawa śe s nawyśńejseg^{u}o scebla, swamawa żobro p^{u}od k^{u}olanem ji umarwa s teg^{u}o. D^{u}ostawa stara kura p^{u}o ńi, jesce kv^{u}oka, jà tys vźon ji spředàw jij na p^{u}ogřeb. Vźonek, zaśv́ećuwek seść śv́ic ^{u}olsyn^{u}ovych ji p^{u}ogřebawek jij juz. Zaśṕivàwek na p^{u}ogřeb'e.

P^{u}osedem se v gęsty làs,
Nalazem se leleńaska, c^{u}o śe pàs,
P^{u}ocekaj-ze leleńasku na file, na file,
Jin^{u}o jà se karab'inek nab'ije, nab'ije.
Zacém jà se karab'inek nab'ijàw, nab'ijàw,
Leleńasek v gęsty lasek vyv́ijàw, vyv́ijàw.“

Największą zaś uciechą górali są figle, polegające na tém, aby kogoś nieświadomego w pole wyprowadzić. I tak np. gdy się zbliża środopost, zawczasu zaczynają mówić o tém, że trzeba będzie post zważyć, aby na pewno wiedziéć czy już jest sprawiedliwa połowa, czy téż jeszcze żur przeważać będzie? Ma się rozumiéć, że zawsze wtedy znajduje się ktoś ciekawy, kto chciałby widziéć, jak to się robić będzie? Z wielką ceremonią biorą więc garczek niby z żurem,—ale właściwie jest w nim woda, z popiołem rozmieszana,—i idą do ogrodu. Ktoś z obecnych włazi na drzewo, a owemu nieświadomemu rzeczy każą stać pod drzewem i garczek trzymać. Zatém, ów będący na drzewie woła, aby mu go prędzéj podawał i w chwili, gdy tamten śpiesznie spełnia żądanie i stoi jeszcze z podniesioną głową i wyciągniętemi w górę rękami, pierwszy przechyla nieznacznie garczek i wszystko na niego wylewa, mówiąc, że już post się przeważył. Powstaje śmiech i krzyk, ale się gniewać nikomu nie wolno, bo to już *zwyk* taki, który z *ojców* mają, że co roku post ważyć muszą.

Każdy wielki czwartek nazywa się u nich *zwodnym* czwartkiem, jako dzień wyłącznie na to przeznaczony, aby o ile można, zwieść każdego i to jakąś niedorzecznością. Puszczą np. pogłoskę, że do karczmy przyszła cygańska muzyka, a dziewuchy lecą zaciekawione,

niepomne tego, że w wielkim tygodniu nawet i cygańskiéj muzyce grać w karczmie nie wolno. Albo téż powiedzą dzieciom, że kukiełki spadają z nieba nad potokiem i dzieciska na złamanie szyi pędzą ku potokowi.—Kiedyś, w pewnéj wsi, gospodarz kazał swojéj służącéj pójść do sąsiada, pożyczyć wagi do wozu. Dziewucha nie rozumiejąc, że to owa waga, do któréj się para koni zaprzęga i któréj się nigdy nie pożycza, bo każdy wóz ma swoją własną, pobiegła śpiesznie spełnić zlecenie. Figlarz sąsiad wysłuchawszy z powagą tak dziwacznego żądania, zaraz zrozumiał, że tu tylko o zwodzijasza chodziło i kazał jéj iść jeszcze daléj do innego gospodarza, któremu przed paru dniami, był niby sam wagi pożyczył. Tamten jeszcze ją daléj posłał i tak dziewucha latała pół dnia od Annasza do Kaifasza, aż nareszcie, gdy wszystkich w kółko obeszła i z niczém wróciła do swego gospodarza, śmiech homeryczny, który ją spotkał w chałupie, otworzył oczy na mistyfikacyę.

Żyłka ta do płatania figlów nie tylko w zwodny czwartek ale i we wszystkie inne dnie roku jest tak rozpowszechniona, że między dziećmi są zabawy, w których starsi młodszych w pole wyprowadzają. Jest np. jedna, która się nazywa: *„vyganiać vilcka.“* Pyta się starszy chłopak młodszego: „Cy màs vilcka?“ i każe mu odpowiedziéć: „Màm.“—„A dàs g^{u}o vygnać?“—„Dàm.“ Wtedy każe mu uklęknąć na ziemi i położywszy sobie głowę jego na kolanach, z początku głaszcze go po włosach, mówiąc:

„Přyswa matulina B^{u}oza, jidźe v^{u}odźicka bystra z p^{u}od Jezu Chrysta, b'ere břeǵi ji kaḿeńe, vsyćk^{u}o t^{u}o přemińe ji ty vilcku přeḿińes!

Přyswa matulina B^{u}oza na mgwe vygańać vilka ze zb^{u}oza, přez mydwo, přez sydwo ji přez pwot—(tu szczypie i palcem kole)—na ṕiscawce fik'i ḿik'i,—(tu po uszach bije)—na bębenku huku puku!“

I tu, podług autentycznego wyrażenia, *najbardziéj się wali* po głowie, po plecach, za włosy się drze, aby tém skuteczniéj wilka wypędzić i zabawa płaczem się kończy.

E. S.

WYKOLEJONY.

(Juliusz Vallès).

I.

C'est bien la mine bourrue
Qui dans un salon ferait peur,
Mais qui peut-être dans la rue
Plairait à la foule en fureur.
Je suis l'ami du pauvre hère
Qui dans l'ombre a faim, froid, sommeil!...
Comment artiste, as-tu pu faire
Mon portrait avec du soleil! (1)

Taką strofę wypisał Vallès pod własnym portretem. Portret rysowany był ręką przyjaciela, zmarłego świeżo w Paryżu głośnego cygana i radykała, André-Gilla, którego karykatury współzawodniczyły za cesarstwa z pamfletami Rocheforta i gromami, jakie ciskał Hugo z swego wyspiarskiego ustronia. Wizerunek przedstawiał Vallès'a w postaci buldoga....

Kto widział tę twarz o rysach wyrazistych, zasępioną i chmurną, oprawną w bujne jeszcze niedawno lubo siwiejące włosy i mleczną już prawie brodę—ten gotów był przyznać pewną słuszność artyście.

W istocie atoli Vallès tak strasznym nie był. Straszył — to prawda, jeśli jednak gryzł — to chyba piórem, i to rzadko kąsał naprawdę i szarpał do kości.... Brakowało mu do tego politycznego i publicystycznego temperamentu oraz zasad ściśle określonych, wyostrzonych jak szabla i godzących śmiało w pierś przeciwnika. Nie, tak niebezpiecznym nie był! Miał jednak poczucie nagiéj prawdy,

(1) Tak, jest to ta twarz nachmurzona, która straszyłaby w salonie, lecz podobała by się może na ulicy rozgniewanemu tłumowi. Jestem przyjacielem nędzarza, co przymiera w cieniu z bezsenności, chłodu i głodu. Jakże mogłeś artysto zrobić mój portret z promieni słońca!

wojował ironią i sarkazmem, a bomby wypełnione sceptycyzmem podkładał nawet pod rewolucyjne świętości!

Juliusz Vallès zmarł d. 14 lutego r. b. w Paryżu naczelnym redaktorem dziennika *Cri du peuple*. Na pogrzebie wyprawiono mu, jako b. członkowi Komuny, manifestacyę. Za trumną szły tylko czarne i czerwone chorągwie.... Zmarły przecież wybitnym działaczem politycznym, ani nawet publicystą pierwszorzędnym nigdy nie był. Pod radykalną atoli zaciągnął się chorągiew; liczył się do obozu i nosił jego barwy, wmięszany do polityki prawie mimowoli.

Przyjacielem był wszelkiéj nędzy niewątpliwie. Sam zresztą doświadczył jéj na własnéj skórze w najdotkliwszéj może postaci, żyjąc długo w szeregach umysłowego proletaryatu. Wychowany w biedzie, po ukończeniu średniego wykształcenia i uzyskania sakramentalnego *bachot* (baccalauréat)—pierwszy stopień intelektualnego mandarynatu — Vallès nie czuł powołania do zaciągnięcia się do jakiéjkolwiek urzędowéj służby i pozostał na bruku, głodnym i niezależnym. Miał wtedy sposobność poznać licznych współtowarzyszów niedoli, cały zastęp wykolejonych lub zbuntowanych przeciwko istniejącemu porządkowi, często bez żadnéj wyraźnéj świadomości owego buntu. Stał się potém gorącym rzecznikiem ich nędzy i jedną z swych prac późniejszych poświęcił „tym, którzy wykarmieni łaciną i greczyzną pomarli z głodu.“ Przeszedłszy taką szkołę, Vallès rozumiał dobrze nędzę i zachował na zawsze żywe spółczucie dla wydziedziczonych. Uważał ich za swych braci, za swą rodzinę i czuł się obowiązanym pracować dla przybliżenia tym nieszczęśliwym lepszéj doli, lubo nie przedstawiał sobie dokładnie w jaki to sposób nastąpić może. Wiem —pisał w jednéj z swych prac, po całym wylewie zjadliwego sceptycyzmu — że gdy zatrąbią pobudkę, miejsce moje tam, gdzie sztandar nasz będzie powiewał....

Przebywając długie lata w otchłani nędzy, z któréj wydobył go następnie talent literacki i pewien rozgłos zyskany w szeregach opozycyi radykalnéj, Vallès nie miał sposobności ni ochoty kształcić się gruntownie, dać swéj opozycyi naukowe i wyrozumowane podstawy. Czas schodził mu na zarobkach dorywczych i ustawicznéj walce z głodem i chłodem. Nie pozwalał mu zresztą iść daléj pewien głębszy lecz jednocześnie jałowy sceptycyzm, pewna niewiara i niechęć do całéj urzędowéj i tradycyjnéj nauki, od któréj nie były, zdaniem jego, wolne nawet doktryny radykalne. Żył tylko goryczą i rozpamiętywaniem doznanych krzywd, przyprawiając ten pokarm ostrym sosem sarkazmu.

To jednak, co odczuł i przeżył, umiał następnie wypowiedzieć językiem dosadnym i barwnym; co znowu zrobiło zeń „przednią straż

naturalizmu", jak się o nim jeden z krytyków wyraził. Do późniejszego naturalizmu zbliżał go także pewien krytyczny sceptycyzm, daleki od dogmatycznego romantyzmu, który właściwym był wówczas całéj szkole rewolucyjnéj. To co było słabą stroną rewolucyonisty, stało się zaletą „naturalisty" i w kierunku tym szedł tak daleko, że niektóre jego uwagi o radykalnym obozie iść mogą o lepsze ze znanemi poglądami Taine'a...

On jeden prawie w obozie republikańskim bronił w swoim czasie *Henrietty Marechal*, komedyi Goncourt'ów, którą wygwizdano na scenie z powodu pewnéj słabéj zresztą dozy naturalizmu, jaką zawierała; występował wogóle przeciwko kultowi powag dawnych i nowszych, przeciwko klasycznéj erudycyi i językowemu puryzmowi. „Naukę, jaką daje ulica — mówi krytyk — cenił więcéj niż erudycyą bibliotek."

Juliusz Lemer usprawiedliwiał w następujący sposób zbiorowe wydanie artykułów Vallès'a: „Odczytując kartki, mające stworzyć zawartość tego wydania, zamierzonego już przed dziesięciu laty, sądziłem, że niektóre poglądy, niektóre zapatrywania na literaturę i sztukę, wypowiedziane przez Valles'a w r. 1867 i 1868, nie są bez pewnéj analogii z teoryami naturalistycznemi, będącemi obecnie w obiegu, że więc nadeszła chwila stanowcza potrącić o nutę realistyczną, dającą się słyszéć w pismach Vallès'a i naznaczyć jéj odpowiednie miejsce w koncercie naturalistycznym, dyrygowanym przez Zolę. Tylko Vallès nazywał wówczas swój kierunek nie naturalizmem, lecz modernizmem."

Lemer opowiada także, jak Vallès nosił się długo z myślą napisania wstępu do swych zebranych w jedną książkę artykułów, wstępu, który miał być tém dla rodzącego się realistycznego kierunku, czém była głośna przedmowa Wiktora Hugo do *Cromwela* dla romantyzmu.... Nigdy jednak przedmowa ta nie została napisaną.

Wogóle Vallès był jednym z pierwszych we Francyi, którzy w literaturze współczesnéj zatknęli sztandar „modernizmu"; mawiał, ze zwykłą przesadą, że sławy literackie nie powinny trwać dłużéj nad lat trzydzieści i że literatura dla niego zaczyna się od Stendhala i Balzaka.

Jako dziennikarz, Vallès cenił przedewszystkiem fakta, fakta najdrobniejsze, któreby odsłaniały nam wszystko, całą nagą prawdę, nie okrytą żadnemi figowemi liśćmi oportunizmu, faryzeuszostwa lub choćby tylko maską puryzmu.

To właśnie uczyniło zeń „przednią placówkę naturalizmu."

II.

Głównym spadkiem literackim po Vallèsie jest trzytomowa autobiografia w trzech częściach: *l'Enfant*, *le Bachelier* i *l'Insurgé*. Autor opisuje tu dzieje dzieciństwa, młodości i losów późniejszych *Jacques Vingtras*'a; pod tym właśnie przejrzystym pseudonimem ukrył się sam i własne opisał koleje.

Najbardziéj wykończoną jest pierwsza część téj niezwykłéj autobiografii — *l'Enfant*. Autor poświęca ją „tym wszystkim, którzy umierali z nudów w kolegium i których zmuszano do płaczu w rodzinie; którzy w dzieciństwie swém tyranizowani byli przez nauczycieli i bici przez rodziców.“

W *l'Enfant* opisuje Jakób Vingtras swe dzieciństwo i pobyt w szkole. Urodził się z ojca biednego nauczyciela niższego stopnia, który początkowo sposobił się do zawodu duchownego i matki wieśniaczki, co porzuciła zagon ojczysty dla surdutowca, wywodzącego się również z chaty wieśniaczéj.

Życie płynęło nie wesoło na małym partykularzu w Owernii. Zaledwie wystarczało na najskromniejsze utrzymanie; trzeba było sobie odmawiać wszystkiego; ojciec przytém znosić musiał kaprysy i humory przełożonych, poniżać się,—matka zaś pracować podwójnie nad powiązaniem końców domowego gospodarstwa i wdrożeniem się do miejskiego życia, do którego nie nawykła. Trzeba było być „panią profesorową“, ubierać się po miejsku i strzedz miejskich obyczajów, a to przychodziło nie łatwo, co gorsza zaś, przy największych wysiłkach kończyło się najczęściéj śmiesznością.

Ciężka ta praca przystosowywania się do obcego zupełnie otoczenia w warunkach materyalnych, niepomyślnych, wyryła wybitne piętno na biednéj wieśniaczce. Ciągła potrzeba pilnowania domu i siebie wyrobiła w młodéj kobiecie pewną surowość i szorstkość w obejściu i postępowaniu. Pilnowała się aż do przesady i wyobraziła sobie, że i syna jedynaka trzeba ustawicznie mustrować, ażeby wychować go na miejskiego panicza. Rygor zresztą domowy jest zasadą patryarchalnego wychowania. Rygoru tego nic nie łagodziło, to też Vingtras pisze o tych czasach z goryczą: „Nie pamiętam bynajmniéj, czy mnie karmiła matka, czy też chłopka jaka dawała mi swoje mleko? Nic o tém nie wiem. Jakąkolwiek zresztą pierś gryzłem—nie przypominam sobie zgoła z czasów mego dzieciństwa ani jednéj pieszczoty; nie byłem wcale pieszczony, bawiony i cackany—byłem natomiast często bity.“ Bicie to wprowadziła pani matka w stały system wobec swego jedynaka. Trzymała się zapewne maksymy, że za jednego bitego dają dziesięciu nie bitych i wcześnie

jęła się jéj zastosowania. Na wrażliwym chłopcu sprawiało to atoli skutek wprost przeciwny; robiło go krnąbrnym, złośliwym, upartym i wyrabiało gorycz, o któréj u schyłku już wieku dojrzałego zachował żywe wspomnienie, skoro ją tak jaskrawemi odmalował barwami w *l'Enfant*.

Mały Vingtras wyznaje w paru miejscach, że nie podejrzywał matki o stanowczą niechęć względem siebie, nie wątpił o jéj macierzyńskich uczuciach, wcześnie już jednak ubolewał nad jéj pedagogiczną metodą. Wszystkie szturchańce i dokuczliwe z nim postępowanie matki zapamiętał dobrze i opisuje je z całą drobiazgowością, językiem ostrym, dosadnym, obrazowym, w którym matczynéj owéj metody nie oszczędza bynajmniéj. Należy przytém dodać, że do zwykłych powodów, dających pochop do bicia i szturchańców, przybyła tym razem cała długa mustra co do obchodzenia się z ubraniem i zachowania się dziecka... O tém wszystkiém pani profesorowa świeżéj daty nie wiele miała wyobrażenia, była jednak témbardziéj dokuczliwą i wymagającą.

Z ojcem mały chłopiec nigdy prawie nie przestawał; jeżeli słyszał co odeń, to ostre tylko słowa napomnienia i odbierał również tylko szturchańce. Ojciec wracał zresztą zazwyczaj ze szkoły zmęczony, zły i chmurny, i nie miał dla jedynaka słowa łaskawego. Raz tylko, gdy Jakób był już wyrostkiem, odezwał się doń łagodnie i słowa te głęboko utkwiły w pamięci chłopczyny. Jakóbek rzucił kawałek chleba na ziemię. Zamiast ofuknąć, jak zwykle i poczęstować klapsem chłopaka, ojciec przemówił do dziecka rozumnie: „Moje dziecko — mówił — nie trzeba nigdy rzucać chleba na ziemię; ciężko nań zapracować. Nie mamy go za dużo dla siebie, gdybyśmy go zaś mieli za wiele, trzeba by było podzielić się nim z biedniejszymi. Może kiedyś go ci zabraknie, a wtedy ocenisz całą jego wartość. Pamiętaj o tém zawsze, mój chłopcze.“

„Nigdy nie zapomniałem o tém — powiada Vallès. — Uwaga ta, którą poraz pierwszy może w méj młodości zrobiono mi bez gniewu i z godnością, przeniknęła do głębi méj duszy i od owego czasu chléb zawsze szanowałem.“

To, co mi ojciec powiedział o biednych — mówi daléj — utkwiło mi także w pamięci i być może zawdzięczam słowom tym, wypowiedzianym spokojnie i bez pretensyi, że miałem odtąd współczucie dla tych, co głód cierpią i że brać ich zacząłem w obronę....

Były to może jedyne zresztą łagodne słowa ojca, jakie Vingtras zachował w pamięci. Im bardziéj chłopiec rósł w lata, témbardziéj rodzic jego gorzkniał i stawał się niecierpliwym. Na dobitkę Jakób był nie tylko synem, lecz i uczniem swego ojca, synem, który

musiał być dla tego już samego przykładny i dla tegoż przykładu odbierać często najniezasłużeńsze kary, walczyć przytém z obowiązkiem koleżeństwa z jednéj i ojcowskiego posłuszeństwa z drugiéj strony. Że ojciec nie był zbyt łagodnym dla jedynaka, widzimy z faktu, który Jakób w swych wspomnieniach pominął, który jednak przypomniał niedawno jeden z towarzyszów lat młodych Vallès'a, dziś wybitny członek republikańskiéj lewicy, Ranc. Po zamachu grudniowym ojciec wezwał do siebie syna, przygotowującego się podówczas do egzaminów w Paryżu, posłyszawszy, że wdaje się w jakąś rewolucyjną opozycyą. Bał się utracić miejsce, ażeby zaś zachowanie swego syna w stolicy, gdyby to wyszło na jaw, uczynić niepoczytalném—osadził go w domu obłąkanych. Osadzony tam przemocą młody, dwudziestoletni już wówczas Vallès, przesiedział sześć tygodni w domu waryatów i trzeba było wstawienia się przyjaciół paryskich, którzy późno dowiedzieli się o tém zajściu, ażeby młodzieńca wydobyć z tego szczególnego więzienia. Rygor przeszedł tu już niewątpliwie wszelkie granice! Wobec tego jednak faktu trudno nam dziwić się zbytnio goryczy rozlanéj w autobiografii. Młody wychowaniec szkolno-domowéj feruły okazał się jednak mało skłonnym do ugięcia się pod jéj jarzmo. Przeciwnie, liczne przykrości, doznane od rodziny i w murach kolegium sprawiły ten tylko skutek, że młody Jakób przejmował się coraz bardziéj i głębiéj goryczą, że znienawidził dom, szkołę i zawód profesorski, samę nawet naukę.

Wynikały wówczas gwałtowne sprzeczki między ojcem a synem, gdy ten nie chciał pokornie naginać się do jego planów i wcześniéj już zdradzać począł buntownicze zachcianki.

Ojciec sam czuł, że nie jest bez winy, że postępuje nietaktownie. Po jednéj z takich sprzeczek z dorastającym już wyrostkiem skarżył się przed żoną: „Nasz Jakób może nienawidzi mnie nawet! Jestem sam może temu winien. Cóż jednak począć, nie jestem często panem siebie. Profesura zrobiła ze mnie stare bydlę, które potrzebuje budzić postrach; przywyka się do tego. Surowe spojrzenie, bez którego nie ma w klasie spokoju, przyrasta do twarzy... w tych warunkach robi się człowiek nawet okrutnym—i byłem nim często.... Gdybym uległ niekiedy i dał się powodować łagodnością, wydawałoby się, że wykraczam przeciwko karności. Obawiałem się, żeby uczniowie moi, i mój syn między nimi, nie śmieli się ze mnie. Byłem zresztą nadzorcą szkolnym i zostało mi to we krwi. Do niego (do syna) przemawiać będę zawsze jak do swego ucznia i brać go będę mimowoli za chłopca, którego karcić i karać potrzeba, ażeby się mnie bał i nie przywiązywał szczurów do kołnierza mego palta..."

Szczere to wyznanie nie usuwało atoli powodów do nieporozumień; z matką szło lepiéj, od czasu jak syn wyrósł na młodzieńca, a przez to wyszedł z pod jéj opieki. W lepszéj tedy chwili jakiejś szczerości i wylania nastąpiło wzajemne przebaczenie i zgoda.

Mimo to głucha domowa walka nie ustawała i młody rewolucyonista podniósł ją nawet pod koniec do znaczenia zasady, powiedziawszy sobie z determinacyą, że bronić będzie „praw dziecka“ (le droit de l'enfant) jak inni bronili „praw człowieka“ (droits de l'homme)! Przyrzeczenia tego dotrzymał, a cała pierwsza część jego autobiografii jest wymowną, skargą przeciwko tyranii domowéj.

Prócz domu miał młody Vingtras kolegium. Nie wyniósł jednak i stamtąd miłych wspomnień. Trzeba wiedzieć czém jest francuzkie gimnazyum. Szkoły nasze jezuickie z XVII—XVIII wieku mogłyby dać o niém pewne pojęcie. Kolegia są to po większéj części internaty, w których zwraca się główną uwagę na karność, a potém dopiero na naukę. Nauka zaś sama przepełniona jest jeszcze duchem średniowiecznym, jak cała organizacya szkolna. Uczniowie łamią sobie głowę przedewszystkiém nad łaciną i greką, nad klasyczną retoryką i filozofią, robią łacińskie i francuzkie wiersze... Zamiast systematycznego nauczania i egzaminu, któreby w regularnych odstępach czasu świadczyły o postępach uczniów, panuje wszechwładnie system popisów i konkursów, które mają być bodźcem pilności. Popisy te jednak w najlepszym nawet razie stawiają na miejscu zamiłowania do przedmiotu i pracy—chęć odznaczenia się, błyszczenia, wyróżnienia się. Że sprzyja to przedewszystkiém próżności z ujmą nauki prawdziwéj, nie można wątpić. Po skończeniu kolegium uczeń nie zdaje żadnego egzaminu, lecz musi dopiero udać się do uniwersytetu i tam złożyć odpowiedni egzamin na „bakałarza“ (*bachelier ès sciences* lub *ès lettres*)! „Baccalauereat“ ten ma być obecnie we Francyi zniesiony lub zreformowany.

Obdarzony zmysłem krytycznym i poczuciem rzeczywistości młody Vallès wyniósł tylko nienawiść dla tego przestarzałego systemu pedagogicznego; dokuczliwe zajścia, jakie miał nieraz ze szkołą, spotęgowane tém, że był synem nauczyciela i chłopcem niezamożnym, zwiększyły tylko ten wstręt do oficyalnéj tresury. Dom i doznawane w nim przykrości od rodziców, służących przy jednym z ołtarzów owego *Université de France*, dolewały tylko oliwy do tlejącego wciąż w młodym chłopcu ognia niechęci.

Całe to dzieciństwo i młodość opromieniają tylko zabawy z rówieśnikami, zdala od wszelkiego nadzoru i parę wycieczek na wieś do krewnych. Jakże zazdrościł młody chłopiec tym wieśniakom pra-

cowitego lecz wolnego życia na łonie natury, którą nauczył się wcześnie podziwiać i kochać. Budziła się w nim wtedy chłopska krew i zwiększyła tylko odrazę do miejskiéj mizeryi.

III.

Ukończywszy kolegium na prowincyi, Jakób Vingtras przybywa do Paryża dla uzyskania bakalaureatu i wyrobienia sobie jakiegoś stanowiska. W tymże czasie daleka krewna, znająca go od lat dziecinnych, zapisuje mu niewielki kapitał. Rodzice przysyłają mu z tych pieniędzy co miesiąc małą sumkę, która nie wystarcza na najpierwsze nawet potrzeby. Losy tego młodego *bakałarza* stanowią treść drugiéj części autobiografii, *le Bachelier.*

Uzyskawszy ów naukowy stopień, młody Vingtras nie pragnie jednak z niego korzystać. Nie chce się zaciągnąć do służby nauczycielskiéj, lecz życzyłby sobie gorąco zostać robotnikiem! Zdrowa praca ręczna i świeży grosz każdéj soboty, wystarczający na skromne utrzymanie, nęci go niewymownie. Jakże wolnym byłby wówczas od całego tego naukowego balastu, sfałszowanego i ogłupiającego, do którego czuje tylko pogardę!

Dowiaduje się tu i owdzie, czyby go nie przyjęli do roboty, pewien jednak stary robotnik rozwiewa szybko te złudne marzenia. „Nie pal się, powiada, tak bardzo młodzieńcze do tego stanu! Zaczynając późno, będziesz tylko popychadłem; sama nawet edukacya, jaką odebrałeś, uczyni cię nieszczęśliwym. Aczkolwiek uważasz się za rewolucyonistę, czuć cię jednak za bardzo szkołą... W każdym razie ostrzegam, że u kresu życia w bluzie jest życie w łachmanach. Robotnicy kończą w przytułkach dla ubogich... Nie bądź więc na swój wiek za mądrym! Nie myśl tylko o sobie, o swoich pięciu frankach dziennie, o tym „pewnym“ chlebie, któryby wpadał każdéj soboty do twéj robotniczéj kieszeni. Jest w tém nieco egoizmu, towarzyszu!“

Po takiém oświadczeniu i kilku nieudanych próbach trzeba było zarzucić piękne marzenia o zawodzie robotniczym i „wstąpić w szeregi umysłowego proletaryatu, zaliczyć się do biednych *bakałarzy.*“ Przed takim mandarynem otwierała się utarta droga—dosługiwanie się w kolegium profesorskiéj godności, zacząwszy od dozorcy (*pion*), trzeba było pójść drogą, którą przebył ojciec; Vingtras jednak powiada, że miał „w żyłach dziesięć lat gniewu“ przeciwko całéj oficyalnéj nauce i „instynkt buntu“ w piersiach, trzeba więc było zachować niezależność, obok kawałka chleba. Ale jak?

Tymczasem jednak młodemu aspirantowi do niezawisłości życie nie okazało jeszcze wszystkich swych nieubłaganych wymagań. Wpadł w grono kolegów i rówieśników. Zawiązało się niebawem kółko, zasiadające początkowo w kawiarni, potém w mieszkaniu jednego z kolegów. W gronie tém rozbierano różne kwestye—literackie, naukowe, polityczne; brano inicyatywę w urządzeniu manifestacyi z powodu zamknięcia wykładów Micheleta, srożono się jeszcze bardziéj podczas zamachu stanu 2-go grudnia... były to jednak tylko studenckie zabawki, bez żadnych daléj idących konsekwencyi.

Vingtras był jednym z wybitniejszych członków i pozując na nieprzejednanego rewolucyonistę—gorszył wszystkich swym sceptycyzmem, zjadliwą krytyką rewolucyjnego nawet kultu i brakiem wszelkiego entuzyazmu, którego ani szczypty nie posiadał. Oto niektóre z tych herezyj.

Rousseau był oczywiście wielkim duchem tych rewolucyjnych misteryi. Vingtras wystąpił natychmiast z krytyką...

— „Ten Rousseau, mówił, nigdy się nie śmieje, zawsze jest jakiś skrzywiony i płaksiwy; robi frazesy, które nie idą mu z serca bynajmniéj; zwraca się téż ciągle do Rzymian, jak to my musieliśmy robić w naszych szkolnych ćwiczeniach...

Wolę już, ciągnął daléj, Voltaire'a; tylko nie tego Voltaire'a, przybierającego minę poważną i namaszczoną, lecz Voltaire'a drobnych opowiadań, Voltaire'a wesołego, pokazującego figę Panu Bogu, dającego szczutka dyabłu i kpiącego ze wszystkiego. Ten mi się lepiéj podoba, niż ten wasz Rousseau, *pisse-froid* (wyraz nie dający się przetłómaczyć).

— I ty masz pretensyę być rewolucyonistą? zapytał jeden z kolegów, mocno zgorszony.

— Nie mam żadnych pretensyi, odrzekł Vingtras, twierdzę tylko, że Rousseau mnie nudzi, równie jak i Voltaire, gdy udaje poważnego—a nie lubię, żeby mnie nudzono. Jeżeli dla tego, żeby być rewolucyonistą, trzeba się zrobić bałwanem, to podaję się do dymisyi!

— Cała wasza rewolucya, mówił innym razem, wasze długie włosy, wasze Robespière'y i Saint-Just'y wszystko to blaga! Jesteście magami (les calotins) demokracyi! Co mnie to obchodzi, czy Ledru-Rollin, czy kto inny wystrzyga wam tonsurę!... Ach seminarzyści czerwoni! Nieraz wieczorem w mém skromném mieszkaniu pytam się sam siebie, czy nie porzuciłem jednéj zakrystyi dla drugiéj i czy obok klasyków Uniwersytetu nie ma także klasyków Rewolucyi z czerwonymi inspektorami i jakobińską bakalarnią...

Oskarżają mnie koledzy, powiada, o brak wiary; mówią, że nie wierzę w książki i sławę. Ależ ja obawiam się, czy nie mam téj wiary za wiele! Zdaje mi się, że do mego entuzyazmu miesza się romantyzm gorącéj lektury, która nam przedstawia rewolucyę pełną poezyi i wielkości i która trupom republikańskim obiecuje mówkę pogrzebową przy odgłosie wystrzałów armatnich! Czy ja wiem istotnie, dla czego tak pragnę walki i zwycięstwa i skąd ten dreszcz na samo tylko wspomnienie rewolucyi!? Skąd to pragnienie walki, ta żądza męczeństwa? i to wyznanie wiary: „Wierzę w strofy *Marsyljanki*.“

Sceptyk jednak nie formuje ściśle swego protestu, równie jak i nie stara się sięgnąć głębiéj do zasad krytykowanych. Przed sobą samym przyznaje się otwarcie jak jest jałowym, gdy mówi:

„Czuję to dobrze, że mam zupełne pustki w głowie; nic prócz *moich własnych* poglądów, oto wszystko! Jestem próżniakiem, któremu się nie chce szukać idei u innych. Nie mam odwagi grzebać się w książkach... Nic więcéj prócz *moich* idei—rozmyśla—prócz moich własnych, to okropna! Nie widzę daléj nad koniec własnego nosa“...

Był przynajmniéj szczerym. Zresztą godził się rezygnacyjnie z losem. „Wolałbym, mówi, żeby Michelet był czasami zrozumialszym... wiem jednak, że to jeden z naszych, że trzeba go bronić.“

Kupował zresztą codzień *Voix du Peuple* Proudhona a pytając się nieraz siebie „czy nie jest czasem zakonnikiem na wywrót i niewolnikiem Rewolucyi?“ oświadczał, że wie, iż jego miejsce jest po téj stronie, gdzie wołać będą: „Niech żyje rewolucya demokratyczna i socyalna!“

Było to oczywiście bierne zaciąganie się w bojujące szeregi, bez wiary i przekonania. Zarzucano mu tedy słusznie, że niema entuzyazmu, że nawet sieje ziarna sceptycyzmu i niezgody między towarzyszami.

— „Niech i tak będzie, oświadczał, kto jednak z was rzuci na mnie kamieniem?“

Nikt nie rzucał, bo sceptycyzm już wtedy nurtował w młodych mózgach francuzkich, lubo nie znajdował dla siebie odpowiedniego ujścia.

Przyciśnięty materyalnemi kłopotami młody rewolucyonista wyznawał natomiast po cichu, że „żywi w sobie kult dla interesów materyalnych i jest gorącym czcicielem złotego cielca.“

Był tylko bardziéj szczerym od wielu radykałów i aspiracye swe w tym kierunku sformułował nawet potém, jak zobaczymy, w osobnéj broszurze...

Nie tylko jednak na polityce młody sceptyk ostrzył sobie zęby. Wiktora Hugo nazywa „genialną małpą“ i występuje złośliwie prze-

ciwko kultowi Berangera, przeciwko wyidealizowanym przez tego poetę gryzetkom. Utrzymuje, że wielu studentów dlatego uważa sobie za obowiązek utrzymywać metresy, iż tak napisano w Berangerze. Wydaje się mu to bezmyślném małpowaniem, zarówno w zasadzie jak i w najdrobniejszych szczegółach.

Tymczasem upływają lata. Skromna pomoc z domu urywa się. Była ona zawsze niedostateczną; teraz jednak z podwojoną energią trzeba się starać o utrzymanie, o kawałek suchego chleba i dach nad głową. Dla zachowania niezależności Vingtras nie zaciąga się do żadnéj stałéj służby, przyjmuje tylko dorywcze roboty, często upokorzające a przynoszące zawsze zarobek drobny i niepewny. Żyje w ostatniéj nędzy, wiecznie głodny i nieledwie obdarty; mimo cudów oszczędności i wszelkiego rodzaju ograniczeń, często nie ma nawet dachu nad głową i całemi miesiącami przepędza noce na świeżém powietrzu lub w jakiéj mizernéj dziurze. Chwilami trafiają się lekcye lub jakie korzystne zarobki, wszystko to jednak mija; Vingtras z swą naturą cygańską i dążeniem do niezawisłości nie może sobie znaleść żadnego dłuższego zarobku. Wpada wtedy w niemoc i opuszczenie, żyjąc lata całe w okropnéj nędzy; nic prawie nie pracuje nad sobą, nie czyta—bo głodny, nie ma światła a mróz przejmuje go w mieszkaniu, jeżeli je ma zresztą... Poznaje wtedy cały legion wydziedziczonych, całe zastępy umysłowego proletaryatu, ludzi którzy pokończyli nauki, mają swój *bachot* a mimo to żyją w ostatniéj nędzy, bo nie mogli pogodzić się z wymaganiami wkładanych na nich obowiązków, lub poprostu chwyciła ich straszliwemi pazurami nędza i nie pozwoliła zrobić kroku naprzód...

Wrażenia zebrane w tym czasie odtworzył późniéj Vallès w szeregu obrazków, wydanych pod tytułem *Les Refractaires*. Gdy literatura wyrwała go z téj toni, przyrzekł sobie, że stanie się rzecznikiem nędzy, jaką widział i któréj na sobie tak srogo doświadczył.

Nim jednak do tego przyszło, wykolejony *bakałarz* streszczał w następujących słowach wrażenia przeżytego okresu:

„Upływały lata jedne za drugiemi; widziałem jak po zimie następowało lato i tak daléj koleją z nieprzepartą jednostajnością natury. Odeon (1) zmrożony zimą a świeży w kwietniu—oto wszystkie wspomnienia, jakie wypełniały moją głowę i serce...

Oto suma tysiąca lub dwóch tysięcy dni, jaką mam do zapisania.

---

(1) Arkady pod teatrem Odeonu w „cyrkule łacińskim,“ gdzie są składy książek i zwykłe *rendez-vous* umysłowego proletaryatu.

Jest to okropne nie módz wskrzesić w pamięci ani jednego obrazu, ani jednéj sceny, ani jednéj głowy, ażeby je umieścić wzdłuż przebieżonéj drogi, bezbarwnéj i pustéj. Żadnéj żywéj radości lub ostrego bólu! Nie mam żadnych wspomnień i nic nawet, cobym potrzebował zapomniéć, nic, nic! Czas stoczony został przez robaka nędzy bez żadnego śladu.“ (*Le Bachelier*, 423).

Przywalony tą nędzą Vingtras „poddał się“ wreszcie, „zdradził,“ jak mówiły „czerwone czapki“ pod Odeonem. Po wielu latach protestu i nędzy został *pionem* w kolegium na prowincyi. Odżywił się wtedy i wypoczął—nie popasał jednak na téj posadzie dłużéj nad pół roku. Nie mógł się pogodzić z tém stanowiskiem, ugiąć buntowniczego karku pod jarzmo—znalazł się więc znowu na bruku paryzkim. Teraz zmężniał jednak jakoś i wydobył się ze szponów nędzy. Parę udatnych artykułów, do których zaczerpnął materyał z własnych wspomnień, otworzyło mu drogę do dziennikarstwa; parę szczęśliwych wystąpień na zgromadzeniach ludowych zrobiło zeń figurę polityczną. Nędza nie doskwierała już tak bardzo; bywały nawet chwile obfitego dostatku, nieledwie zamożności! Vallès, jak wiadomo, umarł kapitalistą, dzięki zapisowi, jaki mu zrobił już w wieku dojrzałym jeden z nieznanych wielbicieli, dzięki zresztą niektórym operacyom finansowym, jakie udało mu się przeprowadzić. Na dnie tego rewolucyonisty i sceptyka spoczywał zawsze chłop, zabity owerniak, oszczędny dusigrosz i pożądający gorąco pieniędzy, które mogły by mu zapewnić byt dostatni i... niezależny.

Usposobienie to i towarzyszące mu poglądy wyszły na jaw w przedmowie do ciekawéj broszury, która była prawie debiutem literackim Vallès'a i zapewniła mu następnie miejsce giełdowego sprawozdawcy w „*Figarze*“. Wyszla ona w r. 1857. W owym czasie Vallès borykając się z nędzą, postanowił zapoznać się ze wszystkiemi arkanami gry giełdowéj i zostać bezzwłocznie milionerem... W zamiarze tym długo nie wytrwał—cierpliwość i wytrwałość nie była jego cnotą—zrodził się jednak z tego świstek ulotny, zatytułowany *L'Argent*, w którym ironia mięsza się z prawdą tak, że trudno je odróżnić. Jak w wielu innych razach, tak i w tym wypadku, Vallès był tylko bardziéj szczerym od innych i wypowiedział jawnie to co wielu radykałów chowało głęboko w duszy, dla siebie tylko. Posłuchajmy jednak téj przedmowy: Autorem broszury jak wyjaśniono w tytule, był „literat, który został giełdziarzem“ (homme de lettres qui est devenu l'homme de bourse). Przedmowa napisana jest w formie listu do p. Jules Mirès, któremu Jules Vallès tłómaczy jakim sposobem rzecz ta została napisaną. „Panie, mówi tu,—byłem literatem i straciłem w tém rzemiośle dwa niezbędne organa: serce i żołądek, żołą-

dek—to okropne! Przyszedłem jednak do rozumu; z pod Panteonu udałem się do Giełdy i w drodze porodziłem tego oto bękarta. Widzisz pan, jak śmiesznie wygląda ten mały żydziak (pan jesteś izraelitą—nieprawdaż), którego posyłam panu wraz z tém co w nim siedzi, ażebyś pan został jego ojcem chrzestnym. Jesteś pan trochę literatem i całą gębą milionerem; milionerem—ja także jutro nim będę a literatem już byłem. Z saméj natury rzeczy jesteś pan tedy mym konfidentem...

Tylko nie lękaj się pan; jestem już wykurowany i przemawiam prozą. Nie palę mych wierszy—uciekam jednak jak od cholery od mych dawnych przyjaciół, męczenników myśli... Wyniosłem na strych wszystkie moje fałszywe wielkości, poczciwców, których właściwą siedzibą jest dom waryatów nie zaś Panteon; dołączyłem do nich medalion Berangera, tego staruszka który wypożyczał swój geniusz na lichwę... W szpitalu moi wielcy ludzie są jak u siebie....; pozwalają im tam dowoli spać, palić i nazywać złodziejami lub episierami wszystkich porządnych ludzi, którzy robią majątek! Ach panie, i ja tak kiedyś myślałem—dziś jednak zmieniłem swój pogląd w tym punkcie. Mam obecnie o sławie i majątku, o atramencie i pieniądzach inne zupełnie wyobrażenia. Nie sądź pan jednak, żeby tak łatwo było zostać sławnym pisarzem i zawładnąć tłumem przy pomocy pióra jedynie... Ażeby założyć szkołę w literaturze trzeba tyle przynajmniéj talentu, ile go mieć wypada dla założenia banku.... I gdyby tylko chcieli ci dzielni szermierze pióra zużytkować swój talent w życiu realném, gdyby zużytkowali w niém swe zdolności, które ich czynią poetami, autorami dramatycznymi, historykami, publicystami, gdyby chcieli własne swe osobistości wplątać w dramat życiowy, odegrywany przez żądnych wzbogacenia się—nie ulega wątpliwości, że wytrzymali by z wami konkurencyę moi panowie plutokraci!“ Na ten temat snuł daléj ten aspirant na milionera ciekawe refleksye. „Kto wie, pisał daléj w owéj przedmowie. Rousseau naprzykład, jako autor *Umowy społecznéj* i *Nowéj Heloizy*, gdyby był mniéj biednym i mniéj sponiewieranym, czy wlałby do swych dzieł tyle goryczy, cynizmu i téj gwałtowności, którą lubią, jak sądzę, tylko natury chorobliwe i umysły niezdrowe. Wady J. J. Rousseau przypisuję właśnie téj męczącéj, złéj i nużącéj nędzy, któréj tyle doświadczył; ona zrobiła zeń człowieka i pisarza, jakiego znamy wszyscy. Nędza wyczerpuje silnych i demoralizuje słabych. Gdy się nie jadło obiadu, jest się złym i okrutnym; człowiek źle ubrany jest niezgrabny, pospolity i śmieszny...“ W uwagach tych Vallès sam się scharakteryzował dokładnie.

Wspomnienia swe z czasów komuny Jakób Vingtras spisał w trzeciéj i ostatniéj części swéj autobiografii: *l'Insurgé*. Jest ona najsłabszą i najmniéj szczerą, chociaż i tu jeszcze znajdujemy Vallèsa takim samym, jakim był całe życie.

Przy samym wstępie do Paryża po powrocie z owéj posady w kolegium trafia na pogrzeb Mürgera, idylicznego piewcy różnych Lisetek i Mimi, i powiada: wyście przedstawiali cyganeryę sentymentalną i spodloną— ja wam ją pokażę zrozpaczoną i groźną!

Wśród tych pomyślniejszych usiłowań prześladują go jednak wspomnienia przebytéj nędzy i żal lat utraconych: „Przejmuje mnie czasami, powiada, podła skrucha i trapią zbrodnicze wyrzuty sumienia. Tak jest, napływają mi niekiedy do serca fale żalu za moją straconą młodością, za życiem mojém oddaném na pastwę głodu, za moją dumą, rzuconą psom na pożarcie, za przyszłością moją zwichniętą dla tłumu, który jak mi się wydawało, miał duszę i któremu pragnąłem przynieść kiedyś w darze całą moją siłę, nagromadzoną w boleści.“

Takiego rozczarowania jest wiele w téj trzeciéj części autobiografii.

Nadchodzą zresztą straszne dni komuny i „krwawego tygodnia.“ Zdawało się, iż zbliżył się dzień, przywoływany tylokrotnie przez Vingtrasa, dzień gniewu i sądu. Vallès'a wybrano członkiem komuny. Gdy go o tém zawiadomił jeden z przyjaciół, Vingtras odzywa się doń w sposób następujący: „Dobrze to, że lud o mnie nie zapomniał, nominacya taka jednak równa się wyrokowi śmierci.“ Ta perspektywa prześladuje go ciągle. W ruchu nie zajmuje żadnego wybitnego stanowiska; wydaje wprawdzie dziennik *Cri du Peuple*, dziennik ten jednak, jak i jego redaktor, jest niezdecydowany i chwiejny.

Publicystą i człowiekiem wyrobionych zasad Vallès nigdy nie był; umiał tylko być sceptykiem i.... deklamować, w sposób, którego szczerość może być także kwestyonowaną,— co zresztą nie jest faktem wyjątkowym.

Przed komuną jeszcze, gdy przyszło przemawiać na zgromadzeniach i występować w prasie, Vallès, który dla swego radykalizmu nie może znaleść stałego miejsca w prasie legalnéj i konserwatywnéj, czuje także całą swą niemoc w radykalnéj opozycyi. Mimo, że uważa się za rewolucyonistę-socyalistę i wywołuje często postać *la Sociale*, wyznaje otwarcie, że nie czytał wcale Proudhona, który był na ustach wszystkich radykałów; oświadcza przytém wręcz, że kolektywizm i komunizm nie trafia do jego przekonania. I po komunie też tłucze się jak Marek po piekle; zajmuje go tylko ze strony artystyczno-romantycznéj rozpaczliwa walka — potém będzie

miał sposobność pisać często na ten temat deklamatorskie wspomnienia — a wreszcie patrzy na ludzi i wypadki przez ulubiony swój sceptyczny pryzmat, utrzymując, że cała ta rewolucya to tylko kler przebrany.

Oto np. portret Vermorela, jednego z wybitnych działaczy komuny, narysowany w *l'Insurgé*.

„Okropni są ci sekciarze starzy i młodzi! organiści konwentu lub zbiegi z zakrystyi. Vermorel to opat, który sobie wąsy przyprawił; chłopak kościelny, który świeżo podarł swą komeżkę. Nosi na sobie niezatarte piętno seminaryum ten ateusz i socyalista.... Odczytując codziennie swój czerwony brewiarz, komentując stronica po stronicy swe nowe „Żywoty świętych“, przygotowuje kanonizacyę „Przyjaciela ludu“ i „Przeczystego“ (Marata), którego kazania rewolucyjne ogłasza i którego śmierci pocichu zazdrości. Ach! jakby pragnął zginąć od noża jakiejś Charlotty!

„Co do mnie — powiada — nienawidzę Robespiera deisty; nie myślę wcale przysięgać na Marata, tego galernika podejrzeń i histeryka konwentu, newrotyka krwawéj epoki!“

„Vermorel dla tego czci swych rewolucyjnych bohaterów, że w saméj herezyi nie przestali oni być religijnymi; ich wiara i nienawiść zmieniła tylko przedmiot; wszyscy ci słudzy rewolucyjnego kościoła pójdą, jeżeli się zdarzy sposobność, równie jak jezuici, pierwsi ich mistrze, przez morderstwa do celu, który przysięgli osiągnąć. Po nad wszystkiém muszą oni miéć także swe „socyalne papiestwo.“ Konstatuje zresztą, że Vermorel wydaje się nieraz zniechęcony i powiada, że „tym, co wierzyli w niebo, ziemia zawsze wydaje się za małą, nie mogąc się zaś zdobyć na jakiś przedmieściowy Watykan, ogryzają sobie palce ze złości ci dezerterzy kościoła.“ Zawsze zresztą nimi pozostają. „Przyzwyczajeni do dymu kadzideł, potrzebują teraz koniecznie dymu prochu“, gdy zaś nie wiedzie się im w tym rewolucyjnym klerykalizmie, „zrozpaczeni wychylają truciznę, ażeby paść jak bydlęta, które duszy nie znają.“ Jest to także aluzya do Vermorela, który usiłował był sobie kiedyś życie odebrać.

A potém jeszcze ciekawy obrazek w stylu nietylko sceptycznym, lecz i naturalistycznym. „Ten świecki opat ma żonę, złośnicę, która go zabija szpilkowemi ukłuciami. Lubi on to zapewne, pragnąc być napawany octem, ofiarowanym na końcu miotły w braku włóczni z Golgoty.“ I tłómaczy daléj w ten sposób ten rewolucyjny ascetyzm Vermorela: „Nigdy on nie słyszał szmeru strumyka, nigdy nie wsłuchiwał się w śpiewy ptaków; nosząc w sobie swe niebo, nigdy nie śledził na widnokręgu za biegiem chmur, drganiem gwiazd

i nie widział nigdy wschodu słońca.... Nie lubiąc ziemi, gniewa się na tych, którzy w niéj pogrążają swe stopy.“

Wśród tych rozmyślań komuna ma się ku schyłkowi i Vingtras obawia się czasem, żeby nie był zabity „nim jeszcze zdołał coś zdziałać.“

Jak wiadomo, los oszczędził Vallès'a w straszny ów „krwawy tydzień.“

Przebrany za doktora przy ambulansie, zdołał następnie się ukryć i zbiedz do Anglii, skąd go dopiero wróciła amnestya 1880 r.

Z Londynu pisywał do dzienników paryskich i tam właśnie rozpoczął już swą autobiografię, z któréj wyjęliśmy niektóre charakterystyczne rysy.

IV.

Wróćmy jednak jeszcze do Vallès'a z czasów nędzy i głodu. Wrażenia i obrazki, zebrane wówczas i zamieszczane następnie w różnych dziennikach, wyszły w r. 1866 w osobnéj książce pod ogólnym tytułem *Les Refractaires.* Tytuł ten tłómaczył Vallès w przedmowie w sposób następujący: „Za czasów pierwszego cesarstwa, za każdym razem, gdy zabierano Francyi pewną ilość świeżego mięsa, ażeby zatkać niém dziury porobione przez nieprzyjacielskie armaty, trafiały się w każdéj wsi prawie krnąbrne syny chłopskie, którzy odmawiali wielkiemu imperatorowi posłuszeństwa. Obojętny był dla nich blask orłów napoleońskich — woleli uciekać w góry lub lasy i kryć się tam zdala od sławy, która na nich wołała... Nazywano ich „les refractaires“. Nie o nich jednak chcę mówić. Moi „refrakterzy“ (wykolejeni) błądzą po śmietnisku miast; nie mają cnót naiwnych i nie zachwycają się wschodem słońca. Wśród miejskiego mrowiska istnieje taki gatunek ludzi, którzy przysięgli sobie być wolnymi, którzy zamiast przyjąć miejsce, jakie im świat ofiarowywał, zapragnęli je sobie wywalczyć według swego upodobania i gustu, śmiałością i talentem; którzy myśleli, że jednym potężnym rzutem, siłą gorącego pragnienia, palącém tchnieniem swéj ambicyi zdołają godnie zająć miejsce obok innych; którzy nie mogli zdobyć się na długie i cierpliwe wyczekiwanie; którzy obrali sobie drogę na przełaj przez pola i lasy, zamiast trzymać się utartego i szerokiego gościńca.... Ja tych właśnie nazywam „wykolejonymi.“

Vallès opisuje daléj jak ten proletaryat umysłowy mieszka, przepędza dni i nocy, żywi się i umiera. Są to fotografie zdjęte wprost z życia, przejmujące politowaniem i współczuciem. Biedacy ci często nie miewają dachu nad głową, śpiąc parę godzin w nocy

gdzieś za węgłem, wystawieni na chłód i słotę, albo za miastem pod płotem lub drzewem, zdala od czujnego oka policyi miejskiéj. Całemi dniami nie jedzą nic lub niesłychanie mało, używając całego mistrzowstwa, ażeby zdobyć sobie kawałek chleba na dziś, w sposób często poniżający, nie wykraczający jednak przeciwko uczciwości. Dnie całe zimą i latem proletaryat ten, złożony z ludzi młodych i starych, weteranów nędzy, przepędza czas w bibliotekach publicznych, otwartych dla każdego bezpłatnie, jak w wielkiéj czytelni Biblioteki św. Genowefy, lub na wykładach w Sorbonie, w *College de France*, dostępnych również dla każdego. Proletaryusz taki nosi zazwyczaj pozory przyzwoitego ubrania, wytężając wszystkie siły, aby się nie ukazywać w odrażających łachmanach — resztki te bowiem choć wytartego ubrania zabezpieczają mu jeszcze czasami jakiś dorywczy zarobek. Po latach pięciu, dziesięciu, dwudziestu niekiedy takiego życia, pełnego nędzy, poniżenia, chłodu i głodu, wykolejony kończy życie w jakimś szpitalu publicznym z wycieńczenia i choroby. W otchłań tę wpadają ludzie, których wykoleiły często najszlachetniejsze pobudki i którzy giną w bezlitośnych uściskach nędzy, gdy ta już ich raz dobrze w swe szpony chwyciła.

„Oto—powiada Vallès — jak kończą często ci, którzy wszczęli głuchą walkę z przesądami świata. Kończą oni śmiercią bezmyślną, okropną i dochodzą do niéj przez zabłocone ścieżki samotni, opuszczeni, przeklinani i wzgardzeni pod uniformem nędzarzy.... Wzbogaceni pewnego pięknego poranku, sławni nawet niekiedy mogą ci zranieni w potajemnéj walce oblać rany pachnidłami, zetrzéć pot z czoła, suszyć łzy — wspomnienia jednak wciąż otwierać im będą rany, zrywać bandaże. Cierpiéć będą na odgłos jednego słowa, jednéj nuty, wesołéj lub smutnéj, która przypomni tym chorym duszom blade widma przebytéj przeszłości....

„Niezręczni! Czegoż bo od nich żądano? Być czémś w zbiorowéj maszynie, gwoździem, młotem lub kowadłem, piątem kołem u wozu, czémkolwiekbądź, mniejsza o to! Społeczeństwo nie kontroluje tak znów pilnie swych członków, byle mu tylko nie dawano zgorszenia, nie narażano go na niebezpieczeństwa! „Ze mną lub przeciwko mnie!“ Takie jest jego nieubłagane hasło. Powinniście miéć swoje stanowisko, rzemiosło, szyld. Reszta to rzecz drugorzędna. I społeczeństwo to powtarza uparcie, że ono tylko ma słuszność. Biada temu, kto odrzuca jego opiekę i chce iść wpoprzek ścieżki wydeptanéj przez tradycye! Bity gościniec lub rynsztok! do wyboru.... I ażeby wpaść do tego rynsztoku, w którym—mówi Vallès—widziałem tarzających się tyle dusz, które, jak mnie zapewniono, były niegdyś nieskalane i dumne, wystarcza, ażeby pewnego

pięknego poranku zabrakło chleba. Gdy w takiéj chwili nieszczęsny proletaryusz zawaha się, gdy nie wytęży wszystkich sił i nie zbierze całéj swéj przytomności, ażeby zdobyć ten kawałek powszedniego chleba, jeżeli straci stosowną chwilę — jest zgubionym, choćby miał talentu za czterech, cnoty na miarę bohatera i zdrowie atlety. Napróżno potém będzie się bił w piersi i wołał łaski! Zapóźno, hydra nędzy go trzyma i nie puści, póki nie pozrze całego....“

Wiele jest słusznéj goryczy i przeżytego bólu w tych refleksyach — a jednak społeczeństwo prócz utartego gościńca i rynsztoku ma jeszcze cierniowe drogi pracy, niepodległych myśli, szlachetnych pobudek i zamiarów, u kresu których stoi często uznanie szerokiego ogółu, a nierzadko i dostatek. Ci pionierowie dróg nowych posuwają właśnie społeczeństwo ku dalszym ewolucyom i czasem to, co było niemal zbrodnią w jednym okresie, bywa zasługą, zdobną wieńcem zasługi w dalszym. Nie wesoła tylko zapewne dola czeka tych, którzy drąc się przez te ciernie i głogi, upadli, którzy nie mieli dość wytrwałości, pracowitości lub talentu, ażeby się do téj walki dostatecznie uzbroić i wynieść z niéj coś dla ogólnego pożytku, lub którzy zresztą mimo największe wysiłki spotkali na swéj drodze nieprzezwyciężone przeszkody. Ale i ci mają często w nagrodę przeświadczenie spełnionego obowiązku lub uznanie choćby w dalekiéj przyszłości....

Vallès ma tę zasługę, że rzucił jaskrawe światło na trudne warunki życia proletaryatu umysłowego i wykolejonych, na te świadomie lub bezwiednie buntownicze rzesze, mrące z głodu i chłodu, że nie rzucał na nich kamieniem, nie mijał obojętnie, lecz miał żywe współczucie dla ich doli i głębszą wyrozumiałość dla przykrych kolei ich życia, którego na sobie samym doświadczył. Gdy pierwszy raz młodzieńcem jeszcze przybył do Paryża, uderzył go widok młodzieńca dość przyzwoicie ubranego, który maczał pokryjomu w Sekwanie kawałek suchego chleba. Drgnął wtedy, jakby przeczuwając własną dolę w tém ludzkiém mrowisku i wrażenie to pozostało mu w pamięci na długo.

W *Les Refractaires* przesuwają się przed nami różne sylwetki takich wykolejonych proletaryuszów. Autor wtajemnicza nas w zakulisowe sprawy ich nędznego życia, a w dzień zaduszny idzie na cmentarz położyć wianek żałobny na ich samotnych grobach. „Pójdę—powiada—odwiedzić mogiły, na które nikt płakać nie przyjdzie, pożegnam tych nieznanych, rzuconych byle jak do wspólnego dołu.“ Wpada przytém na temat rezygnacyjnych refleksyj. „Boże mnie uchowaj—powiada—ażebym miał tu wytaczać proces moim czasom. Umarli, których pozdrawiam, nie zostali pomordowani, złamała ich

fatalność.“ Nie wzywa do buntu. „Wołam tylko o litość na tych, co mimowolnie może i w dobréj wierze idąc pod wypłowiałym sztandarem tradycyi, zabrali życie i przyśpieszyli śmierć ludziom, których jedyną zbrodnią była chęć życia według swego gustu, w zgodzie z swemi złudzeniami i którzy, mając nogi w rynsztoku a oczy podniesione ku niebu, umartwili swe ciało na rzecz ducha, którzy żyli w zapomnieniu i nędzy, nieszczęśliwsi od zbrodniarzy, karanych publicznie... Nędza pojawiała się zwykle światu bądź po za bladą mgłą filantropii, bądź w czerwonym ogniu rewolucyi, z pianą na ustach i prochem w dłoni. Obok téj jednak nędzy klasycznéj. która ma swoją historyę, jest inna jeszcze niemniéj rzeczywista, straszna, okropna... chcę mówić o téj, która niema swego sztandaru, nie wydaje krzyków, nie rzuca blasku i która spopiela swe ofiary na wolnym ogniu...“ W kategoryi opisywanych przez Vallès'a nieszczęśliwców, zaledwie — mówi on — znalazł się jeden, który zboczył z drogi obowiązku, naruszył prawo.. Dla usprawiedliwienia ich powiada daléj: „Wyrzućcie na ulicę człowieka, któryby miał zbyt obszerny surdut na plecach i zbyt krótkie spodnie, człowieka bez kołnierzyka, krawata i grosza w kieszeni—choćby miał geniusz Machiawela lub Talleyranda, zginie w rynsztoku.“ „Nie przyszedłem tu—powtarza jeszcze—potrząsać sztandarem, przemawiam tylko do waszego poczucia słuszności, wołam o słowo pożegnania dla umarłych i pozdrowienie dla zranionych.“

W „Odszczepieńcach“ spotykamy ciekawy rozdział, zatytułowany: „Les victimes du livre“—Ofiary książek, w którym autor wykazuje ilu ludzi wykoleiły głośne i zasłużone skądinąd utwory geniuszu ludzkiego....

Pod koniec téj książki spotykamy się jeszcze z wybornym obrazkiem, który mógłby posłużyć za temat do wzruszającéj noweli. Bohaterem tego opowiadania jest Olbrzym-bakałarz (*le Bachelier-Géant*). Młody człowiek, skromny *pion* w kolegium za wielki był wzrostem dla szkoły. Starsi koledzy nauczyciele i dziatwa szkolna gryzły i raniły szpilkowemi ukłuciami tego olbrzyma. Żył samotny w swych szkolnych koszarach, bez przyjaciół i życzliwych. Zdarzyło się, że do miasteczka, w którém mieszkał, przybyła trupa pajaców i siłaczy. Poszedł na widowisko i ujrzał w ich gronie piękną Rozitę. Pokochał ją i został pokochany. Był odtąd codziennym gościem w szopie tych wędrujących „artystów.“ Gdy odjeżdżali, nie mógł przenieść na sobie rozłąki i przyłączył się do towarzystwa. Był odtąd pożytecznym jego członkiem, a w nagrodę miał miłość Rozity. Dola téj włóczącéj się drużyny nie zawsze była godna zazdrości; obok jaśniejszych dni dobrobytu i łaski wielogłowego tłumu

były czarne lub szare dni nędzy i głodu. Po nad tém wszystkiém jednak świeciła naszemu olbrzymowi jasna gwiazda miłości. Olbrzym kochał po swojemu—całą mocą swéj silnéj natury. Kobiety jednak nużą się często takiém wielkiém uczuciem. Rozita jak bizetowska Carmen lubiła dla rozmaitości kochać, gdy nią gardzono, zczasem więc zaczęła mu się sprzeniewierzać dla rozpustnika, sceptyka i cynika, który powiększył ich towarzystwo. Olbrzym wiedział o tém, udawał jednak, że nic nie podejrzywa; „kochał daléj, pogardzając sobą, mając dla swego uspokojenia tylko to poczucie, że czynił z siebie ofiarę... dla Rozity.“

O miłości Jakób Vingtras zupełnie prawie nie wspomina w swojéj autobiografii. Był zbyt biedny, zbyt opuszczony i źle ubrany, ażeby mógł myśléć o sercowych podbojach. W zbiorku tylko „Les Refractaires“ spotykamy poemacik p. t. *l'Habit vert*, w którym młodzieniec zakochał się w dziewczynie, podającéj obiady w skromnéj jakiejś garkuchni; młodzieniec ten jednak miał śmieszny kostium na sobie, ruchy niezgrabne, był nieśmiały i został wkrótce ubieżony przez szczęśliwiéj obdarzonego spółzawodnika.

V.

Lemer pisał o Vallèsie w swéj przedmowie (1): „Zdawało mi się często wśród naszych rozpraw bez końca nad rozgłośną „kwestyą socyalną“, rozpraw, wśród których Vallès, przesadzając teorye Roussa i niektóre poglądy Proudhona, doprowadzał zawsze prawie siłą logiki do zrobienia *tabula rasa* ze wszystkich instytucyj — zdawało mi się, powiadam, że ten rewolucyonista, nieprzejednany, jak się sam nazywał, wysilał się nadmiernie dla poparcia swych twierdzeń i że w tych wywrotowych zapatrywaniach najbardziéj pociągała go oryginalność pozy, jaką wówczas przybierał i dosadność wyrażeń, któremi się wówczas posługiwał.... Przychodziło mi więc nieraz na myśl, czy Vallès nie był ostatecznie tylko fałszywym gwałtownikiem. Są przecież tacy fałszywie rozsrożeni, jak są fałszywi poczciwcy.“

W słowach tych jest wiele prawdy. Nieuctwo swe w kwestyach socyalnych, w których przecie za herolda się uważał, wyznał niejednokrotnie sam Vallès. Mówił otwarcie, że nie czytał Proudhona, mimo że ten wówczas był u wszystkich radykałów na ustach, bo nie miał pieniędzy na kupno jego dzieł, a zresztą nie dowierzał z za-

(1) Les Enfants du Peuple.

sady drukowanemu słowu... Sam wyznaje, w jakim był kłopocie, gdy został już mówcą klubowym, skoro go pytano o zasady i zniewalano do formułowania programu. Lemer przytacza jeszcze jeden przykład charakterystyczny. W toku owych rozmów u Św.-Pelagii zachwalano bardzo jedno z dzieł Proudhona i zaproponowano mu je do przeczytania, równie jak i niektóre rzeczy Fouriéra. Tego ostatniego stanowczo nie chciał wziąć do ręki; Proudhona wziął lecz go nie czytał. Natomiast wiele mówił o swém zajęciu się rzeczami literackiemi. I w tym jednak kierunku przychodził tylko do konkluzyi, że „trzeba zniszczyć całą literaturę tradycyjną, literaturę szkolną, literaturę zarówno klasyczną jak i romantyczną, ponieważ ostatnia zapanowawszy wszechwładnie, stała się także klasyczną... Na gruzach tych radził stworzyć literaturę nową, literaturę ludową.“ Po za to jednak *pium desiderium* Vallès poszedł niedaleko. Głosił tylko wciąż swój literacki nihilizm, obiecując kiedyś napisać szereg artykułów, w których miał zdruzgotać Homera, Wirgiliusza, Rafaela, Michała-Anioła, Molièra, Wiktora Hugo.. całą tradycyjną literaturę i sztukę. Były to jednak tylko wybuchy negacyjne, nie ujęte w żaden system i nie poparte dostatecznie. Przy sposobności tylko chwytał za pióro i pałaszował na prawo i na lewo. Tak naprzykład pisał o *Hernanim*: „Są tam bezwątpienia wyborne wiersze, ani jednéj atoli sytuacyi prawdziwéj i potężnéj, a przedewszystkiém nic, nic coby utwór ten czyniło dziełem wolności i walki! Co! ten melodramat miał być punktem wyjścia dla rewolucyi? (1830 roku). Vallès potępiał wszystko w czambuł, nie wchodząc w subtelność walki romantyków z klasykami, nie rozumiejąc sytuacyi ówczesnéj. I wypowiadał daléj nieskończone tyrady przeciwko wszelkiéj starzyznie, konkludując że Wiktor Hugo był tylko „wspaniałem monstrum.“ „Przyszedł on na świat, powiadał, z pustą głową i sercem, jak Memnon jednak, o którym mówi, miał dar śpiewania, skoro go tylko dotknął promień słońca, sławy, kościelnego ognia lub połysk broni, skoro go uderzył blask, który bije od korony królewskiéj lub od strzelby buntownika., Był tedy Memnonem wielu rzeczy: Napoleona I-go, Karola X-go Ludwika Filipa, pod-Memnonem Prezydenta—a oto stał się znowu naczelnym Memnonem wolności.“ Potępiał zarówno Wiktora Hugo, jak Berangera, których oskarżał o przesadę i wykoślawienie prawdy realnéj ze szkodą realnéj potęgi... pocieszał się tém jednak, że Wiktor Hugo jest na wygnaniu, Berangerowi zaś wyprawiono wspaniały pogrzeb przy asystencyi wojska i policyi. Gdyby był się doczekał pogrzebu Wiktora Hugo i tę pociechę by utracił!

Charakterystyczne jest także to, co pisał Vallès o Dumasie-synu. „Dumas silny jest w tém, co widział na własne oczy, gdy jednak

opowiada nam o cnocie, dobrym-Bogu, prawi morały i wdaje się w politykę, jest osłem i nikczemnikiem. Nasze bunty nie są przecież gorsze od rewolucyi, którą on się czwani. Ten teatralny buntownik, który, pomiatając zdawkową moralnością, zatknął jako sztandar spódnicę półświatka (i dobrze zrobił), nie powinien pluć na buntowników barykad. Nasi przecież bohaterowie, którzy zginęli od ołowiu, warci są jego bohaterek wyleczonych merkuryuszem. Świat szuka dróg nowych. Dawna moralność skazaną jest na zagładę. On zaatakował ją z skalpelem w ręku w swych książkach, myśmy uderzyli na nią z poza barykad. Witamy w nim talent—dlaczegoż jednak ten błazen nie szanuje naszych przekonań.“

Vallès nie przebaczał żadnym antykom, bo zabijają one poczucie rzeczywistości i oryginalny polot. Zżymał się na widok posągów greckich i rzymskich, zapełniających sale Luwru, posągów, które czczono jak jakie bóstwa i które tylko naśladowano i naśladowano! Nie szczędził przy téj sposobności dosadnych wyrażeń i pytań, czy malarstwo straciło na tém, że nie doszły nas obrazy Zeuxisa i Apellesa; mimo to pojawili się Rafael, Rubens, Murillo... jeżeli zaś sława tych ostatnich zbyt ciężko przygniata talenta współczesne, to lepiéj by było zniszczyć te mniemane wzory... Oburzał się także na sposób, w jaki malarze wszystkich wieków i krajów przedstawiali wojnę; protestował przeciwko rutynie tryumfu i apoteozy. Grottgera oczywiście nie znał, a Wereszczagina nie przeczuwał zapewne. Nawoływał do rzeczywistości, tłómacząc, że w nas samych, współczesnych, krystalizują się tradycye ubiegłych wieków i pokoleń, nie należy więc poprzestawać na biernem naśladownictwie. W osobnym artykule rzucał wiele słusznych uwag o „sztuce ludowéj,“ zanim pojawili się impresioniści z Manetem na czele. Występował przeciwko tradycyjnéj rutynie w uganianiu się artystów pędzla za medalami i nagrodami, rozdawanemi przez instytucye podtrzymujące ślepe naśladownictwo tradycyi. Późniéj mógłby był powiedziéć, że Bastian-Lepage dlatego właśnie został prawdziwym i cenionym malarzem ludowym, że *nie* uzyskał *prix de Rome* i nie był poparty przez protektorów urzędowych sztuki. Gromił tedy zawzięcie „galerników tradycyi,“ wyznawców „konwenansowych ideałów,“ którzy gdy zwrócą ku czemu oczy, to patrzą zawsze po za siebie. Literatura, poezya, sztuki wszelkie błądzą jeszcze, powiadał, po udeptanych ścieżkach starożytności i wieków średnich, zaludnionych przez bogi, anioły i potwory. Teraźniejszość włóczy wciąż za sobą trupa przeszłości, jak galernik swą kulę u nogi. Trzeba jednak badać życie nie przeszłość umarłą! Rzym tradycyi i sztuki napawał go niepohamowanym gniewem. Mówił, że należy wyzwolić inteligencyę ludzką, przeszłość bowiem zaprzęgła

teraźniejszość w niewolę. Tradycyjne powagi były mu tak nienawistne, że wołał o krucyatę przeciwko nim i zburzenie oltarzy, które człowieka robią niewolnikiem. Początki naturalizmu w literaturze witał Vallès sympatycznie; oklaskiwał także rewolucyą, jaką w muzyce klasyczno-romantycznéj zapowiadała operetka i śpiewaczki ogródkowe w rodzaju Thérésy.....

Sceptyczny nihilizm Vallès'a głoszony Francuzom w okresie 1860 — 70 roku, w fazie przejściowéj, kiedy romantyzm ustępował z pola rodzącemu się naturalizmowi, miał zasługę odwagi cywilnéj. Gwałtowne te napaści zwracały się ku rzeczom i poglądom, uważanym wówczas za nietykalne. W tych śmiałych zapatrywaniach Vallès był odosobniony, słuchany jako hereziarcha i późniéj dopiero uznany za zwiastuna naturalizmu. Widoczna tylko jałowość i niesystematyczność jego poglądów, ich dorywczość, widoczny brak trwalszéj podstawy naukowéj skazywał je na pewną niemoc i skuteczność tych uwag znacznie obniżał. Że jednak w negacyi Vallès był bezstronny, nie przebaczał wcale i radykalno-rewolucyjnemu klasycyzmowi, i tradycyjność radykalizmu potępiał również jak tradycyjność reakcyi oraz wszelkiego konserwatyzmu.

Przyznać i to jeszcze należy, że w swych „nihilistycznych“ zapatrywaniach Vallès był wszechstronnym. Pragnął, ażeby literatura, sztuka, nauka i polityka opierały się na rzeczywistości i z téj tylko realnéj krynicy czerpały natchnienie i wskazówki. Sądził przytém, że między wszystkiemi temi kierunkami musi zachodzić naturalna łączność i wcale nie uważał, żeby naturalizm w sztuce miał prowadzić do indyferentyzmu w życiu i polityce. Owszem widział naturalne pokrewieństwo między realizmem w literaturze, a postępowemi kierunkami w życiu polityczno-społeczném. Był on jakby naturalistyczną mgławicą, pierwotną syntezą, z któréj nie wyłonił się jeszcze ów wielogłowy realizm rozproszony przez różniczkowanie na rozbieżne zupełnie odcienia. Zdrowa w gruncie natura Vallès'a i jego chłopski rozum, mało popsuty jakąkolwiekbądź doktryną, strzegły go od wszelkich zboczeń jednostronnych. Naturalizm pesymistyczny i monstrualny spotykał się z jego nieubłaganą krytyką i kolącemi drwinami. Za przykład w tym rodzaju może posłużyć charakterystyka Beaudelaire'a. Chorobliwy piewca *Fleurs du mal* został tu przedstawiony w nader realném świetle.

Oto w ogólnych rysach dzieje jednego z „wykolejonych.“ Vallès był szczęśliwszym od innych, bo talent literacki i życie publiczne wyrwało go z toni zapomnienia i nędzy, która tylu innych pożarła. Gdyby pozostał „bakałarzem“, nie doznałby zapewne w życiu tylu przykrości, nie przeszedł tylu walk wyczerpujących i bolesnych—

nie byłby jednak Vallès'em i nie zaznałby tych wrażeń przyjemnych, jakie daje praca na szerszéj arenie.

Życie wykolejonych jest niezaprzeczenie cierniami wysłane, a dola ich nie zawsze wesołą. W trudnéj walce o byt ginie wielu, którzy opuściwszy utarte ścieżki, przystosować się do warunków otoczenia nie mogli czy nie chcieli. Ciężkie koła społecznego rydwanu druzgoczą takich ofiar tysiące. Nie trzeba jednak zapominać, że w tych właśnie szeregach rekrutują się liczni szermierze postępu.

Edward Przewóski.

POŁOŻENIE PARLAMENTARNE W AUSTRYI

PRZED WYBORAMI I PO WYBORACH.

Dla zrozumienia i dokładnego ocenienia doniosłości wyniku niedawno odbytych nowych wyborów parlamentarnych w Austryi, jako też dla określenia sytuacyi wynikłéj z tych wyborów, trzeba koniecznie cofnąć się wstecz i zaznaczyć, chociażby pobieżnie, stosunki parlamentarne i polityczne, istniejące przy końcu ubiegłego sześciolecia rady państwa, jako też przypatrzyć się nieco bliżéj ustrojowi konstytucyi austryackiéj, stanowiącemu ramy dla świéżo wytworzonego obrazu sytuacyjnego. Ubiegłe sześciolecie parlamentarne inaczéj się zaczęło a inaczéj się skończyło. Kiedy po złamaniu lodów niemieckiego centralizmu, gabinet teraźniejszy objął rządy i przeprowadziwszy wybory w duchu autonomicznym, zwołał przed laty sześciu radę państwa, miał do zaznaczenia zaraz na wstępie dobry i nadzwyczaj doniosły skutek swych usiłowań, mianowicie: wstąpienie czeskiéj prawno-politycznéj opozycyi do parlamentu, która, jak wiadomo, bierną prowadziła owego czasu politykę i nie mało téż kłopotów sprawiała wszystkim niemiecko-centralistycznym ministeryom. Izba poselska austryackiéj rady państwa, jak się urzędowo izba niższa zowie, stała się kompletną, co oczywiście nadało całemu ustrojowi konstytucyjnemu więcéj powagi i znaczenia. Przedstawiciele narodów słowiańskich i niemieckich frakcyj autonomicznych weszli z otuchą i wielkim zasobem nadziei do parlamentu. Z zapałem jęli się pracy parlamentarnéj w nadziei, że przy dobréj woli gabinetu i ich własném współdziałaniu zdołają naprawić złe, wyrządzone narodom i krajom przez długoletnie rządy niemiecko-centralistyczne, przeprowadziwszy równouprawnienie narodowe, poręczone artykułem XIX zasadniczych ustaw państwowych, oraz pewne niezbędne reformy natury ekonomicznéj i autonomicznéj. W począt-

kach szła praca w tym kierunku z bardzo dobrym skutkiem, pomimo, że prawica, tworząca większość parlamentarną, składała się z różnorodnych frakcyj i sprzecznych żywiołów narodowych. Bodźcem karności pomiędzy stronnictwami prawicy była przedewszystkiem bojaźń, żeby lewica nie przyszła znowu do steru; a karność z swéj strony nader oddziaływała skutecznie na utrwalanie i wzmacnianie nowéj sytuacyi, zwłaszcza, że pomiędzy gabinetem, w którego skład weszli tak wybitni przedstawiciele stronnictw prawicy, jak dr. Julian Dunajewski, dr. Prażak i hr. Falkenhayn, a większością parlamentarną istniała zupełna i najlepsza harmonia. Rząd czynił wszystko, co tylko mógł, ażeby utrzymać tę większość, ona zaś nawzajem ponosiła chętnie wszelkie ofiary, ażeby jak najmniéj robić rządowi trudności i wzmacniać jego stanowisko. Dobre stosunki, panujące tak pomiędzy stronnictwami prawicy, jako téż między prawicą a gabinetem, polegały na kompromisie odnawiającym się „od wypadku do wypadku.“ Stronnictwa prawicy kierowane przez tak zwany „komitet wykonawczy“, złożony z komisyj parlamentarnych wszystkich klubów większości, układały się w podwójnym kierunku: pomiędzy sobą i znowu jako całość—na zewnątrz z gabinetem. Wzajemna dobra wola zastępowała miejsce ściśle określonego programu: zarówno dobra wola pomiędzy sprzymierzonemi, jako téż i gabinetu wobec prawicy, który na podstawie harmonii panującéj pomiędzy nim a większością stał się był *de facto* rządem parlamentarnym. Stosunki ułożyły się tedy prawidłowo, nowy system polityczny wzmacniał się i utrwalał, a co najgłówniejsza, miał do wykazania dodatnie rezultaty. Na ten okres czasu przypada załatwienie bardzo trudnéj sprawy podatku gruntowego, nad czém stronnictwo „wiernokonstytucyjne“ pracowało bez żadnego skutku przez lat kilka; założenie wszechnicy czeskiéj w Pradze i przekształcenie wielu niemieckich szkół średnich w Czechach, na Morawii, w Krainie i południowéj Styryi na czeskie. a względnie na słoweńskie; daléj koncesyonowanie i budowa kilku linii dróg żelaznych z pożytkiem dla poszczególnych krajów nie-niemieckich, które przez poprzednie rządy były zaniedbane i w ekonomicznym kierunku. Rząd swoją drogą pracował energicznie nad poprawą administracyi, sądownictwa i skarbowości. Palma pierwszeństwa należy ministrowi skarbu Dunajewskiemu, który silną ręką ujął kierownictwo swojego wydziału ministeryalnego, zakreślając sobie trudne zadanie przyprowadzenia równowagi w budżecie państwa. Niedobory piętrzyły się coraz wyżéj pod rządami centralistycznemi i przybrały były już tak zatrważającą wysokość, że opinia publiczna zaczynała się na serio liczyć z bankructwem państwowém. Niezwykłe zdolności i energia nowego

ministra skarbu zaczęły działać skutecznie tak, że już w trzecim roku jego urzędowania budżet przedstawiał się nadzwyczaj korzystnie, a niedobór zmniejszał się znacznie od roku do roku. Liczby najwymowniéj przemawiały za rządem, którego duszą był i w innym kierunku dr. Dunajewski, „mówca gabinetu“, staczający rok rocznie przy rozprawach budżetowych bitwy krasomówcze z opozycyą niemiecką, idącą pod przewodnictwem weterana parlamentarnego dr. Herbsta na ostrze nożów przeciwko gabinetowi i jego większości. Niezmierne szczęście sprzyjało hr. Taaffemu i gabinetowi na każdym kroku. Wychodził on z najtrudniejszéj pozycyi zawsze zwycięsko, cieszył się zaufaniem korony, a to razem sprawiło, że stanowisko rządu, zrazu bardzo niepewne i chwiejne—opozycya obliczała jego istnienie na krótkie miesiące — utrwaliło się i wzmocniło nad wszelkie oczekiwania. Zdawałoby się, mając ówczesne położenie na uwadze, że w miarę wzmocnienia się stanowiska gabinetu, powinien był róść i wpływ prawicy. Tymczasem stało się wręcz przeciwnie. Dotychczasowa harmonia, istniejąca pomiędzy gabinetem a większością parlamentu, doznała małego wstrząśnienia i odtąd szło w tym kierunku *en decadence* zwolna, ale stopniowo i to tak dalece, że przy końcu ubiegłego sześciolecia, pomimo silnego stanowiska rządu, prawica niemal przestała być — większością.

Przypatrzmy się przyczynom tego dziwnego zjawiska.

W innych, prawdziwie konstytucyjnych państwach byłoby coś podobnego wręcz niemożliwém. Przy zachwianéj harmonii pomiędzy gabinetem a większością parlamentu, musiałby albo pierwszy ustąpić lub téż parlament być rozwiązanym. W Austryi ani jedno ani drugie się nie stało. Ażeby tę anomalię zrozumiéć, trzeba właśnie miéć na uwadze połowiczność austryackiéj konstytucyi, która przy izbie wyższéj, złożonéj wyłącznie z członków, nie wybranych, lecz przez rząd mianowanych, przez co rząd każdoczesny może w izbie téj miéć większość, jakiéj potrzebuje,— czyni z izby niższéj, t. j. izby posłów, w istocie rzeczy tylko rodzaj ankiety parlamentarnéj, z którą rząd mniéj tkliwy na swoją „parlamentarność“, mało się liczyć potrzebuje. Bez sankcyi izby wyższéj żadna uchwała izby poselskiéj prawomocną stać się nie może, pominąwszy nawet ważną okoliczność, że i izba poselska nie składała się bynajmniéj z reprezentantów mas ludności, lecz z przedstawicieli pewnych grup interesantów i uprzywilejowanych poszczególnie klas społecznych. Ordynacya wyborcza pozwala bowiem tylko mniéj więcéj 5% ogólnéj ludności wykonywać prawa polityczne, ustanawiając zarazem, że 23% z ogólnéj liczby posłów przypada na zastępców kuryi większéj posiadłości ziemskiéj.

Gabinet hr. Taaffego, kiedy przyszedł do sił, opierając się zapewne na duchu téj połowicznéj konstytucyi i zaufaniu korony, okazał się tak dalece mało tkliwym na swoję „parlamentarność“, że już w czwartym roku swoich rządów, kiedy sytuacya zaczynała się komplikować, oświadczył publicznie, że nie uważa się jako „rząd parlamentarny“, czém zasadniczo zerwał z większością, czyniąc ją raczéj zależną od siebie. Sądząc sprawiedliwie, nie można co do tego przypisywać samemu tylko rządowi winy. Część jéj i to nie mała spada na prawicę, w szczególności zaś na frakcye niemieckich konserwatystów i klerykalistów, którzy w swych żądaniach przekroczyli pierwsi miarę umiarkowania i przyzwoitości, a prąc prawicę w kierunku swych żądań, narazili ją na wielkie moralne klęski i wogóle złym przykładem dali początek do rozluzowania się karności i solidarności pomiędzy stronnictwami prawicy, wytwarzali trudne sytuacye dla niéj i dla rządu i ostatecznie zachwiali cały urok, jaki otaczał w początkach i większość parlamentarną i harmonizujący z nią rząd. Wystarczy przypomniéć tylko sprawę tak „zwanéj noweli szkolnéj.“ Od uchwalenia téj noweli zaczęło wszystko iść na dół. Koło polskie w szczególności ściągnęło na siebie niechęć szerszych sfer ludności niemieckiéj, a w kraju naraziło się na cierpkie zarzuty. Chcąc złe powetować, rozpoczęło akcyę w kierunku decentralizacyi galicyjskich dróg żelaznych państwowych. Rząd, czując się silnym, obiecywał wprawdzie uczynić zadość odnośnym żądaniom koła polskiego, ale ostatecznie zawiódł oczekiwania Galicyi. Zaufanie dotychczasowe zostało zachwiane, niezadowolenie jak kamień wrzucony do wody zarysowywało coraz większe kręgi, utrudniało na każdym kroku postęp pracy parlamentarnéj, wśród czego zniechęcenie ogólne stawało się charakterystycznem znamieniem czasu. Rząd nie uwzględniał żądań stronnictw prawicy, ale żądał, dla przywrócenia równowagi w budżecie albo raczéj w celu polepszenia stanu państwowéj skarbowości, nowych podatków, nowych ofiar pieniężnych; prawica z niechęcią i więcéj z musu wotowała, żądając od czasu do czasu na próżno téj lub owéj koncesyi, a otrzymując tylko tu i owdzie małe i mało znaczące koncesyjki. Na domiar złego, parli sojusznicy koła polskiego i czeskiego, niemieccy konserwatyści i klerykaliści pod wodzą książąt Liechtensteinów i dr. Lienbachera, do jeszcze większéj reakcyi, a kiedy Polacy i Czesi nie okazywali wielkiéj chęci zadośćuczynienia ich wymaganiom, podnieśli pierwsi jawny sztandar rokoszu, narażając solidarność prawicy na rozmaite wstrząśnienia. Rząd swoją drogą pogarszał położenie przynajmniéj o tyle, że odstręczył od siebie, przez niepotrzebne zupełnie zaprowadzenie stanu wyjątkowego w Wiedniu i trzech

obwodach dolno-austryackich, wolnomyślne masy ludności niemieckiéj, które dotychczas bynajmniéj nie solidaryzowały się z opozycyjną lewicą. Stan wyjątkowy o tyle przyszedł niefortunniéj, że poprzedziły go rzekome reformy socyalno-polityczne, prowadzone pod kierownictwem księcia Alojzego Liechtensteina, klerykalisty z Tyrolu Zallingera i czeskiego feudała hr. Belcrediego. Dla demonstrowania przeciwko kapitalizmowi i lewicy zwołali ci „chrześciańscy socyaliści“ ankietę, złożoną z posłów, przemysłowców i rękodzielników, w celu poprawy ustaw przemysłowych i przedsięwzięcia reform natury socyalno-politycznéj. Ankieta ta, odbywająca się w wielkiéj sali obrad parlamentarnych, zyskała wkrótce nazwę „parlamentu robotników“, a to z powodu, że powołano do niéj licznych robotników, pomiędzy temi i Peukerta, przewódcy radykalnego stronnictwa robotników. Obrady „parlamentu robotniczego“ z powodu gwałtownych wystąpień kilku przedstawicieli robotników, którzy po raz pierwszy pytani o zdanie, rozwijali bez ogródki swoje teorye socyalistyczne, żądając przedewszystkiem zmiany systemu produkcyi— przerwano nagle i w końcu wyszła nowa ustawa przemysłowa, polegająca na ograniczeniu zarobkowania przez wprowadzenie cechów i tak zwany „wykaz uzdolnienia“, dających majstrom sposobność wyzyskiwania konsumentów i odbiorców z jednéj, a znowu przewagi i wyzysku robotników, a szczególnie chłopców terminujących z drugiéj strony. Za tą reakcyą ekonomiczną, wyszłą pod patronatem klerykalnych reformatorów, poszło następnie do zbyt wygórowanych ceł ochronnych i do stanu wyjątkowego, którego ofiarą padli przedewszystkiem robotnicy powołani do wymienionéj powyżéj ankiety. Ostatnia sesya parlamentarna najlepiéj udowodniła rozkład prawicy i dysharmonią, istniejącą w części pomiędzy nią a rządem. Dawniejsze dobrowolne i z przekonania pochodzące popieranie rządu zamieniło się w rodzaj mameluctwa, patronizowanego w klubach prawicy przez wybitniejsze osobistości, których wpływ o tyle przeważał, że ostatecznie znajdowali w swoich klubach większość. Ale charakterystycznem znamieniem położenia musi pozostać okoliczność, że opozycya przeciw rządowi w klubach ciągle wzrastała i nieraz w sprawach ważnych, przez ministeryum bardzo gorliwie popieranych, rządowcy przy największém wysileniu zyskiwali większość jednego lub dwóch głosów. W kole polskiém był filarem ministeryum prezes dr. Grocholski, u którego stało się zasadą bezwarunkowe popieranie rządu. Ten sam kierunek przedstawiali w kole czeskiém, jednakże z większém umiarkowaniem, dr. Rieger i hr. Henryk Clam-Martinic, a znowu hr. Hohenwart stał na straży interesów rządowych w „klubie prawego środka.“ Koło polskie wyszło źle na

swoim ministeryalizmie, a gorzéj jeszcze na sojuszu z niemieckiemi klerykalistami, ponieważ, jak wiadomo, żaden z jego postulatów ekonomicznych nie uzyskał sankcyi parlamentarnéj, co przecież pomimo oporu klerykalistów, przy silnéj woli gabinetu, dałoby się przeprowadzić. Odnosi się to w szczególności do sprawy regulacyi rzek galicyjskich, którą to sprawę izba odroczyła, a natomiast wskutku silnego, bezprzykładnego parcia gabinetu odnowiła na nowych lat 55 przywiléj grupy finansowéj Rothschild'a, wyzyskujący koleją Północną skarb państwa i masy interesowanéj ludności, pomimo, że państwu przysługuje prawo nabyciu téj drogi na własność. W ciągu całego sześciolecia nie było sprawy bardziéj niepopularnéj jak sprawa odnowienia przywileju dla towarzystwa północnéj drogi żelaznéj. Można powiedziéć śmiało, że rząd „przepędził" prawicę „przez wężowe rózgi Eumenid," żądając od niéj w powyżéj wskazany sposób załatwienia téj sprawy, pomimo że argumentu lewicy wykazującego liczbami, iż skarb państwa traci na téj tranzakcyi z domem Rothschildów nie mniéj jak 53 miliony guldenów, nikt z ławy rządowéj nie zbił—i to na zakończenie sześcioletniéj parlamentarnéj działalności.

Nadto, jak czarna chmura, zawisła na widnokręgu niemiła sprawa galicyjskiéj kolei transwersalnéj, z czego lewica w swój sposób usiłowała korzystać, wyzyskując zarazem, dla wzmocnienia popularności, swoją opozycyą przeciwko sprawie kolei północnéj, któréj upaństwowienia żądała. Przy zachwianéj solidarności prawicy i przy pomocy kilku niemieckich klerykalistów z nią głosujących, udało jéj się przeforsować postawienie sprawy „Schwarz-Kamiński-Kozłowski" na porządek dzienny przedostatniego posiedzenia izby przed jéj rozwiązaniem. Ponieważ jednak zarówno prawicy, jak i rządowi dużo na tém zależało, żeby pod koniec sesyi lewica nie robiła skandalu—o co jéj właśnie chodziło—przeto zamknięto sześciolecie parlamentarne o kilka dni wcześniéj, aniżeli było zamierzoném, a to głównie dlatego, że już ani prawica ani rząd, przy dwuznaczném zachowaniu się niemieckich konserwatystów i klerykalistów, nie mogli żadną miarą liczyć na większość, z czego wynikało, że lewica mogła nadać sprawie kierunek najszkodliwszy i przez nikogo nie przewidziany.

Taki był epilog sześciolecia. Położenie zarysowało się w bardzo ciemnych barwach. Każdy był zadowolony, że izba poselska zakończyła swój żywot, w przekonaniu, iż takie stosunki parlamentarne nie dały by się w żaden sposób dłużéj utrzymać, a z tego korzystała by tylko opozycya. Jako kotwica ratunku przedstawiły się nowe wybory i nie bez powodu, ponieważ miały się one odbyć na podsta-

wie zreformowanéj ordynacyi wyborczéj, zmniejszającéj w okręgach wiejskich i miejskich cenzus wyborczy na minimum 5 guldenów rocznie opłacanego podatku a nadto dzielącéj wybory z kuryi czeskiéj większéj posiadłości ziemskiéj, która przedtém wybierała razem w swéj całości, na kilka okręgów wyborczych, co czeskiemu stronnictwu narodowemu zapewniło zdobycie dziewięciu nowych mandatów.

Nim przejdziemy do oceny wyniku nowych wyborów, należy wprzódy przypatrzéć się zgrupowaniu stronnictw w rozwiązanéj izbie.

Przedewszystkiém zauważyć trzeba, co już z powyżéj przedstawionego stanu rzeczy w części wynika, że walka sześcioletnia autonomicznéj prawicy i rządu przeciw dawnemu systemowi, bronionemu przez opozycyą niemiecką zjednoczoną w stronnictwie lewicy, wpłynęła znacznie na zmianę położenia i na zmianę programowego stanowiska poszczególnych stronnictw. Początek ubiegłego sześciolecia był bowiem zupełnie innym aniżeli jego koniec. W początkach dążyły stronnictwa prawicy do rozszerzenia autonomii krajów i do wolnościowych reform, jak tego rozszerzenie prawa wyborczego dowodzi, pod koniec brnęły one po szyję w kierunku konserwatywnéj reakcyi a cała czynność ich, nie oparta na żadnym programie, ograniczała się na ustawicznych, często nawet drobnostkowych targach pomiędzy sobą i z rządem, nie już o daleko sięgające i zasadniczo ważne reformy i koncesye, ale o małe ustępstwa. Dawniejszy kompromis w większym stylu i oparty o program zasadniczy zamienił się w pieniaczy targ, uwłaczający nawet po części powadze parlamentu, a właśnie taka zmiana położenia mogła się najwięcéj przyczynić do tego, że rząd oddalał się coraz bardziéj od prawicy i polegając na połowiczności austryackiéj konstytucyi, ogłosił swoję „nieparlamentarność“, usiłując „stać po nad stronnictwami“ i z tego stanowiska „godzić powaśnione narody.“ Przy opozycyi *quand même* „zjednoczonéj lewicy“ to ostatnie najmniéj się powiodło rządowi, ponieważ faktycznie zamiast zgody narodowéj walka i nienawiść narodowa zapłonęła wszędzie silniejszym jeszcze płomieniem. Opozycyjna negacya niemieckiéj lewicy postawiła sobie też za najgłówniejsze zadanie, różnice narodowe zaostrzać i namiętności narodowe w co raz szerszych kołach ludności rozbudzać, ażeby tym sposobem misyę godzenia narodów, jaką sobie gabinet hr. Taaffego obrał, sprowadzić do absurdu. W tym celu wynalazła lewica rozmaite hasła wojenne, pomiędzy któremi frazes o „uciśnionéj niemczyznie“ (*bedrängtes Deutschthum*) pierwszą odgrywał rolę. Frazesem też tym prowadziła przeciwko rządowi i większości parlamentarnéj walkę tak zawzięcie, że to ściągnęło jéj z ust cesarza nazwę „fakcyjnéj opozycyi.“

Duszą niemieckiéj opozycyi był dr. Herbst, człowiek ostrzelany w walkach parlamentarnych, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli dawniejszych rządów niemiecko-centralistycznych, mówca pierwszorzędnego znaczenia i mąż wielkiéj wiedzy prawniczéj, administracyjnéj i ekonomicznéj. Bez przesady można go nazwać wielkim w negacyi, którą zwykle na podstawie swéj zręcznéj dyalektyki umie skutecznie używać przeciw swoim przeciwnikom. Dr. Herbst umie burzyć, ale niczego nie umie zbudować. Dowiódł prawdziwości tego twierdzenia, będąc w gabinecie d-ra Giskry ministrem sprawiedliwości i nie przeprowadziwszy na tém stanowisku ani jednéj reformy w sądownictwie, chociaż jak wiadomo, austryackie sądownictwo potrzebuje nie małéj naprawy. Gryząca ironia, świetna dyalektyka, obszerna wiedza i wrodzona zręczność do sofistycznéj szermierki słowem, czynią z niego potęgę opozycyjną. Znają go szczególnie Czesi z tego pola działalności, gdyż od lat przeszło dwudziestu stoi on na czele Niemców czeskich i toczy zawziętą walkę w czeskim sejmie z stronnictwem narodowo-czeskiém. Opozycyjność stała się jego drugą naturą, bez niéj nie mógł by on żyć, co tak dalece nadaje całéj jego osobistości znamię charakterystyczne, iż nawet jako minister i rzecznik większości parlamentarnéj stał on niemal zawsze albo na negującym stanowisku wobec swoich kolegów ministeryalnych, albo téż w opozycyi przeciwko części swojego stronnictwa. O nim można śmiało powiedzieć z Szekspirem: każdy cal opozycyonista. Jednakże w politycznym kierunku jest dr. Herbst przedstawicielem niemieckiego liberalizmu w pojęciu programowem dawniejszego „stronnictwa wiernokonstytucyjnego“, w pojęciu niemieckiego centralizmu. Liberalizm ten ma bardzo ciasne granice. Opiera się bowiem na: uciskaniu narodowości w celach germanizacyi, co ma stanowić wedle jego katechizmu: „przestrzeganie austryackiéj myśli państwowéj,“ na bezwzględnéj centralizacyi administracyjnéj; na szczupłym wymiarze swobód i praw autonomicznych i w ogóle konstytucyjnych, a w ekonomicznym kierunku na teoryi manchesterskiéj, dającéj we wszystkich gałęziach wytwórczości stanowczą przewagę kapitalizmowi. Liberalizm ten jest tylko środkiem do celu, środkiem do ustalenia panowania koteryi austryacko-niemieckiego stronnictwa centralistycznego, dążącego do germanizacyi, a tém samém będącego tylko dalszym ciągiem dążności dawniejszéj niemieckiéj biurokracyi absolutystycznéj, uosobionéj w systemie Bacha. Istota dążności pozostała ta sama a tylko na zewnątrz, licząc się z prądem czasu, zmieniono etykiety, zamieniono dawniejszy absolutyzm na pozorny liberalizm i pozorną konstytucyę, która wygłasza wprawdzie najpiękniejsze zasady wolności w tak zwanych „zasadni-

czych ustawach państwowych, jako to· równouprawnienie narodowe, religijne i polityczne, wolność prasy, stowarzyszeń, zgromadzeń i koalicyi, neutralizując je zarazem za pomocą tak zwanych „ustaw wykonawczych,“ poruczających władzom politycznym i policyjnym niemal dowolne przeprowadzanie i interpretacyę wszelkich swobód konstytucyjnych i ustanawiających cały szereg wyjątków i zboczeń od zasadniczych ustanowień. Duch téj połowicznéj konstytucyi, to zaiste duch sofisteryi dr. Herbsta i jego dążności w ogóle. Nigdy bowiem przewódca dawniejszego stronnictwa rządzącego a obecnéj opozycyi nie był wyznawcą prawdziwie liberalnych zasad, a nawet jego program narodowy był zawsze o tyle jednostronnym, że zaczynał się i kończył na Austryi, po za którą dla niego Niemców niema. Wyobraża on przeto germanizatora w Austryi i tylko wyłącznie dla Austryi w duchu dawniejszéj biurokracyi i systemu bachowskiego. Ale dr. Herbst, szermierzący w celach opozycyi zbyt często i namiętnie „uciśnioną niemczyzną“, postępował bardzo nieoględnie, bo przyczynił się głównie do wytworzenia prądów silniéj narodowych pomiędzy Niemcami, które już pod koniec ubiegłego sześciolecia stawały w poprzek jego usiłowań i umniejszały jego wpływ. Przymiotnik: niemiecki zaczął się stopniować. Bardziéj niemieckim, aniżeli dr. Herbst okazał się Plener, z nim o przewództwo stronnictwa współzawodniczący, człowiek wielkiéj ambicyi i wielkich zdolności. Około niego zgrupowali się bardziéj niemieccy członkowie „zjednoczonéj lewicy,“ pomiędzy temi takie wybitne osobistości jak dr. Kopp, dr. Sturm, dr. Menger i inni, którzy poszli o krok jeden daléj w kierunku narodowym, aniżeli tego tradycya austro-niemieckiego biurokratyzmu i pozornie liberalnego centralizmu dozwalała. I ci mężowie stali jeszcze na gruncie „austryackiéj myśli państwowéj,“ ale wzrok ich sięgał już niekiedy poza czarno-żółte słupy graniczne a organa ich prasy przemawiać zaczęły o „potrzebie ściślejszego przymierza pomiędzy Austro-Węgrami a państwem niemieckiém. Z tą bardziéj niemiecką frakcyą pod wodzą Plenera i Koppa musiał dr. Herbst staczać już dość silne utarczki na posiedzeniach klubowych i doznawać nawet od czasu do czasu upokorzenia, że jego wnioski taktyczne nie zyskiwały większości. Nie długo potém, mniéj więcéj przed rokiem, wyłoniła się z „niemieckiego stowarzyszenia szkolnego“ jeszcze skrajniejsza grupa, która się nazwała „narodowo-niemiecką“ a któréj program stanowił wręcz antytezę herbstowskiéj „austryackiéj myśli państwowéj.“ Na widowni parlamentarnéj stanęli mianowicie dwaj nowi mężowie téj barwy: dr. Weitloff i dr. Knotz, pierwszy wybrany w Wiedniu, drugi w północnych Czechach, którzy zwrócili od razu na siebie powszechną uwagę. Wprawdzie wy-

stępowali oni zawsze jeszcze w ramach „zjednoczonéj lewicy,“ ale ton ich przemówień wyróżniał się ostrością i bezwzględnością niemal skandaliczną, kiedy przychodziło im rzekomo walczyć „w obronie praw narodu niemieckiego.“ Im głośniéj, im hałaśliwiéj i częściéj ci statyści idei jedności niemieckiéj w ogólném jéj znaczeniu zaczynali się pojawiać na widowni, tém bardziéj malał wpływ dr. Herbsta. Narodowcy niemieccy zwrócili się bowiem wewnątrz klubowéj organizacyi przedewszystkiém przeciwko „niedostateczności starego programu,“ żądając „ostrzejszego tonu“ wystąpienia, co téż nadało im miano frakcyi „ostrzejszego tonu“ (*Fraktion der schärferen Tonart*). Przyszło więc do trzeciego, najwyższego stopnia, do superlatywu przymiotnika: niemiecki, co ostatecznie przy nowych wyborach znalazło wyraz o tyle, że ludzi „ostrzejszego tonu“ wyszło z urny wyborczéj około czterdziestu, którzy postanowili utworzyć osobny „klub niemiecki“, żądający kodyfikacyi przymierza „austro-niemieckiego,“ związku handlowo-celnego Austro-Węgier z państwem niemieckiem i „wykluczenia“ Galicyi, Bukowiny i Dalmacyi z ustroju Przedlitawii, w celu możności skuteczniejszego przeprowadzenia germanizacyi w Czechach i w krajach słoweńskich. Tym sposobem uczynili oni dotychczasową solidarność i jedność niemieckiéj opozycyi złudzeniem, rozbili jednolitość jéj organizacyi klubowéj, objawiającą się z „zjednoczonéj lewicy,“ i na dobitek pozbawili „osiwiałego w bojach parlamentarnych“ wodza lewicy, dra Herbsta, mandatu poselskiego z dotychczasowego jego okręgu wyborczego: Schluckenau-Tetschen w północnych Czechach, piastowanego bez przerwy przez lat dwadzieścia dwa. Spuściznę mandatu objął po nim dr. Pickert, skrajny narodowiec niemiecki, walczący zapamiętale w redagowanéj przez siebie gazecie *Leitmeritzer Zeitung*“ przeciwko „polityce letniéj wody“ lewicy. Gdyby Wiedeń nie dał się nakłonić do wyboru dra Herbsta byłby tenże pozostał bez mandatu poselskiego, co niezawodnie rzuca bardzo charakterystyczne światło na położenie, wskazując jak dalece zmieniło się ono w przeciągu ostatniego sześciolecia.

Podobnie, ale w odwrotnym kierunku, ma się rzecz także i z prawicą, któréj części składowe uległy również znacznéj zmianie, wynikłéj ze zmiany stanowiska gabinetu.

Opozycya lewicy zaostrzyła się z czasem, wytwórczość polityczna i społeczna prawicy stępiła się widocznie pod wpływem rozluzowania solidarności i wzmagającego się kierunku konserwatywnego, oraz drobnostkowego pojmowania zadań parlamentarnych i pewnéj dysharmonii, jaka się wkradła pomiędzy stronnictwa prawicy a gabinet. Smutnym wynikiem tych zmian była wielka stagnacya w dwóch ostatnich latach. Czas schodził na bezcelowych targach

lub też na uchwalaniu rzeczy, które dążyły kosztem najżywotniejszych kwestyi do wzmocnienia kierunku konserwatywnego a nawet wstecznego, forytowanego przez frakcyę niemieckich klerykalistów, należących pierwotnie do klubu prawego środka czyli klubu Hohenwarta. Dopóki klerykaliści pozostawali w jednéj klubowéj organizacyi z umiarkowanymi niemieckimi konserwatystami, z posłami słoweńskimi, dalmato-kroackimi, rumuńskimi i włoskimi i byli trzymani w karbach w części przez większość klubu, w części zaś przez prezesa klubu hr. Hohenwarta, męża stanu bardzo oględnego i wytrawnego. dopóty machina prawicy funkcyonowała prawidłowo. Ale klerykaliści, prowadzeni przez dwóch książąt Liechtensteinów, Załlingera i dra. Lienbachera, nie zadawalniali się długo bierną rolą statystów, postanawiając przez utworzenie osobnego „klubu środka" wystąpić czynnie na widowni parlamentarnéj. Przy małéj większości, jaką prawica rozporządzała przeciw lewicy, „klub środka" liczący dwadzieścia kilka głosów ważną zaczął rolę odgrywać, mając prawie zawsze rozstrzygnięcie o większości w swych ręku. przez co stał się języczkiem u wagi parlamentarnéj. Stanowisko to swoje ważne przy niezaradności sprzymierzonych klubów, wyzyskiwał na każdym kroku, przeprowadziwszy zamach na nowożytną szkołę ludową w formie tak zwanéj „noweli szkolnéj," a następnie ująwszy w swe ręce wszystkie reformy ekonomiczno-społeczne. Utworzył się istotny co do tego tryumwirat: książe Aloizy Liechtenstein, Zallinger i hr. Belcredi, któremu cała prawica była na skinienie posłuszną w rzekoméj „walce przeciw kapitalizmowi," zakończonéj, jak wiadomo, ograniczeniem wolności zarobkowania, zbyt wysokiemi cłami ochronnemi, normalnym, jedenastogodzinnym dniem pracy i święceniem niedzieli, bez dania robotnikom prawa koalicyi, przez co tymże wyrządzono tylko dotkliwe szkody materyalne, a wreszcie—stanem wyjątkowym. Wybitne stanowisko, jakie powyżéj wymienieni „chrześciańscy reformatorowie" zajęli *de facto* wobec całéj prawicy, nie pozostało i w innym kierunku bez skutków, mianowicie zarówno w kole polskiém, jakoteż w czeskiém zaczęły stanowczą przewagę zyskiwać frakcye konserwatywne. W kole polskiém był prezes jego dr. Grocholski najgorliwszym propagatorem konserwatyzmu, dochodzącego do ostateczności i bezwarunkowéj uległości rządowi. Działalność p. Grocholskiego w sejmie galicyjskim i w austryackiéj radzie państwa znaną jest powszechnie, abyśmy mieli szerzéj nad nią się rozwodzić. Jest on widomą głową konserwatyzmu staro-szlacheckiego z wszelkiemi jego przywarami. Postęp czasu i cywilizacyi znajduje u niego uszy bawełną zatkane. Lekceważy on nawet doniosłość wpływu prasy, do któréj czuje wstręt nieprzyzwyciężony. Całą siłę swą zwra-

ca zachowawczéj działalności; ustrój społeczny w Galicyi, jaki istnieje, jest dla niego ideałem doskonałości, i dlatego sprzeciwia się on energicznie wszystkim innowacyom, ażeby „broń Boże nic nie uronić z spuścizny ojców.“ U takich zachowawców mało bardzo jest zmysłu dystynkcyjnego, skoro nie umieją oni odróżnić dobrego od złego, tego co warte zachowania od tego, co usunąć należy. Za p. Grocholskim stała konserwatywna tak zwana „frakcya podolska,“ która posiadała w kole polskiém 18 zwolenników i szła zawsze ręka w rękę z 10 posłami, należącymi do konserwatywnéj krakowskiéj frakcyi stańczyków. Na ten zastęp 38 posłów mógł p. Grocholski bezwarunkowo liczyć, przez co miał zawsze w kole zapewnioną większość, przeciwko któréj od czasu do czasu występowały osobno raz frakcya tak zwana „środka,“ pod wodzą księcia Jerzego Czartoryskiego, Wojciecha hr. Dzieduszyckiego i Abrahamowicza, i frakcya liberalna, grupująca się około p. Ottona Hausnera. *Suum cuique.* Trzeba również przyznać i p. Grocholskiemu pewne rzadkie zalety, które w wysokim posiada stopniu. Prawości jego charakteru, miłości kraju w historyczném tego słowa znaczeniu, jak nie mniéj wielkiéj zdolności dyplomatycznéj do prowadzenia rokowań, przezorności i roztropności w postępowaniu nie może mu i największy przeciwnik odmówić. Owszem dobre te przymioty są bardzo cenne i pożyteczne dla ogółu u człowieka zajmującego tak wybitne, wpływowe i kierujące stanowisko. Za to w przybocznéj gwardyi p. Grocholskiego nie było ani jednéj osobistości, któraby zasługiwała na miano wybitniejszéj. Do najgorętszych zwolenników prezesa koła należeli obadwaj sekretarze koła: Jasiński i dr. Julian Czerkawski. Ważne stanowisko przypada w udziale ks. Jerzemu Czartoryskiemu, a to nie tylko w kole polskiém, ale w ogóle na prawicy. Mąż ten liberalnych przekonań, autonomista szczery i gorący, przedstawia już od wielu lat kierunek słowiański polityki Polaków, przez co wpływ jego na pobratymczych posłów jest wielki i jego to koło polskie zwykle deleguje do prowadzenia najtrudniejszych rokowań. Obok ks. Czartoryskiego, zaliczającego się do rzędu stanowczych przeciwników konserwatyzmu większości koła, widzimy dzielną postać Ottona Hausner'a, najlepszego mówcę w całym parlamencie, człowieka głębokiéj i wielkiéj nauki, który jednakże w karbach dyscypliny koła i w ogóle prawicy zatraca po części swoją indywidualną wybitność polityczną. Koło polskie nie wystąpiło na początku ubiegłego sześciolecia z żadnym, chociażby zarysowo nakreślonym programem politycznym, i dlatego dawało się stopniowo spychać z drogi swych postulatów, które były prawie wyłącznie ekonomicznéj natury. Koło polskie pomimo swéj, rzec można, bezwarunkowéj uległości dla rządu, nie zdołało z swych

żądań prawie żadnego przeprowadzić, zacząwszy od umorzenia długu galicyjskiego funduszu indemnizacyjnego i decentralizacyi galicyjskich dróg żelaznych państwowych, a skończywszy na sprawie regulacyi rzek galicyjskich. Natomiast poniosła Galicya dość dotkliwe straty materyalne przez opodatkowanie nafty i nowy podatek od wyrobów wódczanych. W praktycznym kierunku wielki wpływ polityczny koła polskiego przyniósł tylko bardzo mały pożytek krajowi i to chyba moralny. Że tak się stało, w tém niezawodnie jest także i sporo winy kierownictwa koła, które w zbytnim zapędzie ministeryalizmu i konserwatyzmu za mało okazywało energii i stanowczości zarówno wobec gabinetu, jako też i wobec swoich sprzymierzeńców, mianowicie niemieckich konserwatystów i klerykalistów.

Koło czeskie cierpiało tak samo bardzo wiele pod wpływem biorącego górę konserwatyzmu, przedstawianego silnie przez obydwóch braci Clam-Martiniców. Chociaż kierownikiem koła czeskiego był dr. Franciszek Władysław Rieger, nie mniéj przeto ulegał on bardzo wpływowi hr. Henryka Clam-Martinica, który wobec gabinetu i wogóle wobec całéj prawicy zajmował bardzo znaczące stanowisko, a to na podstawie swéj wysokiéj pozycyi społecznéj i także z powodu swego wielkiego uzdolnienia i pracowitości, szczególnie w sprawach skarbowych. Przy gorliwéj pomocy Polaków zdołali Czesi wymódz na rządzie utworzenie wszechnicy czeskiéj w Pradze, budowę morawsko-czeskiéj kolei transwersalnéj i zmianę ordynacyi wyborczéj, zapewniającéj im przyrost kilkunastu nowych mandatów poselskich. Koło czeskie było najwierniejszym sprzymierzeńcem koła polskiego i, co zasługuje na szczególne podniesienie, nigdy Polakom nie czyniło żadnych trudności. Wskutku tego wyrobiły się téż i ścisłe stosunki przyjaźni pomiędzy posłami czeskimi a polskimi, co także nie mało przyczyniało się do wzmacniania węzłów przyjaźni partyjnéj. Gorliwym zwolennikiem sojuszu, daleko idącego pomiędzy Polakami a Czechami, okazał się nadewszystko dr. Rieger i pod tym względem doznawał szczerego poparcia ze strony całego koła czeskiego, nie wyjmując postępowéj grupy młodoczeskiéj, któréj widomemi głowami byli dr. Trojan i dr. Edward Gregr, który w krótkim czasie jako jeden z najlepszych mówców całéj izby zdobył sobie ogólne uznanie w całéj prawicy. Dr. Gregr używał swego wpływu w kole czeskiém w celu złamania w niém wpływu konserwatywnego kierunku, przedstawianego przez hrabiów Clam-Martinic'ów, co mu jednakże wcale się nie udało. Owszem, koło czeskie było coraz bardziéj uległém konserwatyzmowi, podobnie jak koło polskie.

Klub Hohenwarta przedstawiał się z samego początku konserwatywnie na zewnątrz. Uosobieniem jego był właśnie jego prezes hr. Hohenwart, znany mąż stanu, któremu poczytać trzeba przedewszystkiém za zasługę, że dopóki niemieccy klerykaliści należeli do jego klubu, umiał utrzymać w karbach ich dążności, czém salwował prawicę przez długi czas od wszelkiego parcia w kierunku zacofania. Klub ten łączył na podstawie programu autonomicznego przedstawicieli rozmaitych narodowości, jako to: Niemców, Słoweńców, Kroatów z Dalmacyi, Rumunów z Bukowiny i Włochów z Wybrzeża. Autonomiści z rozmaitych krajów skupili się około téj osobistości, która na mocy swéj przeszłości politycznéj tworzyła sama przez się program, znany powszechnie jeszcze z czasów, kiedy ten mąż stanu stał na czele gabinetu, w którego skład wchodził znany niemiecki uczony i pisarz społeczny dr. Albert L. Fr. Schäffle. Powaga i wielka roztropność, cechująca każde wystąpienie hr. Hohenwarta, nadawały mu nietylko wielką wziętość pomiędzy stronnictwami prawicy, ale również i u rządu. Chociaż jednak hr. Hohenwart działał więcéj za kulisami, aniżeli na widowni parlamentarnéj i występował zawsze bardzo spokojnie, skromnie, oględnie i umiarkowanie, nie mniéj przeto można go uważać za przewódcę całéj większości ministeryalnéj, tak jak dr. Herbsta za wodza opozycyi. W obozie jego klubu widzimy niemal wszystkie narodowości, z wyjątkiem Polaków i Czechów, i autonomistów wszystkich krajów, z czego wynika, że klub ten sam dla siebie tworzy federacyjną zbiorowość rozmaitych grup i frakcyj. Najsilniejszą jest frakcya posłów słoweńskich z Krainy, południowéj Styryi, Gorycyi i Tryestu, która dąży głównie do odzyskania tego, co jéj dawniejsze rządy w celach germanizacyjnych wzięły, i walczy w szczególności o rozszerzenie zakresu działania języka słoweńskiego w sądownictwie i w administracyi, jako téż o pomnożenie szkół średnich z wykładowym językiem słoweńskim. Wybitniejszych ludzi w téj frakcyi mało. Dr. Vosznjak uchodzi za przewódcę, co jednakże nie zdaje się być uzasadnioném, ponieważ przy nowych wyborach nie otrzymał mandatu poselskiego. Rzecznikiem żądań słoweńskich bywa zwyczajnie ksiądz Kljun, przedstawiciel klerykalnego stronnictwa słoweńskiego, człowiek bardzo małych zdolności, którego mowy są zawsze tylko szablonowemi perorami, skierowanemi rzekomo przeciwko lewicy, a biorącemi właściwie za cel swych pocisków postęp i liberalizm wogóle. Takie wystąpowania, jak owego księdza Kljuna, są pod pewnym względem bardzo charakterystyczne, o tyle przynajmniéj, że konserwatyści prawicy uważają ją zupełnie za swoję wyłączną dziedzinę, czując się powołanymi jako jéj rzecznicy walczyć przeciwko wszelkim

ideom postępowym w imię rzekomo zagrożonego konserwatyzmu, tak jak gdyby tacy mężowie, jak Otton Hausner, dr. Lewakowski, dr. Edward Gregr, dr. Trojan i inni nie byli członkami tejże prawicy. Łatwo zrozumiéć, o ile zniechęcająco, a nawet odstręczająco muszą oddziaływać podobne elukubracye na postępowo myślących członków prawicy, którzy przecież nie dla obrony interesów konserwatywnych wstąpili do organizacyjnego związku prawicy. Kroaci dalmatyńscy tworzą znowu osobną grupę. Stoją oni przy programie ściśle autonomicznym i narodowym. Przewódcą ich jest dr. Klaicz, członek komitetu wykonawczego prawicy. Aczkolwiek frakcya ta składa się tylko z ośmiu przedstawicieli, nie mniéj jednak umiała ona zręczną polityką osiągnąć nie mało korzyści dla swojego kraju, który do niedawna jeszcze pozostawał w więzach supremacyi włoskiéj. Niemieccy posłowie z Tyrolu pod wodzą Greutera przedstawiają frakcyę autonomistów i zarazem skrajnych konserwatystów, różniących się jednak od konserwatywnéj grupy Lienbachera tém, że ta nie jest autonomistyczną, lecz centralistyczną, w czém znowu zbliża się do lewicy.

Dla skreślenia wyczerpującego obrazu sytuacyi musieliśmy rozszerzyć tło jego więcéj, aniżeli było pierwotnie naszym zamiarem. Uczynić to jednakże musieliśmy ze względu, że tylko przy należytém uwzględnieniu ogólnego położenia zrozumiéć można dokładnie doniosłość nowych wyborów i położenia przez nie wytworzonego, w którego ramy wchodzą również i wybory parlamentarne w Galicyi, najgłówniéj nas zajmujące.

Wyniku wyborów galicyjskich nie można żadną miarą nazwać pomyślnym. Chcemy uzasadnić nasze twierdzenie. Już sama liczba nowych członków koła polskiego wykazuje ubytek w porównaniu do poprzedniego koła polskiego, które składało się z 56 posłów, kiedy teraz będzie do koła należyć tylko 54 posłów. Czesi natomiast uzyskali przyrost 11 mandatów i koło ich będzie obejmowało teraz 66 posłów. Ubytek jednak dwóch głosów, chociaż będąc przez lat sześć rządzącém i rządowém stronnictwem, moglibyśmy się raczéj spodziewać słusznie pomnożenia członków koła, a nie jego uszczuplenia, nie znaczyłby wiele, gdybyśmy przynajmniéj co do jakości osób nowowchodzących mieli do zapisania pewien postęp i gdyby ogólny widok galicyjskich wyborów przedstawiał nam pewne polepszenie krajowych stosunków lub przynajmniéj objawy prądów, dających poniekąd rękojmię przyszłéj poprawy istniejącego, opłakania godnego stanu. Tego wszystkiego jednak nie widzimy, owszem przeciwnie, przychodzi nam patrzéć z boleścią na pogarszające się stosunki krajowe, na wzmagającą się demoralizacyę, na wywieranie

despotycznego niemal nacisku pewnych koteryi i osobistości, nie w duchu ogólno-krajowych interesów, ale w celach osobistych, koteryjnych, stronniczych, przy których znowu tylko konserwatywne prądy idą górą i nawet rozciągają swe skrzydła opiekuńcze na miasta: W gminach wiejskich pobrzękują płatni agenci pieniędzmi, wódka płynie strumieniami, marnują się pieniądze na wywoływanie zaciętych walk wyborczych o osobistości nie posiadające prawie żadnego uzdolnienia parlamentarnego, a które całą swoją powagą popiera krajowy centralny komitet wyborczy. Do miast tak samo wkrada się szerzona z góry demoralizacya. Wymieniony komitet centralny, wbrew przeciw obowiązującemu regulaminowi wyraźnie stanowiącemu, że co do kandydatur miejskich nie przysługuje mu najmniejsze prawo interwencyi, narzuca miejskim okręgom wyborczym kandydatury konserwatywne przeciwko ludziom więcéj uzdolnionym dla tego, że ci hołdują postępowym ideom i obiecują wyborcom iść samoistnie, a nie bezwarunkowo ulegle dla rządu, że działalność konserwatywnej większości koła polskiego podciągają pod surową, ale sprawiedliwą krytykę.

Ale dajmy głos faktom, niech one mówią. Zanim jednak przyjdziemy do samego wyniku wyborów w Galicyi, musimy jeszcze poświęcić słów kilka poprzedniemu kołu. Charakterystykę p. Grocholskiego podaliśmy powyżéj, omawiając poszczególne stronnictwa parlamentarne. Większość jego w kole składała się—z wyjątkiem profesora dr. Bilińskiego, dr. Juliana Czerkawskiego i w najlepszym razie jeszcze pp. Jasińskiego i Stadnickiego Jana—z samych statystów, prostych narzędzi do głosowania z których większość nie otworzyła ust przez lat sześć ani jednego razu czy to w izbie, czy w kole, lub w jakiéj komisyi. Z pewnością żaden członek koła polskiego nie będzie mógł się poszczycić, żeby kiedy słyszał publicznie przemawiających: pp. Benoë, Halimkę, hr. Krasickiego Łozińskiego, Oborskiego, hr. Romana Potockiego, Puzynę, hr. Jana Tarnowskiego, Horodyskiego, hr. Tyszkiewicza, Tyszkowskiego, Wolańskiego Mikołaja, hr. Zamojskiego lub Zborowskiego. Prócz Bilińskiego i Juliana Czerkawskiego ani jednéj wybitniejszéj osobistości, same zera polityczne, które jednakże zszeregowane pod „wodzem podolskim“ dzierżą największy wpływ w kraju i wszystko usiłują podporządkować swoim koteryjnym interesom. Z téj większości, t. j. z tak zwanéj prawicy sejmu galicyjskiego, wyszły obadwa galicyjskie komitety centralne, jeden dla zachodniéj części kraju z siedzibą w Krakowie, drugi dla wschodniéj z siedzibą we Lwowie. W pierwszym wodzili rej Popielowie i Tarnowscy, w drugim Grocholscy i Potoccy, cóż przeto dziwnego, że z wyborów wyszli mniéj więcéj sami tacy

statyści parlamentarni, jak ci, których powyżéj wymieniliśmy. Pomijamy wybory z gmin wiejskich we wschodniéj części kraju, przy których antagonizm narodowy spowodowuje często potęgowanie namiętności politycznych, wśród których powiatowe wielkości i powagi łowią jak w mętnéj wodzie swoje specyalne ryby. Żeby się tylko uciekano do moralniejszych środków agitacyjnych. Mówiąc o téj kategoryi wyborów, trudno nie potrącić o kwestyę rusińską. Nie tu miejsce, ażebyśmy się mieli kusić o jéj wyjaśnienie lub téż zasadnicze wypowiadali uwagi. Nam chodzi tylko o zaznaczenie, że komitet centralny lwowski przy sposobności wyborów zaznaczył swoje stanowisko wobec téj sprawy w sposób najfatalniejszy, popierając tak zwanych kandydatów „metropolitalnych", kreatury rządowe, przeciwko wolnomyślnym Rusinom, nie zadawszy sobie nawet pytania, jaki właściwie nasz ogół lub koło polskie będzie miało pożytek z takiéj polityki hermafrodyzmu. Czyż sądził komitet centralny, że przez popieranie wyboru pp. Mandyczewskiego Ozarkiewicza, Siengalewicza i Ochrymowicza, kandydatów ministeryum i metropolity rusińskiego Sembratowicza, załatwił sprawę rusińską? Owszem, zaostrzył ją tylko przeciwstawiając zarówno kandydatom stronnictwa staro-ruskiego, jako téż i ukraińskiego ludzi rządowych, nieposiadających żadnego programu, ani téż najmniejszych sympatyj u swojego ludu. A jakiż inny wyniknął z tego pożytek? Oto chyba ten, że dobrowolnie osłabiono koło polskie bez żadnego celu o dwa głosy, co zawsze stanowi niekorzystny ubytek, a wzmocniono temi dwoma głosami stronnictwo rządowe *par excellence*, które w danym razie może tak dobrze głosować na skinienie ministeryum przeciw kołu polskiemu, jak przeciw lewicy. Wybór metropolitalnych kandydatów uważamy przeto za wielki błąd polityczny i wolelibyśmy stokroć razy, gdyby w ich miejsce przeszli byli wolnomyślni przedstawiciele ludu rusińskiego, kandydaci, jak Romańczuk, Wachnianin, Sieczyński i Sawczak. W zachodniéj części kraju, co do gmin wiejskich, widzimy także smutny obraz. Tu nie są już w grze żadne antagonizmy narodowe, ażeby niemi zasłaniać wybór powiatowych powag, nie posiadających dostatecznego uzdolnienia. Dla czegoż więc narzuca komitet centralny polskiemu ludowi takich kandydatów, nie zaś ludzi zdolnych, miłujących ten lud i pragnących szczerze służyć jego interesom ekonomicznym, dlaczego dąży do systematycznego usuwania od krzeseł poselskich włościan lub ludzi wyszłych z stanu włościańskiego, którzy niezawodnie mają więcéj znajomości stosunków i potrzeb włościańskich, aniżeli np. taki pan Jan hr. Stadnicki, członek rady zawiadowczéj „*Länderbanku*", mieszkający stale w Wiedniu, lub hr. Jan Krasicki, prezydent rady za-

wiadowczéj towarzystwa lwowsko-czerniowieckiéj drogi żelaznéj, również przebywający ciągle po za granicami kraju i z ludem najmniejszéj styczności nie mający. A takich przedstawicieli ludu polskiego moglibyśmy naliczyć więcéj. Czyż piśmienny i język niemiecki znający chłop polski będzie gorszym posłem jak hr. Tyszkiewicz lub hr. Zamojski, jeżeliby nawet, tak samo jak ci panowie przez całe sześciolecie nie dał zupełnie słyszéć swojego głosu? Nam się zdaje, że nie, a byłaby z pewnością ta korzyść, że lud mógłby się naocznie przekonać jak jego interesa są przedstawiane, które, bądź co bądź, co do materyalnéj swéj strony nie zawsze zgadzają się z interesami „obszarów dworskich", która to ostatnia kategorya interesów stała się w Galicyi synonimem „interesów krajowych" tak, jak gdyby masy polskiéj ludności były „antykrajowemi." Jako postęp zaznaczamy przeto wybór włościanina, p. Orzechowskiego, przeciwko kandydatowi komitetu centralnego Janowi hr. Stadnickiemu, jednemu z wybitnych przedstawicieli tak zwanéj „grupy lenderbankowiczów." P. Orzechowski zdaje się trzeźwo zapatrywać na rzeczy, skoro w swéj mowie kandydackiéj wypowiedział między innemi te trafne słowa: „Nie myślę ja, żeby koło polskie było tak ciasném, ażeby tam nie było miejsca dla jednego polskiego chłopa, a dlatego sądzę, że komitet centralny, popierający p. hr. Stadnickiego, nie jest tłómaczem woli koła polskiego. Landerbank nawarzył nam herezyi z koleją transwersalną, a pan hrabia jak słyszę z tym Landerbankiem strasznie pokumiony i poszwagrzony." „Czas" oburzył się na te słowa trzeźwego umysłu a poczciwego serca i nazwał je „obłędem." Wątpimy, czy to odpowiedne wyrażenie się, chociażby p. Orzechowski był jeszcze tak „samozwańczym" kandydatem. Ludzie dobrze myślący w kraju powinni się przedewszystkiém wystrzegać, ażeby nasz lud polski nie uważał polecenia wyboru przez komitety centralny i powiatowy, jako „nakazu wybrania *pana.*" A czas byłby na to ostateczny.

Prawdziwie proroczym duchem natchniony, przepowiedział dr. Karol Lewakowski, człowiek zasad postępowych, w mowie swéj kandydackiéj przed lwowskiemi wyborcami wynik galicyjskich wyborów. Mówił on jak następuje: „Z tych wyborów wyjdzie znowu duch kastowy w zwartym szeregu, mniejsza o to, czy będzie on więcéj krakowskim, lub więcéj podolskim, ale pozostanie zawsze dla społeczeństwa—„obszarem dworskim!" Wszelkie inne przymieszki, przez ten obóz wprowadzone, będą tylko żywioły do pracy w radzie państwa i do celów rządu potrzebne, ale z góry do tego kierunku i téj tendencyi zobowiązane, do bezwarunkowego posłuchu związane.... Ogromna większość koła składa się tylko z jednéj warstwy

naszego społeczeństwa, a reprezentuje całość jego! Zadanie to tém trudniejsze, ile że wkłada na nią obowiązki bronienia interesu wszystkich klas społeczeństwa, obowiązki tém świętsze, skoro własnowolnie przyjęte. Czy znajdzie się, ktoby twierdził, że przedstawiciele większéj posiadłości są u nas, tak jak w innych krajach, w wielkiéj części ludzie wykształceni wysoko, niezawiśli majątkowo, niedbający o fawory możnych sąsiadów i rządu, i chociażby w małéj części ludzie postępowi lub liberalni? Gdyby tak było rzeczywiście, możnaby z otuchą patrzéć na przyszłe wybory, bo to im przyznać trzeba, że są oni w Galicyi częścią naszego społeczeństwa najczyściéj polską i najbardziéj z tradycyą narodową związaną. Z natury rzeczy, stronnictwo zachowawcze, głosili oni podczas ostatnich wyborów (przed laty sześciu), ma zamiar kroczenia drogą zdrowego postępu, tymczasem ich wybrańcy czynili ustępstwa stronnictwu wręcz wstecznemu."

Trafne to są bardzo słowa i najlepiéj charakteryzujące wytworzone w Galicyi położenie. To, co dr. Lewakowski przepowiedział, spełniło się niestety nietylko co do joty, ale owszem stało się w rzeczywistości jeszcze daleko gorzéj, aniżeli wymieniony poseł mógł przewidziéć. Posłuchajmy jeszcze małego ustępu z téj saméj jego mowy. „Pozostają miasta i izby handlowe i w tych jeszcze nie raz zwyciężają wpływy obozu szlacheckiego, z którym zawsze każdy rząd chętniéj się łączy, aniżeli z niezawisłym żywiołem postępowym. Takim tedy jest skład koła. Jeżeli zważycie, że ta większość składa się z rolników a jednak nie zdołała bronić swojego własnego interesu—rolniczego, dowodem czego podwyższony podatek gruntowy, nowy podatek gorzelniany, który zniszczył tę gałąź rolnictwa, przewleczona regulacya rzek, ugoda z koleją północną, z tą martwą ręką ciążącą na handlu i produkcyi galicyjskiéj — to jakżeż od téj większości spodziewać się możemy skutecznéj obrony interesów, które mniéj im są znane, o których potrzebie nie mają oni tak dotkliwego przeświadczenia, jak inne warstwy społeczeństwa?"

Dr. Lewakowski nie przewidział tego atoli, co się przy współdziałaniu komitetów centralnych stało po miastach. Dawniéj na podstawie wyraźnego brzmienia regulaminu pozostawiano przynajmniéj miasta w spokoju. Teraz stało się inaczéj obadwa komitety centralne rozwinęły właśnie po miastach jak najżywszą agitacyą przeciwko wszystkim samoistnym i postępowym kandydatom komitetów wyborczych miejskich. W Stanisławowie przy niesłychanéj presyi rządu i konserwatywnych żywiołów, a jak powiadają, i przy pomocy pieniędzy zwyciężył dr. Biliński postępowego kandydata dr. Mroczkowskiego, w Przemyślu p. Sawczyński dr. Roszkowskiego, w lwow-

skiéj izbie handlowo-przemysłowéj p. Mochnacki redaktora „Nowéj Reformy“ p. Romanowicza, w Tarnowie Zawadzki dr. Rutowskiego a wreszcie w Jarosławiu-Rzeszowie Bartoszewski inżyniera Stwiertnię. Z wyjątkiem jednego Lwowa, gdzie przeszedł obok Smolki dr. Lewakowski i Sambora-Drohobycza, gdzie wybrano Ottona Hausnera, żaden inny galicyjski miejski okręg wyborczy nie wybrał postępowego kandydata, ponieważ pp. dra Euzebiusza Czerkawskiego i Mieczysława Chrzanowskiego w zupełności do obozu postępowego zaliczyć nie możemy. A wszystkich powyżéj wymienionych kandydatów konserwatywnych popierały jak najgorliwiéj komitety centralne, zwracając w szczególności swoję niechęć przeciw dr. Lewakowskiemu, który miał odwagę wypowiedziéć publicznie prawdę i kilku trafnemi uwagami wybornie scharakteryzował całe położenie, wytwarzające się wskutku nowych wyborów w Galicyi, na podstawie dokładnego studyum istniejących stosunków w kole polskiém. Dziwną rolę odegrała w sprawie wyboru postępowego kandydata, dra Lewakowskiego „liberalna“ prasa lwowska, w szczególności „Dziennik Polski“ i „Gazeta Narodowa,“ które własnowolnie przywdziały liberyę pańską i publicznie potępiły słowa prawdy, wypowiedziane przez tego dzielnego posła, jako „herezyę narodową,“ dlatego, że on ważył się targnąć na nieproszone i niepożądane opiekuństwo koteryi nad całym naszym ogółem. Następstwem tego świętego oburzenia organów „liberalnych“ było, że na kilka dni przed wyborem nakłoniły dra Kubalę do postawienia swéj kandydatury i rozpoczęły atak na dra Lewakowskiego, zalecając w miejsce jego wybór pierwszego. Nic to jednak nie pomogło. Lwowscy wyborcy wykazali więcéj zdrowego zmysłu i niezawisłości, aniżeli prasa lwowska, wybierając ogromną większością głosów dra Lewakowskiego, na co „Gazeta Narodowa“, spierająca się jeszcze w przeddzień wyborów z „Dziennikiem Polskim,“ że to jéj zasługą jest podjęcie kandydatury dra Kubali – zachowała wymowne milczenie, a znowu „Dziennik Polski“ robił *bonne mine au mauvais jeu*, podnosząc bombastycznie, że „przecież znalazło się we Lwowie 706 wyborców, którzy przez swe wotum założyli protest przeciwko warcholstwu“ (*sic*!). A trzeba wiedziéć, że dr. Lewakowski w bardzo krótkim czasie swego posłowania wielkie położył zasługi około interesów krajowych, staczając sam jeden walki w kole przeciw odnowieniu przywileju północnéj drogi żelaznéj, którą to sprawę z gorliwością godną lepszéj rzeczy zastępował dr. Biliński, w pismach swych bezwzględny zwolennik upaństwowienia dróg żelaznych; daléj ułatwił swojemi usilnemi staraniami i zabiegami oddanie liwerunków wojskowych spółce galicyjskich rękodzielników, co drzemiący w stagnacyi mały przemysł Galicyi

nie mało odżywi i rozwinie. P. Sawczyński posłował wprawdzie już przedtém w sejmie galicyjskim, ale jeżeli działalność jego w kole polskiém i parlamencie będzie taką, jak mowa jego przedwyborcza w Przemyślu to chyba trudno się nam spodziewać bardzo wielkiego pożytku dla kraju z jego przyszłéj czynności parlamentarnéj. Pan Zawadzki jest prezydentem sądu obwodowego, jest starym urzędnikiem, ale nic więcéj. Nikt nie zna ani jego zasad, ani téż jego działalności publicznéj, bo dotychczas żadnego nie brał udziału w życiu publiczném i aż teraz dopiero, w braku odpowiedniejszego kandydata, powołanym został na krzesło poselskie. P. Biliński, prócz sprawy północnéj drogi żelaznéj, niczém nie zdołał ściągnąć na siebie uwagi kół szerszych. W kole polskiém bywał on rzecznikiem najgorliwszym kierunku ministeryalnego, co dało powód jednemu z pism krajowych do nazwania go „komisarzem rządowym koła polskiego.“ Mówcą jest dobrym, a chociaż przy północnéj drodze żelaznéj bronił złéj sprawy, to przyznać trzeba, że wobec skombinowanych ataków i niedających się zbić argumentów lewicy przeciwko odnowieniu przywileju, okazał dużo przytomności umysłu i taktycznego sprytu, jako téż i krasomówczego talentu, broniąc z dobrym skutkiem sprawy niemiłéj i najniepopularniejszéj, może nawet przeciw swojemu własnemu przekonaniu. Usługi, jakie oddał rządowi w téj sprawie, były szczególnie powodem, że rząd przez swoje organa wybór jego popierał wszelkiemi siłami.—Jak z jednéj strony komitetom centralnym udało się w drodze regulaminem niedozwolonéj presyi na wyborców miejskich zwalczyć kilku postępowych kandydatur, tak znowu okazały te komitety niesłychaną nieudolność i niedołężność, nie mogąc wpływem swoim obalić „antynarodowych“ kandydatur Kallir'a w brodzkiéj izbie handlowo-przemysłowéj, Sochora w miastach Brody-Złoczów i dra Blocha w Kołomyi. Przyznać należy, że lwowski komitet centralny postąpił sobie zupełnie prawidłowo, ogłaszając kandydaturę p. Kallira, który w ubiegłém sześcioleciu należał do lewicy i głosował zawsze przeciw kołu polskiemu, oraz kandydaturę p. Sochora, który na zapytanie, odpowiedział, iż pod żadnym warunkiem do koła polskiego nie wstąpi, jako „antynarodowe“; ale dlaczego to samo uczynił odnośnie do Blocha, który był członkiem koła polskiego i nigdy solidarności z niém nie złamał, zwłaszcza znając dobrze fanatyczne usposobienie kołomyjskich wyborców żydowskich, trudno zrozumiéć, a to tém bardziéj, że przeciwstawił drowi Blochowi dra Byka, który w niczém od pierwszego nie jest lepszym i jeszcze przed kilkoma laty należał do stronnictwa niemiecko-centralistycznego. To ogłoszenie „antynarodowości“ Blocha naraziło tylko komitet centralny lwowski nie potrzebnie na kom-

promitacyą, bo okazało dowodnie jego bezsilność wobec wyborców miast: Kołomyja-Sniatyn-Buczacz. Lepiéj było stokroć razy okazywać mniéj zawziętości wobec polskich postępowych kandydatów, a wytężyć natomiast wszystkie siły przeciwko wyborowi niemieckich aspirantów do mandatu pp. Kallira i Sochora, którzy bądź co bądź, panującym w Galicyi stosunkom zaszczytu nie przynoszą.

Z nowo-wybranych posłów z większéj posiadłości jeden tylko profesor Bobrzyński jest wybitną osobistością, reszta sami ludzie nieznani. Czy będzie z nich jaki pożytek, czy który z młodszych wyrobi się, okaże to niedaleka przyszłość.

Dla lepszego przeglądu i porównania przytaczamy imiennie najprzód tych członków koła polskiego, którzy ponownie nie zostali wybrani. Są nimi: ks. dr. Chełmecki, dr. Julian Czerkawski, ks. Gołda, Hulimka, Kozłowski, hr. Krasicki, Władysław Łoziński, hr. Mieroszowski, Oborski, Puzyna, Spławiński, Jan hr. Stadnicki, Jan hr. Tarnowski, Erazm Wolański, hr. Zamojski, ks. Zapałowicz i Zborowski (zmarli: Horodyski i dr. Rajski). Liberalna frakcya koła polskiego straciła w powyżéj przytoczonym spisie czterech członków, mianowicie: hr. Mieroszowskiego, Spławińskiego, ks. Gołdę i dr. Rajskiego, nie uzyskawszy natomiast ani jednego nowego mandatu. Jako nowo wybrani wejdą do koła polskiego: Bobrzyński, ks. Chotkowski, Władysław Czajkowski, hr. Gołuchowski, Grotowski, hr. Hompesz, Jarosz, hr. Łoś, Lewicki, Mochnacki, ks. Kopyciński, Orzechowski, Popowski, Sawczyński, Tomasz hr. Stadnicki, Szydłowski, Wysocki i Zawadzki, razem ośmnastu posłów, z któréj to liczby dwunastu ma się przyłączyć do stronnictwa środka. Jeżeli ta przepowiednia publicystycznych organów tego stronnictwa miałaby się sprawdzić, o czém jednakże dla pewnych względów można wątpić, to większość konserwatystów podolskich i krakowskich przestałaby w sprawach, w których by stronnictwo środka było popierane ze strony liberalnéj frakcyi, należałaby do przeszłości, ponieważ połączeni środkowcy z liberalistami rozporządzaliby 29 głosami, co przy ogólnéj liczbie 54 członków koła polskiego stanowiłoby większość dwóch głosów. Ale, ażeby do takiego sojuszu przyszło, potrzebaby najprzód, żeby stronnictwo środka, które zresztą posiada w swém gronie mężów postępowych, jak książe Jerzy Czartoryski, poczyniło pewne programowe ustępstwa liberalnéj frakcyi koła polskiego, któréj widomemi głowami są pp. Hausner i Lewakowski, na czém by pierwsze stronnictwo dużo zyskać mogło, ponieważ już zaraz przy konstytuowaniu się nowego koła polskiego mógłby książe Czartoryski zastąpić p. Grocholskiego, który pominąwszy już jego skrajny konserwatyzm i bezwarunkową uległość rządowi, jest za starym i zanadto na zdrowiu

skołatanym, ażeby mógł w przyszłości kierować sprężyście kołem i przedstawiać jego interesa na zewnątrz wobec sprzymierzonych stronnictw i gabinetu. Słyszeliśmy już nawet o takiéj kombinacyi z tym dodatkiem, że p. Smarzewski, człowiek liberalnych zasad i zasłużony weteran parlamentarny, może jeden z najzdolniejszych posłów polskich, zostałby jego zastępcą w miejsce p. Jaworskiego, którego uzdolnienie, chociaż słynie jako zawodowiec kolejowy, nie kwalifikuje go na wybitniejsze stanowisko, szczególnie ze względu, że jako wice-prezes koła, jest zarazem członkiem wykonawczym prawicy.

Mając przed oczyma wynik nowych wyborów w Galicyi przedstawiony powyżéj w pobieżnym zarysie, dodać należy, że tym razem rząd wywierał z swéj strony bezprzykładny dotychczas wpływ w gminach wszystkich i miastach na korzyść kandydatów jemu uległych. Jeden z najlepiéj poinformowanych korespondentów galicyjskich do „Kraju“, zdając sprawę z przebiegu tamtejszych wyborów, tak się o stanowisku rządu wyraża: „Odkąd mamy konstytucyą, pierwszy raz dopiéro rząd tak namiętnie agitował za swymi kandydatami. Dawniéj prowadził agitacyę skrycie; przeciwnie działo się teraz. Czy takie postępowanie jest odpowiedne, nie będę się nad tém rozwodził.“ Do tych słów dodamy z naszéj strony, iż pod tym względem rząd nie zawsze działał w porozumieniu z galicyjskiemi komitetami centralnemi, a zatém i z kołem polskiém, ponieważ zdarzył się wypadek, gdzie popierał nawet „antynarodowego“ kandydata, mianowicie dra Blocha w Kołomyi. Drobny ten fakt rzuca charakterystyczne światło na stanowisko gabinetu, który, jak się zdaje, ma zamiar w przyszłości jeszcze więcéj oddalić się od prawicy i jeszcze większy położyć nacisk na swoją nieparlamentarność, pomimo, że minister skarbu dr. Dunajewski pod koniec sesyi oświadczył publicznie w izbie w imieniu całego gabinetu, że rząd nie ma zamiaru tworzenia ministeryalnego „stronnictwa środka“, ale chce w przyszłości lojalnie opierać się na prawicy. Popieranie kandydatury „antynarodowéj“ dra Blocha, wytworzenie na koszt koła polskiego frakcyi ministeryalnych Rusinów i wogóle zachowanie się rządu przy wyborach w innych krajach koronnych, nie pozwalają przyjmować powyżéj przytoczonych słów ministra inaczéj, jak tylko za podyktowane chwilowemi względami taktycznemi. Owszem, z całego położenia obecnego wynika, że utworzenie wspomnianego stronnictwa ministeryalnego jest bardzo bliskiém urzeczywistnienia. Jądrem jego będzie „klub liberalnego środka“, zwany „klubem Coroniniego“, który już przy końcu ubiegłego sześciolecia odgrywał rolę ministeryalnego zbawcy, szczególnie w kłopotliwém położeniu

rządu. W sprawie północnéj drogi żelaznéj rozstrzygnął hr. Coronini z swojemi, którzy też i z nowych wyborów wyszli mniéj więcéj w téj saméj liczbie. Jednakże klub ten może doznać jeszcze znacznego wzmocnienia ze strony konserwatywnego skrzydła lewicy, pod wodzą pp. Chlumetzky'ego i br. Scharschmidta, które to skrzydło lewicy oświadczyło waraźnie na konferencyi posłów niemiecko-opozycyjnych, odbytéj po przeprowadzeniu nowych wyborów parlamentarnych, przez swego rzecznika br. Scharschmidta, że jeżeliby liberaliści niemieccy ulegli presyi niemieckich narodowców i zamienili nazwę „zjednoczonéj lewicy“ na „klub niemiecki“, jak się tego bezwarunkowo frakcya Weitlof-Knotz-Pickert domaga, to ono wystąpi z związku lewicy i oczywiście nakieruje swoją nawę na wody ministeryalne, dobijając do przystani — hr. Coroniniego. Ponieważ koło polskie, koło czeskie i klub Hohenwarta liczą razem 160 głosów, co znaczy, że przy ogólnéj liczbie posłów 353, brakuje im do absolutnéj większości 17 głosów niemieckich klerykalistów, którzy są bardzo niepewni i kto wié, czy nawet zechcą należéć teraz do związkowéj organizacyi prawicy, to z tego położenia układa się ewentualność, iż tym razem rząd będzie pośrednio, to jest za pomocą swojego „stronnictwa środkowego“ owym języczkiem u wagi parlamentarnéj i dzierżył losy wszelkich uchwał w swoich ręku. Z tego względu pogorszyło się też położenie, gdyż rozumie się samo przez się, że rząd ubezwładnionéj prawicy jeszcze mniéj będzie folgował, aniżeli prawicy posiadającéj większość w przeszłém sześcioleciu. Jednakże mimo tego i rząd bez prawicy większości miéć nie może, z czego wynika, że zawisłość będzie obopólną: prawicy od rządu a rządu od prawicy.

Bilans nowych wyborów przedstawia się po dokładném obliczeniu jak następuje: koło czeskie 66, koło polskie 54, klub Hohenwarta 40, ministeryalnych Rusinów 4, ministrów posłów 6, a doliczywszy do prawicy jeszcze 17 niemieckich klerykalistów, 4 niemieckich konserwatystów odcienia dra Lienbachera i jednego przedstawiciela tak zwanego „niemiecko-czeskiego stronnictwa gospodarczego (*deutsch-böhmische Wirthsschaftspartei)*, otrzymamy 191 głosów przeciw 137 głosom opozycyi niemieckiéj, reprezentowanéj dotychczas przez zjednoczoną lewicę. Środkowe stanowisko zajmie 35 posłów, pomiędzy temi grupa narodowo-niemieckich antysemitów pod wodzą Schönerera licząca 4 głosy. grupa wiedeńskich demokratów z dr. Kronawetterem na czele, przedstawiająca siłę 3 członków, „klub Coroniniego“, składający się z 17 posłów i 9 dzikich.

Liczby przytoczone przez nas uzupełniają rysunek obrazu położenia. Widzimy przedewszystkiém, że na widownią wystąpiły

także nowe zawiązki stronnictw, które w rozwiązanéj izbie albo były liczebnie bardzo nieznacznie lub też wcale nie zastąpionemi. Najprzód lewica uległa znacznym modyfikacyom. Pominąwszy stratę 21 mandatów, zarysowały się w jéj łonie dwa odcienie, mianowicie stronnictwo narodowo-niemieckie i odcień konserwatywny, zowiący siebie „austryacko-niemieckiém stronnictwem państwowém (*deutsch-österreichische Staatspartei*)“, którego wybitnemi przedstawicielami są Chlumetzky, Scharschmidt i dr. Tomaszczuk, a które z narodowcami niemieckimi pod żadnym warunkiem nie wytrzyma pod jednym dachem klubowym. Głos lewicy musi przeto nakierować się albo na prawo ku frakcyi Chlumetzky'ego, lub też na lewo ku frakcyi Weitloffa-Pickerta, a w pierwszym razie odłączy się od lewicy „klub niemiecki“, w drugim zaś prawe jéj skrzydło. Ale może przyjść jeszcze do fatalniejszéj ewentualności, że lewicy mogą odpaść obadwa skrzydła, prawe i lewe. Stronnictwo bowiem narodowo-niemieckie dąży bezwarunkowo do utworzenia osobnego klubu, co rozmaite stowarzyszenia i korporacye wyrażają nie dwuznacznie w rezolucyach swoich, a znowu „austryacko-niemieckie stronnictwo państwowe“ zaczyna z swéj strony piętnować opozycyjną politykę Herbsta Plenera-Koppa jako „jałową“ i nie prowadzącą do celu, co także niedwuznacznie wskazuje, że to stronnictwo chętnie zbliżyłoby się po złotym moście do gabinetu hr. Taaffego.

Grupa wiedeńskich demokratów, która od trzech lat była zniknęła zupełnie z widowni politycznéj, staje się teraz nowym czynnikiem parlamentarnym, który o tyle więcéj ma doniosłości, że kolebka jego stoi na wiedeńskich przedmieściach i że on jest spadkobiercą mandatów niemiecko-liberalnych, jako też jeszcze i ta okoliczność, że grupą tą będzie kierował mąż wielkiéj nauki i uzdolnienia, jak dr. Kronawetter, którego lewica okropnie nienawidzi z powodu, że on należąc dawniéj do parlamentu, zwalczał ją jako „koteryę kapitalizmu i wyzysku“, ze stanowiska demokratycznego. Dra Kronawetter'a dewizą jest: „wszystko dla ludu i wszystko tylko przez lud,“ a téj dewizie pozostaje on zawsze wiernym i dąży też bezwzględnie do jéj urzeczywistnienia. Przytém celuje poseł ten niezwyczajnym darem wymowy. Frakcya narodowo-niemiecka antysemitów odcienia Schönerera istniała i w rozwiązanéj izbie. Obecnie tylko zwiększyła się jéj liczba w dwójnasób. Program téj grupy jest bardzo niejasny i zawiły. Pod względem narodowym idzie ona najskrajniéj, bo żąda wręcz — rzecznik jéj Schönerer wypowiedział to publicznie na posiedzeniu w izbie — przyłączenia krajów niemieckich Austryi do państwa niemieckiego, daléj dąży ona do „oczyszczenia niemczyzny od żydowszczyzny“, popadając przytém w skraj-

ność antysemityzmu. Zresztą identyfikuje się ona z stronnictwem demokratycznem, walcząc przeciwko wyzyskowi kapitalizmu, za rozszerzeniem praw politycznych i poprawieniem losu pracującego ludu w drodze reform polityczno-społecznych. Co do ustawodawstwa przemysłowego, jest ona z powodu „konkurencyi żydowskiéj" za ograniczeniem jaknajwiększém wolności zarobkowania, w czém się styka z niemieckimi klerykalistami i do tego wszystkiego płonie ona ogromną nienawiścią do lewicy, przeciwko któréj zawsze i wszędzie walczy.

Grupa niemieckich konserwatystów pod wodzą dra Lienbachera, jest nawskróś tak samo wsteczną, jak frakcya książąt Liechtensteinów, ale różni się od téj dążnościami centralistycznemi i podnoszeniem swéj niemczyzny w przeciwstawieniu jéj przeciwko „uroszczeniom słowiańskim." Swojego czasu głosował dr. Lienbacher z swojemi zwolennikami za kodyfikacyą języka niemieckiego, jako państwowego w Austryi.

Jeżeli przeto doliczymy do wymienionych powyżéj sześciu stronnictw i frakcyi niemieckich jak niemieckich autonomistów konserwatywnych z klubu Hohenwarta, niemieckich klerykalistów frakcyi Liechtensteina, daléj niemieckich liberalistów umiarkowanych z klubu Coroniniego, luzem idących dotychczas partyzantów „stronnictwa środka", przedstawicieli „czesko-niemieckiego stronnictwa gospodarczego" i „chrześciańsko-konserwatywnego socyalizmu" (Zallinger), to otrzymamy sumę dwunastu niemieckich stronnictw, frakcyi i grup posiadających swój odrębny program polityczny, społeczny i ekonomiczny. Dodać winniśmy, że pomimo takiéj mnogości najrozmaitszych partyjnych odcieni, istnieją jeszcze i niemieccy „dzicy."

Klub Hohenwarta nie uległ prawie żadnéj zmianie. W klubie czeskim wzięły, podobnie jak w kole polskiém, konserwatywne prądy górę, na czém przedstawicielstwo młodo-czechów ucierpiało. Nie wybrano ponownie znanego młodo-czeskiego posła Tilszera, który w sprawach postępu zachowywał sobie wolną rękę działania i nie dawał się krępować dyscypliną klubową.

A teraz zakończymy rzecz naszą pytaniem: czy po nowych wyborach zmieniła się sytuacya parlamentarna na korzyść prawicy? Sądzimy, że nie, a zresztą niechaj czytelnik sam o tém wyciągnie wnioski na podstawie materyału przez nas zestawionego.

G. Smólski.

ZARYSY
RUCHU LITERACKIEGO RUSINÓW.

X.

W roku 1847, kiedy Szewczenko, Kostomarow i kilku innych zostali wysłani na wygnanie, ruch literacki na Małorusi ustał na czas jakiś; w r. 1848 Metliński profesor uniw. charkowskiego wydał tylko niedużą książkę „Jużnyj ruskij sbornik“ z poezyami własnemi a także Makarowskiego, Aleksandrowa i Petrenka. Ten ostatni, niepospolicie utalentowany, pisał tak pięknym językiem i tak obrazowo, że jeden nawet z jego urywków poetycznych dostał się w r. 1876 do zbioru poezyi Szewczenki. Wydawnictwo Metlińskiego nie poruszyło jednak nikogo: w r. 1849 wydrukowano tylko jednę książkę „Propowidi“ księdza Hreczulewicza, w roku następnym żadnéj, w 1851 znowu tylko jedną, czysto etnograficzną, „Małoruskija i halickija zahadki“ Sementowskiego w Kijowie. W r. 1852 Metliński, wówczas profesor Uniwersytetu kijowskiego, rozmiłowany w języku ojczystym, spróbował znowu wydać tomik bajek Lwa Borowikowskiego, chcąc pobudzić innych do pracy; jakoż teraz powiodło mu się lepiéj, w roku następnym wydano w Kijowie bajki Maziukiewicza, a jednocześnie w Czerniehowie w „Guberskich wiedomostiach“ zaczął drukować prześliczne bajki ukraińskie Leonid Hlebow. W r. 1856, po powrocie do Petersburga wygnanych autorów, nastaje nowe ożywienie w literaturze ukraińskiéj; Kulisz wydaje dwa tomy „Zapisek o Jużnoj Rusi“ i „Narodni opowidannia Marka Wowczka“ (pseudonim Maryi Markiewiczowéj), w 1858 pojawiają się dwa tomy powieści Kwitki, w 1859 wydrukowano tomów 11, między któremi „Czorna Rada,“ powieść historyczna Kulisza, wreszcie Pismo zbiorowe literackie Mordowcowa, wydane w Saratowie. W ciągu roku następ-

nego wydano książek 26, z nich ważniejsze: „Kobzar“ Szewczenki, almanach Kulisza „Chata“ i Zakrewskiego „Staroswitskyj Banduryst.“ W r. 1860 zaczęto wydawać w Petersburgu miesięcznik „Osnowa“ pod redakcyą Białozierskiego, a w Czerniehowie Hlebow rozpoczął wydawnictwo tygodnika „Czernihowskyj listok.“

Rozpoczynający się na nowo ruch w wydawnictwie, podtrzymany z początku przez dawniejszych pisarzy, wprędce wywołał nowe siły. Zajęli się literaturą: Aleksandrowicz, Witawski (autor bajek), Żytecki, Kużmenko, Konisski, pani Kulisz, Łazarewski, Kulik, Moraczewski, Nos, Ohiewski, Stecenko, Tawołga, Simonow, Swidnicki, Szyszacki, Czubinski i inni. Nie długo jednak trwał ten rozkwit piśmiennictwa ukraińskiego. Gazeta żydowska „Sion“ rozpoczęła polemikę z „Osnową“ z powodu użycia wyrazu „*Żyd*,“ polemika przeszła prędko w zarzuty propagandy separatyzmu politycznego, maniaki w Moskwie i Kijowie podchwycili ten zarzut, zaczęli dodawać od siebie coraz to nowe insynuacye, posypały się denuncyacye na autorów.

Wydawnictwo „Osnowy“ ustało w r. 1862, a w następnym roku zamilkł i „Czernihowskyj Listok,“—kilku młodych pisarzy, jak niezrównany w swych opowiadaniach doktór Nos, poeta Konisski, etnograf Czubiński i Szymanow musieli wyjechać z ziemi rodzinnéj. Między władzami naczelnemi poczęła się korespondencya co do dalszych losów literatury ukraińskiéj, mianowicie zaś co do rodzącego się zaledwie piśmiennictwa popularno-naukowego dla ludu. Ministeryum spraw wewnętrznych uskarżało się na niezmierną mnogość rękopismów ukraińskich oddawanych do cenzury, które cenzorów obarczały robotą do tego stopnia, że nie mogli się zajmować czem inném; uważano, że tłómaczenie Ewangelii na język małoruski zgoła wcale nie potrzebne, że używanie w szkołach elementarnych języka ludowego jest rzeczą zbyteczną. Jakiś czas ciągnęła się dyskusya o tych kwestyach, zakończona tém, że ostatecznie dozwolono drukować po małorusku tylko utwory beletrystyczne (1).

Ożywienie ruchu literackiego ukraińskiego przypada na lata 1856—1863, na czas właśnie, kiedy w początkach panowania cesarza Aleksandra II wszystkie umysły były zaprzątnięte wielką sprawą zniesienia poddaństwa; idea ta góruje więc we wszystkich utworach literackich owego czasu, a obok tego ciągłe nawoływanie do oświecania ludu, do starań około podniesienia go zarówno materyalnie jak moralnie i umysłowo. Wskazywano, że klasy oświecone zupełnie nie

(1) Poezya Słowian, 1871, str. 163; Istorycz. Wistnyk 1881 r.; Russkaja Starina 1881, zesz. 2; gazeta „Diło“ 1885, N. 21, 22.

znają życia ludu prostego, ani jego potrzeb, ani zapatrywania się na świat, że zatém obowiązkiem ich jest poznać ten lud i badać jego życie wszechstronnie.

Literatura ukraińska od czasów Kotlarewskiego szła ciągle w kierunku ludowo-demokratycznym i zawsze dbała o interesa ludu. Krytycy w Moskwie i Petersburgu długo jakoś nie mogli czy nie umieli zrozumiéć i ocenić tych dążności; dopiero po roku 1856, kiedy lepiéj się zapoznali z poezyami Szewczenki i powieściami pani Markiewiczowéj (Marko-Wowczok) zaczęli pojmować prawdziwe znaczenie prac literackich małoruskich.

„Opowidannia“ Marka-Wowczka przyjęto bardzo sympatycznie w całéj Rosyi, w swoim czasie były one popularne, autora porównywano wtedy z panią Bitcher-Stow. Rzeczywiście, krótkie pełne artyzmu opowiadania Markiewiczowéj ze ścisłością etnograficzną malowały smętne życie ówczesnych „negrów“ rosyjskich. Opowiadań tych mamy dwa nieduże tomy, urwały się one jednocześnie z zamknięciem „Osnowy.“ Obok prześlicznego języka i niepospolitej świeżości kolorytu, jaśnieje w nich myśl przyznania poddanym praw ludzkich. Pani Markiewiczowa próbowała pisać i dłuższe powieści jak „Institutka“ i „Tri doli“, ale próba nie powiodła się, szczególnie „Tri doli“ więcéj mają podobieństwa do melodramatu francuskiego z XVIII wieku, aniżeli do powieści z życia ludu ukraińskiego.

Do cyklu pisarzy ówczesnych należą: zmarły niedawno w Jalcie poeta dr. Rudanski, tłómacz „Demona“ Lermontowa i „Iliady;“ w obu tłómaczeniach mistrzowsko włada on językiem ukraińskim i umie wykazać jego bogactwo i siłę;—daléj, żyjący jeszcze powieściopisarz Daniło Mordowcow. Ten rozpoczął zawód literacki poematem pięknym, ale niestety niedokończonym, „Kozaki u mori,“ drukowanym w roku 1859 w „Saratowskim Sborniku,“ potém wydrukował w „Osnowie“ dwie powieści „Sołdatka“ i „Dzwonar,“ a w roku bieżącym wydał w Petersburgu zbiór swoich powieści, do którego weszły dwa nowe szkice „Son-nie-son“ i „I z ust młâdeńcow.“ Te ostatnie to niby jęk duszy czystéj nad boleściami swego czasu i otoczenia. Autor zdaje się śmiać, opowiadania swe zaprawia niby humorem ukraińskim świeżym, zdrowym i nader miłym, ale wśród śmiechu humorysty widać spływające z oczu starca na siwą brodę palące łzy boleści.

W tychże czasach dał się poznać jako pisarz Aleksander Storożenko, urodzony 1805, zmarły w Brześciu Litewskim 1874. Niepospolitego talentu, którym go obdarzyła natura, nie wykształciło ani wychowanie domowe, ani pobyt w stołecznym zakładzie naukowo-wojskowym; nie pojmował on idei współczesnych i dlą tego żadnych

nowych pierwiastków nie wniósł do literatury. Całe życie spędził na służbie rządowéj, a przesiadując długo na Podolu, poznał bliżéj lud tameczny, wsłuchiwał się w jego mowę i powieści o czasach dawnych; w opowiadaniach swoich trzymał się on dziedziny historyi i etnografii, a nie poczuwając się na siłach do propagowania pojęć liberalnych i myśli postępowych, ograniczał się na obrazowaniu życia. Powieści jego czytają się z przyjemnością, lepsze pomiędzy niemi „Kindrat Bubnenko Szwydkij,“ „Roskazy Zaporożca Korża,“ „Wusy“ i „Hołka.“ Potém pisywał do „Wiestnika“ Howorskiego już nie w małoruskim języku: te jego utwory krytycy nie wysoko cenią. Po jego śmierci, wydrukowano 1879 r. w Odessie romans po małorusku, pozostały w rękopiśmie i niedokończony przez autora, „Marko-Prollatyj,“ osnuty na przysłowiu „towczetsia nacze Marko po pekłu“; ale romans ten niczem szczególném się nie odznacza.

XI.

Kiedy nad Dnieprem ustawał ruch literacki ukraiński, nastały dlań w r. 1848 czasy pomyślniejsze w monarchii Austryackiéj, któréj rząd wtedy właśnie powoływał swoich Rusinów do życia politycznego, społecznego i literackiego. Wtedy to powstała we Lwowie ruska „Matycia“, założono pismo polityczno-literackie „Zoria Hałycka,“ ksiądz Jakób Hołowacki powołany został na katedrę literatury rusko-ukraińskiéj w uniwersytecie lwowskim a Rusini zawiązali swój klub oddzielny „Ruska rada.“ Wszystkie te fakta głośno i wyraźnie stwierdzały narodową samoistność Rusinów. W pierwszych swych lekcyach w r. 1849 prof. Hołowacki mówił: „Jużno-ruśka narodnist' tak bohata na piśni, szczo wpliwała i na polsku mowu i na rossijsku poeziju i na rossijskich pisateliw powistej.“ Wskazując i dowodząc odrębności języka rusko-ukraińskiego od polskiego i wielkorosyjskiego, Hołowacki wzywał słuchaczy do pracowania nad językiem własnym i mówił: „Jaką piękną wielkością okaże się nasza literatura, kiedy wystąpi sama z swojemi talentami rodzimemi, w swym ojczystym, żywym, języku ludowym.“ Wzory tego języka wskazywał on i u Kotlarewskiego, Kwitki, Hrebenki, Kostomarowa i innych pisarzy z Ukrainy (1).

Na nieszczęście, w czasach tych aż do r. 1861 nie zjawił się pomiędzy Rusinami w Galicyi ani jeden pisarz utalentowany, nie znalazło się tam wyższych zdolności poetyckich, ani szerszych poglądów, ani jasnego zrozumienia zadań literatury rusko-ukraińskiéj.—Mar-

---

(1) Ruskaja Biblioteka III. str. 329—352.

kijan Szaszkiewicz zmarł w r. 1843 a z jego śmiercią Rusini ponieśli ciężką stratę. Wtedy to wystąpili jako poeci Jakób Hołowacki, Antoni Mohylnicki, późniéj Diedicki, Lisekewicz i inni, ale ich pisma nie miały wpływu; jako poeci byli oni zupełnie nieudolni, brakło im fantazyi a nawet żywszéj wyobraźni. Wiersze ich podobne były do drapiącego ucho głosu rozbitego kotła miedzianego, do czego w znacznéj części przyczyniała się i forma zewnętrzna, mianowicie język jakim „wykładali“ swoją „poezyą.“ Większość tych pisarzy nie znała dokładnie ani języka ludowego, ani téż wzorowych utworów literatury ojczystéj, a wykształceniem nie sięgała po nad zastarzałe poglądy scholastyczne, wedle których, język książkowy powinien być różnym od żywego języka używanego w rozmowie; pisali więc jakąś niemożebną mięszaniną języka rusińskiego z cerkiewnosłowiańskim. Wkrótce potém rusin historyk Denis Zubricki zaznajomił się z panslawistami z Moskwy, z Pogodinem i wielu innymi. Zubrickiego i Iwana Hołowackiego, brata Jakóba, panslawiści nawrócili na swoje idee o jedności narodu i języka wielkorosyjskiego z halickim, i doradzali dążenie do przyswojenia sobie literackiego języka rosyjskiego. Rady te zapewne nie sięgały tak daleko, żeby rusini mieli zaraz chwytać się języka rosyjskiego; zapewne pisarze rusińscy musieliby pierwéj sami *nauczyć się* tego języka, o którym nie mieli zgoła pojęcia. Ale w pierwszym popędzie nie dobrze zrozumiano rady panslawistów i zaczęto *uszlachetniać* język ludowy, czyli pisać tak dziwacznie, że najzacieklejsi panslawiści z oburzeniem tylko mogli to czytać. Wzorem tego dziwactwa językowego tego lingwistycznego „nihilizmu“ pozostaną nazawsze „Buj-Tur“ Bohdana Diedickiego i „Śpiwak s Poliesja“ Mikołaja Lisekiewicza, a z późniejszych—pisma Benedykta Płoszczańskiego. Diedicki znał dobrze język ludowy, a jako uczeń Kollara, musiał pojmować całe znaczenie starań około przechowania jego czystości, ale zarazem „cenił“ téż wysoko ideę Zubrickiego o „uszlachetnieniu“ języka, i myśli panslawistów o jego „jedności“; dlatego występował nieraz w charakterze dwoistym, coś niby nakształt małego Kulisza galicyjskiego. W r. 1861, kiedy w Austryi zaświtała era konstytucyjna, Diedicki założył dziennik polityczny „Słowo,“ a w r. 1862 wspólnie z Jakóbem Hołowackim pismo „Haliczanin“, które istniało dwa lata: oba dzienniki pisane były językiem wcale niezłym i oba gorąco broniły samoistności Rusinów narodowéj i piśmienniczéj.

Wtedy już młodzi pisarze rusińscy, nie sympatyzujący z kierunkiem i nie lubiący języka „Słowa“, założyli pod redakcyą Fedora Zarewicza tygodnik literacki „Weczernyci.“ W r. 1864 dążności Diedickiego, przyjazne panslawizmowi, przyjmują w „Słowie“ odcień

coraz wyraźniejszy, a młodsze pokolenie występuje tymczasem z miesięcznikiem literacko-politycznym „Meta“, który po dwóch latach zastąpiła „Rusałka“. W r. 1867 pośród Rusinów zarysowują się wyraźnie dwa stronnictwa, dwie dążności, partya „starych“ albo „świętojurców“, albo „twerdych“, trzyma się daléj „Słowa“ i jego kierunku“, partya „narodowa“ albo „młodych“ wydaje pismo „Prawda“, które istniało do r. 1880, wtedy zaś jego miejsce zajęło „Diło“, wychodzące dotychczas, oraz pismo naukowo-literackie „Zoria.“

W r. 1867 główny chociaż nieurzędowy kierownik „Słowa“ Jakób Hołowacki pojechał do Moskwy na wystawę etnograficzną, w widokach osobistych pozostał on w Rosyi, zrzekł się stanu duchownego i zajął urząd prezesa komisyi archeologicznéj w Wilnie. Nie możemy tu pisać o pracach naukowych Hołowackiego na polu archeologii i historyi, wspomnimy tylko, że wydał potém zbiór pieśni ludowych, spisanych w Galicyi. Diedicki nie miał zasług naukowych Hołowackago, ale przykład jego tak nań podziałał, że wyrzekł się dawniejszych swych pojęć o samoistności języka rusinów i wydał broszurę, w któréj rozwijał myśl o jedności narodowéj i językowéj na całéj przestrzeni od Karpat do Kamczatki, twierdząc, że każdy z Rusinów galicyjskich „może w ciągu jednéj godziny nauczyć się języka, którym mówią w Wielkorosyi.“ Sam autor jednak własnym przykładem tego nie dowiódł, bo „studyując“ całe lata literacki język rosyjski, nie mógł jednak używać go poprawnie, lub chociażby gramatycznie.

Śmiała „idea“ Diedickiego wywołała silne wrażenie zarówno wśród Rusinów jak i wśród Polaków; po niejakim czasie wyjechał on ze Lwowa i osiadł na wsi, w majątku swoim w okolicach Żółkwi, „Słowo“ zaś oddał Benedyktowi Płoszczańskiemu, który redaguje je dotychczas jako organ partyi „twardych“, przeprowadzający „ideę odrodzenia“, i „jedności języka.“

Gazeta Markowa „Nowyj Prołom“ z charakteru podobna do „Słowa,“ Sympatyzuje z obu temi gazetami pismo „Nauka“, założone w r. 1872 i wydawane dotychczas przez Jana Naumowicza. Człowiek to daleko zdolniejszy i lepiéj wykształcony, włada dobrze językiem ludowym, i dopóki nie mieszał polityki do swych prac pedagogicznych, przynosił swemi wydawnictwami niemały pożytek. W ostatnich czasach wplątano go w polityczne sieci, co go naraził ona proces, więzienie i dalsze nieprzyjemności; zręczni ludzie wciągnęli go nawet w interesa finansowe, i korzystając z jego popularności, za jego pośrednictwem starali się ratować bliski bankructwa bank rusiński lwowski. Misya ta podobno mu się powiodła, ale zwichnęła ona bodaj zupełnie literacką jego działalność.

Wspomnieć tu jeszcze musimy o gazecie „Karpat“, wydawanéj przez braci Holiczkowych w Ungwarze, w dwóch językach, po węgiersku i jakoby po rusińsku. Ale przyszły jaki filolog długo się namęczy nim się domyśli, że język „Karpatu“ był kiedyś uważany za ukraiński. Wogólności powiedziéć można, że do spolszczenia Rusinów w Galicyi a zmadziaryzowania ich na Węgrzech, nikt się tak skutecznie nie przyczynia, jak „Słowo“, „Nowyj Prołom“ i „Karpat.“

XII.

Partya „młodych“ czyli *narodowych* pisarzy rusińskich, wzięła za hasło swéj działalności: „Ruś dla Rusi“; na sztandarze swym zapisała: „praca dla ludu, oświata narodowa, rozwój literatury i nauki w języku narodowym.“ Nie odstępuje téż swego sztandaru ani zawodzi wygłoszonego hasła, około którego skupili się poeci i powieściopisarze, jak zmarli niedawno Włodzimierz Barwiński i Włodzimierz Nawrocki, oraz żyjący Jerzy Fedkowicz, Aleksander Konisski, Jan Lewicki, Izydor Worobkewicz i Jan Franko; daléj uczeni i publicyści, nieżyjący już dzisiaj Onyszkewicz, Zakliński i Żelechowski i pracujący dotychczas Aleksander i Emilian Ogonowscy, Stefan Kaczała, Aleksander Barwiński, Izydor Szaraniewicz, Bazyli Ilnicki, Partycki, Jachno i Horbaczewski.

Dla dopięcia swych celów, stronnictwo *młodych* zawiązało w roku 1868 stowarzyszenie „Proswita“, w r. 1873 „Towarystwo imeni Szewczenka“, w 1884 w Stanisławowie „Towarystwo ruśkich żenszczyn“; pod ich wpływem studenci Rusini we Lwowie urządzili „Akademiczne bratswo“, w celach oświecania się i pracy literackiéj, nakoniec w celach pedagogicznych zawiązano „Ruśke Pedahohiczne Towarystwo.“ Partya *narodowa*, niezmordowaną pracą swoją, podtrzymywaną gorącym patryotyzmem, stworzyła w Galicyi literaturę rusko-ukraińską i szkołę narodową, pomimo braku środków materyalnych i pomimo przeszkód, jakie często spotyka w swéj czynności ze strony Polaków, szczególnie tych, którzy grzeszą szowinizmem i nie chcą, zdaje się, pojmować, jak dużo mają Polacy z Rusinami interesów wspólnych, wzajemnie się mogących wspierać. Podejrzliwość ze strony rządu w ostatnich czasach natchnęła prokuratoryę lwowską szczególnym zapałem do częstego konfiskowania dzienników partyi narodowéj. Nadto, nie uporządkowano dotąd sprawy języka wykładowego w szkołach, w skutek czego Rusini nie mogą wpełni używać prawa, jakie im konstytucya zapewnia, spory ustawiczne w radach szkolnych, o używanie tego lub owego języka przy

wykładzie, przenoszą się często na forum sejmowe, a spory te drażnią namiętności i mogą tylko działać na szkodę ludności krajowéj, budzą zaś w sercach Rusinów smutek głęboki.

XIII.

W czasach kiedy pp. Diedicki i Hołowacki w pismach swoich trzymali się jeszcze języka ludowego, na szpaltach „Słowa“, „Haliczanina“, a także w „Weczernyci“ ukazały się nazwiska Konisskiego i Fedkowicza, które dotąd nie schodzą z łamów pism partyi narodowéj.

Konisski urodził się w gub. Czerniehowskiéj (1), pierwsze poezye jego drukowało „Słowo“ w r. 1861, a pierwszą powieść „Haliczanin“ w r. 1862, potém pisywał do „Prawdy“, „Switu“, „Rusałki“ i „Zori“ podpisywał się pseudonimami *Werniwolia*, *Perebendia*, albo literami *O. Ja. K.* W całym ciągu swéj literackiéj działalności miał zawsze na celu służenie dobru ojczyzny i ludu rusińskiego, starając się o podźwiganie go ekonomiczne i moralne (2). Ideały, którym pozostał dotychczas wierny, dążąc do nich niezmiennie, wyrażał Konisski już w pierwszych utworach poetycznych. Oto urywki z nich:

Moje Bażannia

Ne obskurant ja, szczo ne płaczu
Za tym czoho nema,
Szczo wże minuło i mina.
Ja Ukrainy dolu baczu
Ne w bunczukach, ne w buławi,
Ne w skarbach schowanych u skryni,
Ne w Zaporożskyj staryni;
Ne w tim szczob wybiwszyś na wolu,
Z Lachami znowu wojowat'
Ta krow Sławiańsku proliwat'
I trupom zasiwati pole....
I wolni wsich Sławian semli
Pobaczyt' choczetsia mini....

Oto urywek z wiersza „Syrotyna“:

Ne toj syrotyna
Chto chodyt' w desiatci, (3)
U koho swytyna

(1) Kalendarz „Proswity“ na rok 1885.

(2) Dnia 22 stycznia roku bieżącego Rusini galicyjscy uroczyście obchodzili we Lwowie 25-letni jubileusz pracy literackiéj Konisskiego.

(3) Desiatka — bardzo grube płótno.

Wsia łatka na łatci;
Aby buła w joho
Hołowa ta ruki,
Lubow do narodu,
Woli i nauki,
Win ne syrotyna,
Win rodyczi w maje,
Win kraju dytyna
I kraj joho znaje...
. . . .
Chto z wsim kowerzuje,
Zneważa Rodynu,
Swoho ne szanuje,
A służyt' czużyni,
Chto w kraszcze ne wirit',
Duszeju ne rwetsia,
Te szczo bude zmiryt',
Żywe jak żywetsia,
Chto prawdy boitsia,
Chto pańska dytyna,
O toj to bezridnyj,
O toj syrotyna.

Z utworów Konisskiego prozą, musimy wskazać romans-kronikę „Semen Żuk i joho rodyczi", w któréj autor w obrazach z życia wskazuje na spółczesne potrzeby ludu rusińskiego i zaznacza drogi, na których inteligencya może pracować około ich zaspokojenia. W powieści „Porwani struny" przedstawione cierpienia człowieka, nie mogącego pracować wedle swych życzeń a zarazem nieszczęśliwego w małżeństwie. W szeregu krótkich opowiadań „Moi dawni znajomi" przedstawia autor wyradzanie się ludzi pod wpływem spółczesnéj choroby pragnienia bogactw bez pracy; w satyrach „I mi lude" dotyka się saméj choroby a zarazem zjawiska, zwanego dziś po rosyjsku „sierdcewiedienjem."

Z prac krytycznych Konisskiego drukowano w „Rusałce" rozbiory utworów dramatycznych Kotlarewskiego, Hohola i Cyssa; w „Prawdzie" rozbiór pism małoruskich Kostomarowa, powieści Lewickiego „Chmary," książki Barwińskiego „Pro weksel i łychwu," i „Pro kary do jakich prysużujut mirowi sudii"—porównanie ustaw o karach wymierzanych przez sędziów pokoju w Rosyi i Austryi: w dzienniku „Świt" krytyczno-biograficzne szkice o Kotlarewskim, Artemowskim, Hrebence i Bodianskim.

W roku bieżącym w „Zori" drukowano powieść Konisskiego „Czy złoczyneć czy nedużyj", poruszającą ważną kwestyą poczytalności w przestępstwach kryminalnych. Włościanin Szełest doszedł do ubóstwa wskutek rozlicznych nieszczęść, które go zrujnowały, nie

ma czém zapłacić podatków, wójt grozi mu rózgami i nie daje paszportu na podróż celem szukania zarobku, póki nie wypłaci zaległości. Szełest decyduje się kraść, okrada młyn, sprzedaje rzeczy skradzione a wracając do domu trafia na scenę wieszania trzech przestępców; robi to na nim tak silne wrażenie, że wróciwszy do domu wiesza swego małego syna; oddano go pod sąd, lekarze psychiatrzy oświadczyli, że działał on w paroksyzmie cierpienia psychicznego, ale przysięgli uznają Szełesta za winnego dzieciobójstwa rozmyślnego, sąd skazuje go do ciężkich robót (katorgi). Powieść tę autor przypisał profesorowi prawa Aleksandrowi Ogonowskiemu, miał więc na celu tę myśl, że kwestye naukowe powinni rozwiązywać ludzie uczeni.

XIV.

We Lwowie w r. 1862 Bohdan Didyćki wydał nie wielką książeczkę „Poezii Osipa Fedkowicza,“ witając w przedmowie autora jako wiele obiecującego poetę ludowego. Poezye Fedkowicza zarówno w Galicyi jak na Ukrainie przyjęto ze współczuciem; oprócz treści, czytelników pociągał niezmiernie język piękny, żywcem z ust ludu wzięty (narzecze huculów bukowińskich), pełen świeżego kolorytu. Po arcy-nudnych utworach Antoniego Mohilnickiego i bigosie językowym Didyckiego, pieśni Fedkowicza robiły na Rusinach najmilsze wrażenie.

Fedkowicz, jak Szewczenko, pochodził z ludu, ale z ludu już nie poddanego, wyrósł jednak wśród biédy. Urodził się w r. 1834 na Bukowinie, we wsi Storonce, wśród Huculów, uczono go nie wiele, potém służył w wojsku, chociaż w lepszych niż Szewczenko warunkach. W r. 1852 wzięty do wojska, służbę odbywał w rozmaitych krajach Austryi a w r. 1859 wrócił do Czerniowiec z rangą porucznika. Tutaj poznał on poetę niemieckiego Neubayera, któremu pokazywał pierwsze swe poezye liryczne, pisane po niemiecku. W jego domu Fedkowicz poznał rusina Kobylańskiego; za radą i pod wpływem jego zdecydował się wydrukować swoje poezye ukraińskie, wydane wtedy przez Didyckiego.

Po uwolnieniu ze służby, Fedkowicz osiadł w okolicach rodzinnych, pełnił tam obowiązki wójta z wyboru gminy a potém był inspektorem szkół. W r. 1872 pracował przy stowarzyszeniu „Proświta“ pisząc i redagując książki ludowe, w r. 1874 osiadł w Czerniowcach i dalej zajmował się literaturą; od 1 stycznia r. b. pod redakcyą jego wychodzi w Czerniowcach pismo dwutygodniowe „Bukowina,“ broniące praw i interesów Rusinów bukowińskich. Z zasad i prze-

konań Fedkowicz jest demokratą-narodowcem, sprzyja równoprawnéj federacyi słowiańskiéj, ale nie jest zwolennikiem czyjejkolwiekbądź hegemonii; dlatego też napaści panslawistów na Fedkowicza i usiłowania ich zjednać go dla swego obozu pozostały bez skutku.

Z poezyi Fedkowicza najlepsze są wydane w r. 1862; potém wydał jeszcze dwie księgi, ale już słabsze, starał się bowiem naśladować w nich Szewczenkę, i dlatego nie ma tam oryginalności. Najpiękniejsze utwory: „Preczysta Diwo, radujsia Marije“ i „Towaryszczi“; w tym ostatnim opłakuje on pamiętną rzeź austryaków pod Madżentą, któréj był świadkiem. Oprócz poezyi, Fedkowicz pisał komedye, dramata i powieści, drukowane w dziennikach „Weczernyci,“ „Nywa“ i „Prawda,“ w almanachu z r. 1877 „Ruśka Chata,“ a ostatnia powieść jego „Dnistrowi Kruczi“ drukuje się w „Bukowinie.“ Napisał około dwudziestu powieści, które są najlepszemi jego utworami, a treścią ich jest życie ludu huculskiego. Żywym pędzlem psychologa i poety zarazem maluje tu autor dziwnie urocze obrazy, podobne do tych, które spisała Markiewiczowa, Auerbach albo Turgieniew; niektóre powieści w r. 1876 wydano w Kijowie, pomiędzy nimi najlepsze: „Safat Zinicz“ i „Opriszok.“

Jednocześnie z Fedkowiczem wystąpiło w pismach ludowych dwóch pisarzy bukowińskich, bracia Worobkiewicze, obaj księża. Grzegorz, pod pseudonimem Nauma Szrama pisywał piękne wiersze patryotyczne, chociaż z trochę zastarzałym kierunkiem; zmarł w r. 1884. Izydor Worobkiewicz (Daniło Młaka) znany na Bukowinie jako poeta i dramaturg, a w Galicyi jeszcze więcéj popularny jako kompozytor.

XV.

Dziesięciolecie 1864—1874 zaznacza się w granicach Rosyi znowu przerwą w piśmiennictwie ukraińskiem, przerwą i zaciszem głębszém jeszcze aniżeli uprzednie (1846—1856). W r. 1864 wydano jeszcze dwie książki, z których jedna czysto etnograficznéj treści— zbiór przysłów, a potém w ciągu lat pięciu nie zjawia się ani jedna książka napisana oryginalnie po ukraińsku. Wiadomo, że jeśli ziemia długo leży odłogiem bez uprawy, to pomimo najlepszego gatunku gruntu, pokrywa się ona bujnym chwastem; wiadomo też, że gdy panowie z domu wyjadą. służba nieraz w ich pokojach sprawia sobie huczne ale brudne orgie. Tak się zdarzyło z literaturą ukraińską, gospodarze odjechali, wystąpiła tedy czeladź z piekarni i poczęła się hulatyka. Bublij Rucinski, Semeniuk, Ternowski, Szybitko, Podusz-

ka i inni zasypali pole literackie wierszydłami, przynosząc w nich to co ukraińcy nazywają „śmitije.“ Dopiero w r. 1871 ukazały się dwie cieniuchne książeczki wierszów: Sokołowskiéj „Zirka“ i Czubińskiego „Sopiłka“, wierszów słabych wprawdzie, ale przynajmniéj z treści i formy podobnych do mowy ludzkiéj.

W r. 1874 a właściwiéj 1875 rozpoczyna znowu niby świtać, pojawia się cóś podobnego do ruchu, a chociaż główném zajęciem jest wydawanie książek naukowych elementarnych dla ludu, ale i w literaturze pięknéj ukazują się dwaj nowi pisarze, Michał Starycki i Jan Lewicki, którzy obydwa drukowali swe prace znacznie wcześniéj, bo już w 1867 w Galicyi.

Starycki, rodem z gub. Półtawskiéj, rozpoczął zawód literacki od poezyi oryginalnéj i od tłómaczeń, wydanych w r. 1881 w dwóch tomach w Kijowie, tłómaczył bajki Andersena, serbskie dumy narodowe, Szekspirowskiego Hamleta, napisał wodewil „Jak kowbasa ta czarka, to minetsia i swarka“ i dramat „Ne sudyłosia“, drukowany w almanachu z r. 1882 „Rada“. Tłómaczenia Staryckiego zdają się być lepsze od poezyi oryginalnych, szczególnie dobre jest tłómaczenie pieśni serbskich, znacznie słabsze tłómaczenia z Mickiewicza, Kondratowicza a szczególniéj z Niekrasowa. W poezyach jego widnieje talent niepospolity, ale używa samowolnie jakiegoś języka tak oryginalnego, że to przeszkadza dobremu rozumieniu rzeczy, a zatém i nie może być popularném, krytycy ukraińscy, nawet tak pobłażliwi jak Kostomarów, ostro go za to potępiają.

Jan Lewicki rodził się w gub. Kijowskiéj we wsi Steblowie r. 1837, syn księdza, kształcił się w akademii kijowskiéj i jest nauczycielem gimnazyalnym w Kiszyniowie. W Rosyi dopiero w r. 1874 poznano pisma beletrystyczne Lewickiego, chociaż drukowano je już pierwéj w Galicyi; w tym roku wydano w Kijowie powieść jego „Rybałka Panas Krut'“, jednakże imię „Neczuj“ znane było na Ukrainie kiedy powieści jego wychodziły we Lwowie. Pierwsze z nich „Zaporożci“ „Dwi Moskowki,“ „Pryczepa“ i „Chmary“ zwróciły na siebie uwagę w Rosyi i zagranicą. Autor podejmuje tu kwestye stosunków społecznych, wskazuje na opłakane skutki odosobnienia między inteligencyą a ludem prostym, na gorzkie owoce, jakie wydają zarówno bezmyślny obskurantyzm jak i liberalizm czerwony, na demoralizacyą, która pojawia się wślad za każdym wynarodowianiem. „Pryczepę“ przetłómaczono w Poznaniu na język polski pod tytułem „Przybłęda.“ W „Prawdzie“ lwowskiéj w r. 1877 drukowano powieść Lewickiego „Dżerja,“ w almanachu „Luna“ powieść „Pryjateli“ i w osobném wydaniu w 1881 „Burłaczka.“

Nie możemy tu naturalnie przytaczać treści około dwudziestu powieści, cieszących się powodzeniem wśród publiczności, z których naszém zdaniem najlepsze są: „Zaporożci,“ „Dwi Moskowki“ i „Burłaczka.“ Dotyka Lewicki w swych powieściach klas oświeconych i nawpół oświeconych, ale główny interes ogniskuje się zawsze wśród życia ludu prostego, ubogiego, ciemnego, bez nadziei poprawy losu. W „Zaporożcach“ rozwija autor swe poglądy na przeszłość historyczną Ukrainy, w „Pryczepie“ na stosunki plemienne z Polakami, w „Chmarach“ na stosunki z Wielkorosyą. Literaturę dramatyczną wzbogacił Lewicki dramatem „Marusia Bohusławka“ i komedyą „Na Kożumiakach.“ Pracował też dużo nad popularyzowaniem wiadomości historycznych, napisał w tym celu: „Hetman B. Chmielnicki“ (1878), „Istorja Rusi,“ „Petro Mohiła,“ „Unija“ i kilka innych; z prac jego naukowych najważniejsze i najciekawsze, drukowane w „Prawdzie“ w latach 1876 i 77, studya nad mitologią ukraińską pod tytułem „Switohljad Ukrainskoho narodu.“

Z mniejszym zapewne talentem, ale zawsze nieposlednio zasłużony w literaturze ukraińskiéj jest pisarz, ukrywający się pod pseudoninem „Myrnyj“; powieści jego w r. 1872 drukowano w „Prawdzie,“ a w r. 1880 wydał nie wiadomo dla czego w Genewie, zupełnie zdaje się cenzuralny romans „Chiba woły rewut' koli jaslja powni“, pisany razem z „Bielikiem“ (także pseudonim), mogący być ozdobą każdéj literatury. W almanachach kijowskich z lat 1882 i 1884 „Rada“ wyszły dwie pierwsze części powieści jego „Powija.“

XVI.

Jakeśmy już wspomnieli, „rozświt“ ruchu literackiego ukraińskiego zaczął się objawiać w r. 1875, trwało to jednak niedługo; w r. 1876 nastały nowe rozporządzenia, dozwalające drukować wyłącznie utwory tylko oryginalne literatury pięknéj i to za osobném każdorazowo upoważnieniem głównego zarządu prasy, a pod warunkiem żeby używano w nich pisowni takiéj saméj jak w ogólności w literaturze rosyjskiéj. W latach 1881 i 82 daje się znowu dostrzegać jakieś ożywienie w piśmiennictwie, w Kijowie wychodzą almanachy „Łuna“ i „Rada“ i w ciągu tych dwóch lat wydano do pięćdziesięciu książek po małorusku; ale od połowy r. 1883 nie wyszła już ani jedna praca oryginalna ani tłómaczenie zasługujące na uwagę. Pisano w gazetach, że prace tego lub owego z lepszych pisarzy przedstawione zostały do cenzury, ale w druku dotąd ich nie widzimy. Prace zaś takiego rodzaju jak „Kazki“-Chutorniczki, „Poezye“ Żarka i inne lichoty

Borakowskich, Brutów, Kononeńków, Carynnych itd. dowodzą, że autorowie ich zupełnie są pozbawieni nie tylko artystycznego zmysłu, ale i pojęcia co to jest literatura piękna, i lepiejby na tém wyszło piśmiennictwo ukraińskie, gdyby się nie zanieczyszczało podobnym chwastem. Nie wartoby o nich wspominać, gdyby nie przychodziło na myśl pytanie, gdzie się dziewać mogą podobne książki; jeżeli je myszy zjadają, to mniejsza o to albo raczéj Bogu dzięki, ale jeżeli ludzie kupują i czytają, to wielka szkoda. Literatura tego rodzaju szczepi w społeczeństwie demoralizacyą i jest do życzenia, aby takie utwory „hajdamackie“ (pożyczamy tego wyrażenia od biegłego w téj materyi pana Kulisza) były ostro przez społeczeństwo potępione i odrzucane jako nic warte.

XVII.

Na tém ciemném tle literatury małoruskiéj jasno odbijają poezye Jakóba Szczegolewa wydane w r. 1883 w Charkowie, w osobnéj książce pod tytułem „Worskło.“ Autor to już nie młody, urodził się w Achtyrce gub. charkowskiéj w 1824, pierwsze poezye jego drukowano w różnych wydawnictwach w piątym dziesiątku lat naszego wieku; około roku 1847 zamilkł na lat dwadzieścia, w r. 1860 w almanachu Kulisza „Chata“ znowu znalazł się wiersz jego, odtąd milczał do r. 1881 kiedy wziął udział w wydaniu „Łuny.“

Trzy te peryody twórczości poetyckiéj wyraźnie odbijają się w „Worskło.“ W latach młodości fantazya lekka i żywa językiem pełnym prostoty maluje obrazy zachwycające świeżością kolorytu; w latach dojrzałych pełna myśli poważnéj, oddana z mniejszą barwnością; na starość myśl prozaiczna, owiana chłodem podeszłego wieku. Podczas kiedy myśl dojrzewała, nim się rozwinęła i stanęła na równi z wymaganiami spółczesnemi, fantazya poety słabła, ogień przygasał. Zresztą pomiędzy ostatniemi wierszami Szczegolewa jest jeden bardzo piękny, zatytułowany „Wercadło“, kreślący obrazy pierwszego zasiedlenia Ukrainy Słobodzkiéj, potém doprowadzenia ludu wiejskiego do poddaństwa, oswobodzenia go w roku 1861 i nakoniec niewoli ekonomicznéj, towarzyszącéj z konieczności téj ciemnocie niesłychanéj, w jakiéj pogrążona jest ludność małoruska. Poeta po oswobodzeniu włościan tak się odzywa:

„I żdaw ja w toj welykij czas,
Szczob sonce z neba zaśmijaloś;
Tak promiń hasnuw i pohas
I sonce w chmaru zachowaloś...
I zwykszi retjazi taskat',
Ne mawszi rozumu, ni syly,

Szczob szczastlja w praci odszukąt',
Pobriw narod, jak oczmanilyj,
Pobriw od szinku do szinka,
Upała tam joho rachuba
A triczi proklata ruka
Żidjuhi, nimcja, salohuba,
Prostiahszi z mołodu pustu,
Teper hriszmi nabitu zmenju
Hrabasta zemlju zołotu
W swoju bezdonjuju kiszeniu"...

XVIII.

W Galicyi ruch literacki nie ustawał i rozwija się dotąd, chociaż wyznać należy, że w ciągu ostatnich dwóch lat najlepszy z organów stronnictwa narodowego, „Diło", widocznie stał się słabszym; objaśnić to może jedynie śmierć przedwczesna Włodzimierza Barwińskiego, założyciela i redaktora „Diła." Zmarł on skończywszy zaledwie lat 30. Wykształcony gruntownie, po odbyciu studyów w uniwersytecie (fakultet prawny) nie ustawał w pracy; ciągle się zajmował pracą naukową. Jeszcze w 1868 wystąpił na polu literackiém w „Prawdzie," najprzód jako spółpracownik, a od r. 1876 do przekształcenia „Prawdy" na „Diło" jako redaktor. Rozum jasny i energia niepospolita obok wielkiego talentu, raczéj publistycznego niż literackiego, pozwoliły Barwińskiemu rozbudzić życie wśród Rusinów galicyjskich, wzywał ich on do czynności praktycznéj, do pracy nad kształceniem i rozwijaniem życia narodowego we wszystkich sferach i partyą narodową wprowadził na drogę arcy płodną walki realnéj o swe prawa i interesa. Z prac jego beletrystycznych godne uwagi dwie powieści „Skoszenyj ćwit" i „Beztalanne swatanije" których treść wzięta z życia Rusinów galicyjskich. Pomimo ich treści, powieściom tym ważne znaczenie nadaje strona ich zewnętrzna, leksykalna. Ani jeden z pisarzy rusińskich w Galicyi nie potrafił tak jak on używać języka.

Od śmierci Barwińskiego (styczeń 1883) żaden publicysta nie zajął jego miejsca, żaden nie umiał prowadzić daléj téj saméj polityki z równą jemu energią i szczerością. Zamiast dawniejszych artykułów „Diła" szczerych, energicznych i pisanych z talentem, spotykamy tam obecnie dość często wodniste gadulstwo, z którego niezawsze wyrozumiéć można, czego właściwie chce autor; czystość języka powoli się zatraca, a w niektórych kwestyach ważniejszych nawet „Diło" albo milczy albo zadawalnia się komunikowaniem nic nie znaczących wiadomości. Broniąc ze wszystkich sił duszy praw na-

rodowych Rusinów w obec Polaków, Barwiński nie szczędził swych ziomków renegatów, w artykułach politycznych nieraz wyraźnie i dobitnie ich potępiał, nazywając stronnictwo „twardych“ nawskróś rewolucyjném i antynarodowém. Nie mniéj energicznie wystąpił przeciwko małéj garstce Rusinów nazywających się socyalistami, w téj polemice szczególnie godne uwagi artykuły przeciwko Drahomanowowi w „Prawdzie“, jak: „Sliwce do opoznanija“ i „Widpowid Drahomanowu.“

Interesowała go nie tylko Galicya, pilnie śledził ruch literacki na Ukrainie i śmiało wskazywał tamecznéj inteligencyi drogi, na których mogłaby działać z korzyścią dla ludu, np. w czterech artykułach zatytułowanych „Zadaczi Ukrainskoj intelihencii.“

We wszystkich swych pracach Barwiński stale trzymał się zasady „Ruś dla Rusi“ i ciągle uczył swych ziomków, że jedyném ich zbawieniem jest pełna świadomość sił własnych, że po za swoim narodem nie znajdą przyjaciół, i nawoływał ich do pracy w tym kierunku. Oświata i rozwój ludu w duchu narodowym, siłami własnemi bez pomocy cudzéj, poprawa stanu ekonomicznego, kultura w ogólności i wzmocnienie uczuć patryotycznych, oto są idee, które propagował całe życie, nad którémi bezinteresownie pracował, z którémi żył i umarł. Imię jego bardzo jest popularne w Galicyi, bo Rusini umieli ocenić pracę jego i dążności; daj Boże, żeby nie zeszli ze wskazanéj sobie drogi i żeby wpośród nich znalazł się nowy Barwiński, kontynuator prac zmarłego.

XIX.

Pomiędzy spółczesnemi powieściopisarzami rusińskimi w Galicyi wybitnie się odznacza Jan Franko, człowiek młody jeszcze i z wielkim talentem. Pisać zaczął on bardzo wcześnie, około r. 1875 i z początku niedobrze sobie poradził, biorąc się do tłómaczeń z rosyjskiego. Dla pisarza początkującego bardzo niebezpieczném jest tłómaczyć z języka blisko pokrewnego, bo bezwiednie przyswaja sobie formy obce, i zamiast wzbogacenia języka rodzinnego wprowadza doń obroty niewłaściwe, wyrazy i wyrażenia mówiące co innego, niż to co miał na myśli, a odzwyczaić się od tego potém nader trudno. Dla tego styl Franka w pracach jego naukowych upstrzony jest zwrotami i wyrazami nie swojskiemi językowi małoruskiemu jak go lud używa na Ukrainie i niezgodnemi z fonetyką mowy zwyczajnéj. W powieściach język daleko lepszy i zbliża się do stylu pisarzy wzorowych. Oprócz tłómaczeń z rosyjskiego i niemieckiego (Faust Goethego), Franko pisuje artykuły historyczne, krytyczne, antropo-

logiczne, pisze o naukach przyrodniczych, o ekonomii politycznéj i etnografii, pisuje wiersze, powieści historyczne i obyczajowe. Rozmaitość ta prac i zajęć zdaje się nie wychodzi na pożytek dla młodego pisarza; rozrzucając się na wszystkie strony, nie może się skupić na jednym przedmiocie, śpieszy, pisze zbyt szybko, niedość obmyśla przedmiot i niedość opracowywa formę zewnętrzną. Pośpiech ten i brak opracowania daje się czuć we wszystkich pracach Franka. Nam się zdaje, że mu szkodzi jeszcze upodobanie w cytowaniu pisarzy rosyjskich i w używaniu częstém ale mniéj właściwém wyrażeń Szczedrina, którego znakomite satyry trudno są zrozumiałe po za granicami cesarstwa rosyjskiego, dla ludzi nie obeznanych z życiem i obyczajami Rosyi. Cóż, doprawdy, zrozumie Rusin albo Polak w „Istorii odnawo goroda,“ jeżeli mu nie dadzą szczegółowego komentarza z historyi i obyczajów tego miasta.

Za najlepsze z utworów Franka uważamy powieść historyczną: „Zachar Berkut“ i obyczajową „Boa constrictor“ a także studyum „Na dni.“ W „Boa constrictor“ daje on żywy obraz stanu robotników przy źródłach nafty w Borysławiu i eksploatacyę ich przez żydów. Jeżeliby rada nasza miała szanse być wysłuchaną, radzilibyśmy młodemu autorowi pisać tylko powieści, nie rozpraszać swego talentu na wsze strony, a szczególnie unikać drobnych artykułów krytycznych, których kierunek robi na czytelniku wrażenie nie miłe. Komu są znane prace krytyczne „Ukraincia,“ ten łatwo dostrzeże, że Franko stara się przyswoić sobie jego manierę; ale niemiłe w artykułach „Ukraincia“ usposobienie przeczące, mała znajomość faktów i życia i dziwna jakaś złośliwość osłonione są śmiałemi frazesami i lekkim humorem; tych dwóch przymiotów Franko nie posiada, dlatego artykuły Franka drażnią tylko nerwy czytelnika młodszego a zrażają starszego, a więc—nie są użyteczne. Twory zaś mistrzowskie jak „Na dni“ albo „Boa constrictor“ pozostawiają na czytelniku wrażenie silne i ślady niezatarte, budzą w nim myśl, duszę poruszają, a do tego, jak sądzimy, powinien dążyć każdy pisarz poważny.

XX.

Literatura dramatyczna małoruska poczyna się od Kotlarewskiego, od operetki jego „Natałka-Połtawka“ i wodewilu „Moskal Czariwnyk“. W r. 1862 wydrukowano w „Osnowie“ komedyą Afanasija Hohola „Prostak“, pisaną niewątpliwie jednocześnie z utworami Kotlarewskiego, treść sama „Prostaka“ i „M. Czariwnyka“ bardzo podobna, a który z tych pisarzy wystąpił pierwszy na polu dramatu—pytanie to dotychczas nie roztrzygnięte i do rozwiązania go

nie mamy dostatecznych faktów (1). O utworach dramatycznych Kwitki i Kostomarowa jużeśmy wspominali, to zaś co drukowali przed r. 1850 inni autorowie, jak Karpenko, Dmitrenko, Szerepera, Topola, nie zasługuje na uwagę; dopiero w „Osnowie“ zjawia się operetka „Czornomorśkyj Pobit,“ napisana przez Czarnomorca Kucharenkę, serdecznego przyjaciela Szewczenki jeszcze w r. 1836, a drukowana dopiero w 1861, w przeddzień niemal śmierci autora, który we wrześniu r. 1862 wzięty do niewoli przez Czerkiesów, umarł tam prędko z ran ciężkich. Operetka ta—to prześliczny obrazek pełen artyzmu a zarazem etnograficznéj ścisłości; na scenę przerobił ją Starycki, a dzięki prawdzie obrazu i ładnéj muzyce, ułożonéj przez Łysenkę, pod tytułem „Czornomorci“ cieszy się ona wielkim powodzeniem zarówno na Ukrainie jak i w Galicyi.

W czasach, kiedy literatura ukraińska ulegała tylko ogólnym prawom o cenzurze, dramatyczny jéj dział wzbogacił się wielu cennemi utworami; wyliczać ich wszystkich niepodobna, ale wspomnieć musimy takie jak: „Dolja“ dramat Stecenki, „Nazar Stodolja“ dramat Szewczenki, „Narkisza“ dramat Storożenki. Kiedy w r. 1881 złagodzono przepisy dla sceny małoruskiéj, artysta Krapiwnicki najprzód sam a potém w towarzystwie ze Staryckim zorganizował trupę ukraińską. Przedstawienia ich, wskutek doskonałéj gry aktorów, miały powodzenie ogromne w Kijowie, Charkowie, Odessie, Żytomierzu i w innych miastach; ani przed nimi ani po nich żadna trupa operowa czy dramatyczna nie była tak chętnie słuchaną. Jednakże zaraz dało się czuć wielkie ubóstwo repertuaru, jedne bowiem sztuki były już za stare, inne nie odpowiadały warunkom cenzury. Zaradzono temu wydając w r. 1882 zbiór utworów scenicznych Krapiwnickiego, a w r. 1883 w almanachu „Rada“ wydrukowano Staryckiego „Ne sudyłosia“; w r. 1884 Starycki przerobił dla sceny komedyą Lewickiego „Na Kożumiakach“ dając, jéj tytuł „Za dwoma zajciami“, w tymże roku wydano we Lwowie w osobnych książkach dwie komedye „Na dobrodijni cili“—Ceglińskiego i „Porwała sia nitka“ Konisskiego.

Tymczasem w r. 1884 znowu zaszły zmiany: trupie Staryckiego-Kropiwnickiego wzbroniono dawać przedstawień w guberniach generał-gubernatorstwa kijowskiego, a dramat „Nesudołosia“ i komedya „Porwałasia nitka“ były przez cenzurę na scenę niedopuszczone.

---

(1) „Ruskaja Scena“ r. 1865: artykuł „Rusko-Ukrainskaja dramaticzeskaja literatura.“

W Galicyi stały teatr rusiński urządzono w r. 1864, lat kilka dostawał on od sejmu bardzo poważne subsidium (4 do 5 tysięcy fl. austr.), ale repertuar sceny tamecznéj wcale nie bogaty, wybór sztuk zależy naturalnie od upodobań przedsiębiercy. Nie wiemy dla czego na scenie galicyjskiéj nie grają najlepszych utworów pisarzy małoruskich, za wyjątkiem „Natałki-Połtawki," „Czernomorców" i „Swatanija," chociaż tę ostatnią sztukę należałoby już usunąć ze sceny. Grają tam zwykle sztuki oryginalne autorów miejscowych Worobkiewicza, Huszalewicza, Ceglińskiego i Fedkowicza, albo tłómaczenia, ale w wyborze tych sztuk widnieje upodobanie do melodramatu francuskiego. Cegliński w komedyach „Na dobrodijni cili" i „Tato na zaruczinach" próbował sił swoich na polu realizmu, ale nam się zdaje, że próba nie zupełnie się powiodła. Gazety rusińskie bardzo chwalą sztuki Ceglińskiego, my jednak musimy pozostać przy swojém zdaniu. O gustach trudno sądzić, co jednym zdaje się być realnym obrazem życia, w tém drugi może nie znajdować zgoła prawdy i rzeczywistości.

Kropiwnicki, o którym wspominaliśmy, rodził się w gub. Charkowskiéj; w zbiorze jego utworów wydrukowano: „Newołnik" dramat w 5 aktach, „Daj serciu woliu zawede w newoliu" dramat w 5 aktach, „Hłytaj abo Pawuk" dramat w 5 aktach i wodewil „Pomiryłysia;" wszystkie te sztuki nie mają zalet szczególnych i nie wytrzymałyby surowszéj krytyki, a wodewil mógł śmiało pozostać w tece autora. „Niewolnik" to przeróbka poematu Szewczenki pod tymże tytułem, ale przeróbka nieudatna. „Daj serciu woliu"... to nie dramat lecz szereg obrazków etnograficznych, zszytych niewprawną ręką. Ze wszech względów najlepszy jeszcze „Hłytaj", chociaż i tu nie znajdziemy głębszéj analizy duchowéj; autor podjął tu kwestyę spółczesną, wyzyskiwania ludu wiejskiego przez lichwiarzy, wyszłych z jego własnego łona. Chciwy i zepsuty lichwiarz wiejski *Byczok* oplątał w swe sieci całą wioskę i ssie, gdzie co można. Młodą i piękną wieśniaczkę *Olenę* intrygami swemi przekonywa, że mąż jéj, który wyszedł ze wsi za zarobkiem, zdradza ją i już nie powróci; obrażona i opuszczona żona szuka pociechy w wódce i oddaje się Byczkowi, czego ten właśnie pożądał. Ołenę świadomość swego upadku doprowadza do szaleństwa, Andrzéj mąż jéj powraca, Ołena poznaje go, dowiaduje się, że była oszukaną i umiera, a Andrzej zabija Byczka. W dramacie dużo jest fałszu psychicznego, mimo to jednak na scenie, przy grze dobréj, miewa on powodzenie.

Prawdziwie korzystnym nabytkiem dla literatury i dla sceny jest dramat Staryckiego „Ne sudyłosia." Dramat osnuty na miłości, która nie może doprowadzić do małżeństwa, gdyż kochankowie—

panicz wykształcony w uniwersytecie i prosta dziewczyna wiejska tylko co uwolniona z poddaństwa,—zbyt się różnią między sobą wykształceniem umysłowém i stanowiskiem społeczném. Wyprowadzono tu na scenę i oddano typowo charaktery: obywatela-plantatora, i młodego ukrainofila, spieszącego służyć dobru ludu, na nic się nie oglądając. Z wielką bystrością dotyka autor bolących ran społeczeństwa ukraińskiego, przedziału niezmiernego między prostym ludem a inteligencyą, i nie wpada nigdzie w przesadę. Dramat ten wystawiony na scenie mógłby mieć znaczenie i wpływ prawdziwie wychowawczy.

Komedya w 4 aktach Konisskiego „Porwałasia nitka" dotyka spółczesnéj choroby dążenia do bogactwa bez oglądania się na środki. Młody lekarz *Dmytro Michno*, zaraz po skończeniu uniwersytetu, narobił długów, a chcąc jaknajprędzéj miéć pieniądze, zaręcza się z dziewczyną wiejską, niemłodą, brzydką i nieokrzesaną, bogatą i chciwą, istnym lichwiarzem w spódnicy. Dla pewności, że się małżeństwo nie rozerwie, Michno bierze od narzeczonéj weksel na 6.000 rub., ale spotyka potém wdówkę młodą, ładną i bogatą, oświadcza się jéj i jest przyjęty; nie zwraca jednak wekslu pierwszéj swéj narzeczonéj *Hryniwnie*, lecz stara się uzyskać zań pieniądze. Powodzi się Michnie, ale Hriniwna przy pomocy swatek i plotkarek psuje jego interesa: wdówka przekonana o jego oszustwie, wyrzeka się go; Michno nazajutrz wraca do Hryniwny i znowu ofiaruje jéj swą rękę, ta niby się zgadza, ale chcąc odebrać swój weksel, obiecuje mu wydać inny na większą sumę; a kiedy Michno kładzie na stół stary weksel, żeby niepiśmienna Hryniwna mogła z niego kopiować swój podpis, ona chwyta zręcznie i drze obadwa. Michno w rozpaczy, błaga Hryniwnę, żeby szła za niego, ale ona nie daje się zmiękczyć i odpędza niezręcznego chciwca. Nie wiemy, dla czego nie dopuszczono téj komedyi na scenę. Michno to produkt wzorów, na które patrząc, wychowuje się młodzież; produkt wpływu pedagogicznego profesorów, którzy obok wykładów zajmują się w radach zarządzających towarzystw akcyjnych.

XXI.

Mówiąc o literaturze dramatycznéj, nie możemy pominąć milczeniem widocznego rozbudzenia ruchu muzykalnego. Wiadomo powszechnie, że Ukraina to kraj muzyki a nadewszystko pieśni. Nigdzie wśród plemion słowiańskich nie ma takiego bogactwa pieśni jak na Ukrainie, pieśni czysto narodowych, historycznych lub stanowiących właściwość różnych obrzędów. Dumki i piosenki ukraińskie

to całe morze melodyi nieskończenie rozmaitych i niezmiernie bogatych; szerokie one i swobodne a zarazem ciche i poważne jak stepy Ukrainy, to znowu miękie, pieszczotliwe i przejrzyste jak czyste błękitne niebo nad stepami wiszące, lub rwące i unoszące z sobą jak porohy dnieprowe, albo znowu burzliwe i głębokie jak fale niespokojnego morza.

Pierwszém opracowaniem muzyki narodowéj było wydawanie pieśni ludowych w latach od 1855 do 60; zajmowali się tém Kocipiński, Jedliczka, Balina, Kamieniecki, Rubiec i inni. Wydania te, wcale dobre, były tylko zbiorem materyałów, który ułatwił pracę pieśniarzowi ukraińskiemu. „Kobzarzem“ muzyki ludowéj ukraińskiéj był Mikołaj Łysenko, który zajął w muzyce miejsce takie jak Szewczenko w poezyi.

Obaj czerpali natchnienie w bogatym zdroju pieśni ludowych, dla tego obaj są prawdziwie narodowi, wiersz Szewczenki i nuta Łysenki drgają życiem i pełne siły, wzruszają duszę ukraińca zarówno w chacie wieśniaczéj jak i we wspaniałym pałacu. Łysenko człowiek jeszcze nie stary (urodz. 1842), kompozytor w pełnym rozwoju siły i można spodziewać się, że jeszcze dużo zrobi dla muzyki ukraińskiéj.

Łysenko, rodem z gub. Półtawskiéj, po skończeniu uniwersytetu Kijowskiego, dwa lata przebył w konserwatoryum Lipskiém i tutaj w r. 1868 ułożył po raz pierwszy muzykę do słów Szewczenki „Zapowit'“, którą późniéj przerobił nanowo. Dotychczas znamy 50 z górą niewielkich utworów Łysenki, a za najlepsze uważane są te, które ułożył do słów Szewczenki; ale prawdziwą zasługę położył i tytuł do sławy zjednał sobie kompozytor wydaniem trzech zbiorów pieśni ukraińskich. Znawcy chwalą téż jego opery: „Rizdwiana Nicz“ i „Utoplena,“ do których libreta układał Starycki z powieści Hohola.

W Galicyi znani są zaszczytnie jako kompozytorowie: Huszalewicz (opera „Pidhorjanie“) a także Izydor Worobkiewicz, Wachianin i Matiuk; nie mają oni jednak téj twórczéj siły, tego zlania się z nutą narodową, która króluje w dźwiękach utworów Łysenki.

XXII.

Wspominaliśmy już, że po r. 1856 pisarze małoruscy zajęli się czynnie wydawaniem książek popularnych dla ludu prostego. Do r. 1863 wydano najprzód elementarze czyli „hramatki“ dla nauczania początkowego w szkołach elementarnych: takie są hramatki Kulisza, Szewczenki, Konisskiego, Derkacza, Jaszczenki; w r. 1861 w Półta-

wie wydano „Ukraiński propysi" ułożone przez Konisskiego, potém dwie Arytmetyki Moroza i Konisskiego, Historyą świętą Opatowicza, Fizykę popularną, śliczną książkę przyrodniczą „De szczo pro świt Bożyj", która miała kilka wydań i była tłómaczoną na język rosyjski; wydano masę książeczek tanich (3 do 5 kop.) treści beletrystycznéj, przetłomaczone Ewangelie, których nie można było wydrukować. Jak potrzebne były tego rodzaju wydania można wnosić z tego, że Historyi swiętéj Opatowicza w ciągu pół roku sprzedano 6.000 egzemplarzy. Około r. 1872 i 3 zaczęła się na nowo przerwana na czas jakiś praca na tém polu, w ciągu lat trzech wydano książeczek elementarnych naukowych i beletrystycznych więcéj niż 100.000 egzemplarzy. Lepsze między niemi „Pro choleru," „Pro zemni syły," książka lekarska i parę treści prawnéj. Po nowéj przerwie od r. 1876, w latach 1881 i 1882 wydano „Persza czitanka" Konisskiego, „Czitanka" Chutornego—prześlicznie to ilustrowana książeczka dla dzieci, daleko piękniejsza od wszystkich wydawanych w Moskwie lub Petersburgu. Wtedy też wydrukowano pracę Komarowa „Pro komach" i kilka broszur Hamalii o narodach zamieszkałych w Rosyi. Odtąd już ruch na tém polu ustał zupełnie.

W Galicyi wydawnictwami tego rodzaju od lat 16-u zajmuje się stowarzyszenie „Proświta," zawiązane wśród partyi narodowców, na czele stowarzyszenia stoją zawsze i umiejętnie kierują jego pracami najlepsze siły inteligencyi miejscowéj, profesorowie uniwersytetu lwowskiego Emilian i Aleksander Ogonowscy, wielu profesorów gimnazyalnych a także urzędnicy i adwokaci. Obywatel Władysław Federowicz związał na zawsze swe imię z historyą Proświty i dziejami oświaty Rusinów w Galicyi, ofiarując na rzecz stowarzyszenia majątek ziemski ceniony 15 tys. złot. reńs.

W pierwszych latach prace stowarzyszenia szły nie najlepiéj, członków było mało a zatém i środki niewielkie. Spory stronnictw politycznych utrudniały jeszcze bardziéj powodzenie Proświty, bo partya „twardych" i ustnie i w druku nie szczędziła nagany i nie zaniedbała rzucać podejrzeń na czynność stowarzyszenia zawiązanego przez narodowców; w krótce jednak publiczność zrozumiała cel stowarzyszenia i wykryła źródło potwarczych insynuacyi;—sprawy Proświty idą obecnie dobrze. Ze sprawozdania przeszłorocznego dowiadujemy się, że liczba członków doszła 2.525, że ma ono filie w Tarnowie, Stanisławowie i innych miejscowościach, majątek towarzystwa w kapitale i książkach oceniony na 37.285 złr. W ciągu lat 16 swego istnienia towarzystwo wydało lub nabyło od wydawców książek ludowych i szkolnych 350.000 egz. z górą, przeważnie treści historycznéj lub religijno-moralnéj, z tych książek już około 250.000 egz. rozeszło się wśród ludu.

„Ruśke pedagogiczne towarystwo,“ zawiązane w celu podobnym jak „Proswita,“ bardzo jeszcze niedawne, energicznie rozpoczęło czynność swą od wydawania książeczek ilustrowanych dla dzieci poczynających się uczyć.

XXIII.

W celu popierania literatury rusińskiéj w r. 1874 zawiązano „Towarystwo imeni Szewczenka,“ ale rozwija się ono niezmiernie powolnie, czego główny powód leży w tém zapewne, że opłata członków za wysoka: 100 fl.; nie można przecież spodziewać się, żeby wśród ludności rusińskiéj, tak na ogół ubogiéj, znalazło się wielu ludzi, którzyby mogli ofiarować podobną sumę i wypłacić ją chociażby ratami; jakoż liczba członków dochodzi zaledwo 50, trzeba więc zniżyć wysokość wpisowego. Dziwném też się wydaje, że towarzystwo istniejące lat 10 przeszło nie liczy ani jednego członka honorowego; możnaby z tego wnosić, że towarzystwo żadnego z żyjących autorów małoruskich nie uważa za godnego tego miana. Dla osiągnięcia swego celu, budzenia ruchu literackiego, towarzystwo zrobiło też nie wiele; posiadając własną drukarnię bardzo porządną, nie przedsięwzięło niczego dla zgrupowania koło siebie sił literackich, pociągnięcia ich ku sobie, nadania im pewnego kierunku. Od stycznia r. b. zaczęło ono wydawać gazetę naukowo-literacką „Zorja“ i przy niéj bibliotekę, o wydawnictwie tém obecnie jeszcze sądu żadnego wydać nie można. Mniemamy, że prostym obowiązkiem towarzystwo byłaby kontynuacya „Ruśkoj biblioteki,“ rozpoczętéj w r. 1877 przez prof. uniw. czerniowieckiego Ignacego Onyszkiewicza. Onyszkiewicz chciał wydać wszystkich znakomitszych autorów małoruskich, ale wydał tylko Kotlarewskiego, Hułaka-Artemowskiego, Hohola Afanasja i Kwitkę; śmierć wydawcy przerwała to tak pożyteczne wydawnictwo. Sprawa ta obchodzi cywilizacyą całéj Rusi i byłoby bardzo dobrze, żeby *towarzystwo* nią się zajęło: tymczasem ono się tego nie ima; a pracę tę podjęło stowarzyszenie studenckie „Akademiczne bractwo,“ złożone ze studentów wyłącznie, ludzi w ogóle ubogich, którzy nie będą mogli prowadzić wydawnictwa z należytym pośpiechem. W roku przeszłym *bractwo* wydało tom 3-i Biblioteki (pisma Szaszkiewicza, Hołowackiego i Wagilewicza) i rozpoczęło nową seryę Biblioteki, seryę pisarzy nowszych. wydaniem pierwszéj części dzieł zmarłego niedawno młodego uczonego Włodzimierza Nawrockiego. Powodzenie wydawnictwa zależy naturalnie od środków pieniężnych, których bractwo nie ma i miéć nie może; zdaje się, że sejm byłby powinien przyjść tu z pomocą i wyznaczyć od siebie,

subsydyum dostateczne do wydawania dwóch tomów Biblioteki co rocznie. Sejm nie może opuścić tego przedsięwzięcia i mamy nadzieję, że nas zrozumieją i za złe nam nie będzie wzięty nacisk, jaki kładziemy na to, że interesa Polaków i Rusinów powinny być jednako ważne w oczach sejmu.

Inne znowu stowarzyszenie zorganizowało się w końcu roku zeszłego w Stanisławowie, w podobnym celu, tj. rozwijania ruchu literackiego; składa się ono wyłącznie z kobiet rusinek i nazywa się „Towarystwo ruśkich żenszczin,“ liczy obecnie w swym składzie przeszło sto osób. Trudno przewidzieć, ile ono wywrze wpływu, ale spodziewamy się, że pójdzie po dobréj drodze i trzymać się będzie dzielnie. Na czele towarzystwa stoją osoby pełne energii panie Baczyńska, Żelechiwska i Kobryńska; ostatnia znana już jest w literaturze, niedawno napisała piękną nowellę „Za dla kusnika chliba.“

Istnieje jeszcze w Galicyi dawne towarzystwo literackie „Matycia“, ale o nim wiadomo tylko, że istnieje i jest okazem „twardéj“ skamieniałości.

XXIV.

Z powodu już braku miejsca nie możemy rozpisywać się o poważnych pracach naukowych pisarzy małoruskich, jak np. etnograficzne i historyczne badania na Ukrainie: Czubińskiego, Rudczenki, profesora Antonowicza, Żyteckiego i innych, lub w Galicyi profesorów Emiliana Ogonowskiego, Izydora Szaraniewicza, Petruszewicza, Partyckiego i innych. Ale musimy wspomnieć o pracy uczonéj Eugeniusza Żelechiwskiego „Małorusko-Niemiecki Słowar;“ autor zaczął go drukować w r. 1882, śmierć przedwczesna zabrała go z tego świata 18 lut. r. b., ale wiemy z pewnością, że Żelechiwski nagromadził wszelkie potrzebne do dokończenia słownika materyały i przed śmiercią oddał je przyjacielowi profes. gimnazyum Stanisławowskiego Sofronowi Nedilskiemu, który ciągnie daléj wydawnictwo, i prawdopodobnie w r. 1886 będzie ono skończone; obecnie wydrukowano już 40 arkuszy a litera P. była już na ukończeniu za życia Żelechiwskiego.

W Rosyi nie masz zupełnie trochę porządniejszego słownika rusko-ukraińskiego; w r. 1880 historyk Kostomarów złożył petersburskiéj akademii nauk kapitał 4 czy 5 tys. rubli na ustanowienie nagrody za ułożenie słownika ukraińskiego, ale nie słyszeliśmy aby dotąd ktokolwiek przedstawił akademii pracę w tym rodzaju.

W niniejszych krótkich zarysach staraliśmy się, o ile to można było, zaznajomić czytelników z ruchem literackim ukraińskim w wieku XIX, zarówno w cesarstwie Rosyjskiem jak i Austryackiém, wskazać zasługi głównych na tém polu pracowników i zaznaczyć idee, którym oni hołdowali. Z zarysów tych rozpoznać można dwa znamiona charakterystyczne téj literatury: przedstawiciele myśli ludu małoruskiego trzymają się stale zasad narodowo-demokratycznych, a w ciągu wieku całego nie zwracali się prawie nigdy na stronę reakcyi, trzymali się drogi postępu, narówni z myślą europejską, i nadewszystko dążą do oświaty i rozwinięcia swego ludu i jego kultury. Powtóre, pomimo warunków otoczenia zgoła nieprzyjaznych, literatura małoruska rozwija się daléj w raz przyjętym kierunku, co wszystko zdaniem naszém znamionuje jéj siłę i żywotność i obiecuje jéj przyszłość świetną wśród plemion słowiańskich.

Znajomość więc literatury małoruskiéj powinna być obowiązującą w całym świecie słowiańskim, szczególniéj wśród tych Słowian, którym los historyczny kazał żyć i pracować pod jednym z Rusinami dachem i dążyć do celu wspólnego i spokojnego rozwoju kultury i oświaty wszystkich Słowian, przy równouprawnieniu narodowościowém każdego plemienia, i poszanowaniu u każdego narodowych jego odrębności.

Uważamy téż za obowiązek pism słowiańskich śledzenie za ruchem literackim małoruskim i zaznajamianie publiczności z wybitniejszemj dziełami autorów, podając o nich obszerniejsze sprawozdania lub rozbiory. Oby nasz krótki zarys ogólny posłużył za wstęp do dalszych na tém polu studyów i sprowadził za sobą szereg artykułów, któreby tłómaczyły czytelnikom polskim myśli i uczucia całéj ludności rusińskiéj.

PRZYCZYNEK DO KRYTYKI
STATYSTYKI WSPÓŁCZESNEJ.

Za punkt wyjścia dla niniejszego zarysu, a poniekąd i pobudkę do jego nakreślenia, posłużyła nam praca Giffena o polepszeniu bytu klasy robotniczéj w ostatniém pięćdziesięcioleciu: „*The Progress of the Working Classes in the last half century*", *being the inaugural address of R. Giffen. president of the Statistical Society. Session* 1883 — 1884.

Giffen należy do znanych angielskich statystyków. Jest on powagą, do któréj przy najrozmaitszych odsyłani być możemy okolicznościach. i na któréj wielu opiera swe wnioski z najzupełniejszém zaufaniem. W Anglii przedstawia on tego rodzaju znakomitość, jaką w Niemczech np. Engel, albo Young w Ameryce. Dla każdego więc, kto się zajmuje statystyką, prace jego posiadają wyjątkowy interes

Nie posądzając bynajmniéj wszystkich czytelników o szczególne w statystyce zamiłowanie, przypuszczamy wszakże, iż do pewnego stopnia mniéj więcéj zawsze może ona budzić zajęcie. Zależy to od *tego* lub *innego* jéj zadania. Statystyka, mówiąc zwięźle, po pierwsze—notuje fakta, powtóre—grupuje takowe, po trzecie—wyprowadza z uporządkowanego materyału wnioski. To—wszystko; cała jéj robota. Otóż, jeśli niejednego nie pociągają zaznaczone pojedyńczo fakta, jeśli dla niejednego obojętnym jest statystyczny materyał, jego klasyfikacya, zestawianie różnych kategoryi; jeśli suche cyfry dla wielu mają w sobie coś męczącego, nieprzezwyciężonego, odpychającego, — to uogólnienia ponętnemi są zawsze, a ponętnemi témbardziéjj im rozleglejszéj są natury: szerszy obejmują zakres wypadków, lub téż dłuższy okres czasu.

Praca Giffena nie tylko nie jest przeładowaną nadmiarem danych, ale prędzéj nawet grzeszy ich brakiem; z tego względu znużyć nikogo nie może. Wyniki zaś jéj, obejmujące znaczny okres czasu i stosujące się do poważnéj liczebnie—że tylko tyle powiemy—grupy ludności, wreszcie — co najgłówniejsza — dotyczące tak żywotnéj kwestyi, muszą chyba wywołać zajęcie.

Na Giffenie jednak nie koniec. W danym razie mieliśmy na względzie nie tyle zakomunikowanie jego rezultatów, ile podzielenie się z czytelnikiem uwagami ogólniejszéj natury, jakie nam nasunęła powyższa właśnie praca, uwagami dotyczącemi saméj metody współczesnéj statystyki, Już więc z konieczności rzeczy powtórzyć będziemy musieli przytoczone przez Giffena dane, zaznaczyć sporządzone przezeń ich uszeregowanie,— w ten tylko bowiem sposób damy każdemu najzupełniejszą możność sprawdzenia naszych kombinacyi, ocenienia naszych zarzutów. Następnie zanotować będziemy musieli nieco nowych danych, niekoniecznie zgadzających się z danymi naszego autora; ponieważ zaś z liczbą w tym wypadku tylko liczbą walczyć można skutecznie, przybędzie nam więc jeszcze cyfr nowych. W końcu, by wykazać mylność wniosków, do jakich doszedł Giffen w swoich obliczeniach, zmuszeni będziemy uciec się do nowych obliczeń, nowych obrachunków. Tak więc od cyfr zaczniemy i na nich skończymy. Ktokolwiekbądź poważnie zbadać zechce kwestyę, będzie musiał liczyć wraz z nami.

I.

Zadaniem Giffena w pracy, któréj tytuł przytoczyliśmy na początku, było porównanie bytu robotników przed pięćdziesięciu laty i obecnie.

Posługiwał się on w niéj materyałem po większéj części gotowym, zgromadzonym przez innych; sam go wszakże porządkował, z niego wyprowadzał te lub owe poglądy, na nim opierał swe wywody.

Najprostsza droga, jaką otrzymać można przybliżone o rzeczy pojęcie, jest porównanie zarobków z poprzedniego i obecnego okresu, w zestawieniu z odpowiedniemi cenami głównych artykułów spożycia.

Taką téż drogę obrał nasz autor.

Zaczyna on od omówienia, iż odpowiédź stanowcza w danéj kwestyi dziś nie jest jeszcze możliwą (1). Wiele składa się na to powodów, między innymi zaś już to samo, że robotnicy, noszący jedną nazwę w różnych okresach, rozmaite w saméj rzeczy pełnią czynności: to pociąga za sobą zmiany w zarobku, które późniéj niesłusznie odnosimy do téj saméj zawsze profesyi. Wiele przytém rodzajów pracy znikło zupełnie, wiele nowych natomiast przybyło, co wszystko utrudnia niezmiernie dokładniejsze rozwiązanie zadania (2).

---

(1) Kładziemy na to nacisk, gdyż niejednemu zdawać by się mogło, że przeciwnie, statystyka angielska pod tym względem wypowiedziała ostateczne swe słowo.

(2) Należy zwrócić uwagę na rozwój maszyn i towarzyszącą mu specyalizacyę pracy, która do gruntu zmienia charakter roboty, ustanawiając nowy kompletnie stosunek między różnemi jéj rodzajami, usuwając jedne, wprowadzając nowe i t. d.

To też rezultaty, do jakich dochodzi autor, z konieczności przybliżonemi być muszą i za takie tylko należy je uważać. — Idźmy za nim.

Porter w dziele swém *„Progress of the Nation“* daje nam następujący obraz zarobków *pięćdziesiąt* lat temu w różnorodnych gałęziach przemysłu i rozmaitych przemysłowych ogniskach:

TABLICA I.

Zajęcie	Miejsce	Zarobek tygodn. 50 lat temu	
		szylingi	pensy
Ciesielstwo	Manchester	24 *)	0
„	Glasgow (1822)	14	0
Sztukatorstwo	Manchester (1825)	24	0
„	Glasgow	15	0
Mularstwo	Manchester (1821)	24	0
„	Glasgow	14	0
Górnictwo	Staffordshire	21	8
Farbierstwo (przy tkack. rob.)	Huddersfield	16	0
Czyszczenie wełny	„	17	0
Przędzenie	„	25	6
Tkactwo	„	12	0
Osnowanie (na warszt. tkac.), składanie	„	17	0
Zwijanie na motowidła	„	6	0
Tkactwo (mężczyzni)	Bradford	8	3
Zwijanie na motowidła	„	7	9
Przędzenie (dzieci)	„	4	5

Co do zarobków *obecnych* w powyższych gałęziach przemysłu i tych samych przemysłowych punktach *„Miscellaneous Statistics of the United Kingdom“* podaje następujące cyfry:

TABLICA II.

Zajęcie	Miejsce	Zarob. tygodniowy obecny	
		szylingi	pensy
Ciesielstwo	Manchester	34	0
„	Glasgow	26	0
Sztukatorstwo	Manchester	36	0
„	Glasgow	27	6
Mularstwo	Manchester	29	10
„	Glasgow	23	8
Górnictwo	Staffordshire	34	0
Farbierstwo tkanin	Huddersfield	25	0
Czyszczenie wełny	„	22	0
Przędzenie	„	30	0
Tkactwo	„	26	0
Osnowanie, składanie	„	27	0
Zwijanie na motowidła	„	11	0
Tkactwo (mężczyzni)	Bradford	20	6
Zwijanie na motowidła	„	15	6
Przędzenie (dzieci)	„	11	6

*) 1 shilling = 12 pensom; 1 shilling = 1 fr. 25 = 30 kop. w złocie; 1 penny = 10 centim. = 2,5 kop. w złocie.

Porównywając obiedwie tablice, znajdujemy *wzrost absolutny* zarobku w każdym fachu, skąd łatwo obliczyć możemy *przyrost odsetny*. — Giffen układa nam taką mianowicie tablicę:

TABLICA III.

Zajęcie	Miejsce	Przyrost zarobku podczas 50-cioletn. peryodu — Absolutny		Odsetny
		szyl.	pensy	
Ciesielstwo	Manchester	10	0	42
"	Glasgow (60-let. per.)	12	0	85
Sztukatorstwo	Manchester (57-let.)	12	0	50
"	Glasgow	12	6	80*
Mularstwo	Manchester (61-let.)	5	10	24
"	Glasgow	9	8	69
Górnictwo	Staffordshire	12	4	50*
Farbierstwo tkanin	Huddersfield	9	0	55
Czyszczenie wełny	"	5	0	30
Przędzenie	"	4	6	20*
Tkactwo	"	14	0	115
Osnowanie i składanie	"	10	0	58
Zwijanie na motowidła	"	5	0	83
Tkactwo (mężczyzni).	Bradford	12	3	150*
Zwijanie na motowidła	"	7	9	100
Przędzenie (dzieci).	"	7	1	160

* *Uwaga*. Liczby oznaczone gwiazdką różnią się od dokładnych cyfr bardziéj niż inne: w miejsce 80 powinno być 83,33, w miejsce 50 — 56,97, w miejsce 20 — 17,64, w miejsce 150—148,48. Różnice te wobec już to ujemnéj, już dodatniéj ich wartości znoszą się wzajemnie w ogólnym przeciętnym wyniku, ale zwracają na się uwagę w pojedyńczych rezultatach; dla tego téż je notujemy.

Tablica ta rzuca nam sporo światła na interesującą nas kwestyę. Mamy tu i pracę dzieci i pracę dorosłych, pracę męzką i kobiecą (np. czyszczenie, składanie, zwijanie); mamy różne profesye, rozpatrywane w jednych i tych samych przemysłowych ogniskach, oraz jednakowe — w rozmaitych.

Dowiadujemy się z niéj, iż *przyrost absolutny* zarobku tygodniowego w zakreślonym okresie czasu waha się w granicy od 4,5 szyl. do 14 szyl., gdy *przyrost odsetny* w tym samym czasie—od 20 do 160.

Zestawiając wszystkie trzy tablice, możemy się łatwo przekonać, iż najwyższe cyfry rubryki odsetnego przyrostu (Tablica III). odpowiadają najniższym zarobkom tygodniowym przed pięćdziesięciu laty (Tablica I): przyrost 160% wypada na zarobek 4,41 szyl., 150% — na 8,25, 115% — na 12, 100% — na 7,75 i t. d.; — i odwrotnie, najniższe jéj cyfry — najwyższym ówczesnym zarobkom: przyrost 20% wypada na 25,5 (najwyższy zarobek ze wszystkich podanych w tablicy I), 24% — na 24 i t. d.

Wyczytać byśmy mogli z cyfr powyższych, bezwątpienia, o wiele jeszcze więcéj. Ponieważ jednak w pierwszéj części naszéj pracy

chcielibyśmy głównie przedstawić wnioski Giffena, odłożymy dalsze nasze uwagi do części następnéj, — témbardziéj, że on z cyfr tych czyta inaczéj, a i tak już byliśmy niedyskretni, zaznaczając stosunek między stopą przyrostu i zarobku, stosunek, którego on nie chciał dostrzedz, czy też może tylko zanotować, a o znaczeniu którego przekonamy się późniéj.

Teraz przechodzimy wraz z autorem do zarobków marynarzy, by uzupełnić poprzednie kategorye. Na nieszczęście—powiada on— nie możemy w danym razie cofnąć się daléj po za lat trzydzieści. Dla czego? — nie wiemy; gdyż u tego samego Portera, do którego wielokrotnie się odwołuje, znaleźć można potrzebny materyał.

W każdym razie tutaj podajemy przytoczone przezeń (z „*Progress of Merchant Shipping Return*“) porównanie tych zarobków z r. 1850 i obecnie. Do Porter'a wrócimy późniéj. Zarobki podajemy miesięczne, jak w oryginale:

TABLICA IV.

Miejsce	Żegluga żaglowa 1850 roku		Żegluga parowa obecnie		Przyrost zarobku		
					Absolutny		Odsetny
	szyl.	pensy	szyl.	pensy	szyl.	pensy	
Bristol	45	0	75	0	30	0	66
Glasgow	45	0	70	0	25	0	55
Liverpol (1)	50	0	67	6	17	6	33
„ (2)	50	0	85	0	35	0	70
„ (3)	45	0	60	0	15	0	33
„ (4)	40	0	50	0	10	0	25
„ (5)	42	6	60	0	17	6	40
Londyn (1)	45	0	75	0	30	0	66
„ (2)	50	0	77	6	27	6	55
„ (3)	45	0	65	0	20	0	45
„ (4)	45	0	70	0	25	0	55
„ (5)	40	0	67	6	27	6	69
„ (6)	40	0	67	6	27	6	69

W przeciągu trzydziestoletniego okresu przyrost absolutny miesięcznego zarobku waha się w granicach od 10 do 30 szylingów, gdy odpowiedni przyrost odsetny od 25 dochodzi do 70.

Z kolei autor przechodzi do robotników rolnych, a opierając się na Jamesa Caird'a „*Landed Interest*“, obrachowuje przyrost zarobku, od czasu zniesienia praw zbożowych na 60%. Ponieważ ogłoszenie wolnego handlu (a więc i zniesienie praw zbożowych), odnieść należy do 1846 i 47 roku, mamy w takim razie prawie ten sam, co w poprzednim wypadku, rezultat.

Jako ogólny wynik całego dotąd zgromadzonego szeregu faktów Giffen podaje przyrost zarobku od 50% do 100%.

Ponieważ w tym samym czasie zmniejszenie ilości pracy określić można 20% — przynajmniéj tak jest w przędzalniach, na fabrykach tkackich, na fabrykach mechanicznych, we wszystkich gałęziach budownictwa—przyrost więc zaznaczony poprzednio zwiększa się jeszcze o 20, czyli że wygrana ogólna w zarobku podczas ostatniego pięćdziesięciolecia wynosi od 70% do 120%.

Od zarobków przejdźmy do artykułów konsumpcyi.

Na pierwszym planie autor stawia pszenicę, jako zajmującą poważne w budżecie robotniczym miejsce, szczególnie zaś pięćdziesiąt lat temu.

Cena pszenicy, co w okresie od 1837 do 46 r. wynosiła średnio 58 szylingów 7 pensów za kwarter (1), w ostatnich czasach równała się 48 sz. 9 pens., czyli spadła o 17%. Tego wszakże nie dosyć. Średnie cyfry—powiada Giffen—dobre są dla rozmaitych celów; ale wiemy dobrze, jak to nieraz jedna tylko cyfra wpływa na taką, lub inną wypadkową. W kwestyach ceny artykułów żywności ma to szczególne właśnie znaczenie. Średnia cena niezbędnych środków życiowych może się utrzymywać długo na umiarkowanéj wysokości (np. od 1837 do 46 r. na wysokości 58,5 szylingów), ale w tym samym peryodzie mogą być lata, powiemy więcéj, miesiące nawet, w których cena ta wyjątkowo podskoczy w górę, a wtedy z liczb średnich nie możemy powziąć należytego o rzeczy pojęcia. Nad tém, oczywiście, niema co nawet dyskutować. Najsłuszniéj więc autor rozpatruje kilka lat z rzędu odzielnie:

W	1836	roku	najwyższa	cena	pszenicy	sięgała	36	szylingów	0	pensów
„	1838	„	„	„	„	„	78	„	4	„
„	1839	„	„	„	„	„	81	„	6	„
„	1840	„	„	„	„	„	72	„	10	„
„	1841	„	„	„	„	„	76	„	1	„
.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.
„	1847	„	„	„	„	„	102	„	5	„

Skąd widzimy, że cena pszenicy ulegała znacznym od średniéj cyfry odchyleniom, co musiało bezwarunkowo dawać się bardzo uczuwać tamtoczesnym konsumentom. Jeżeli jednak nie zadowolniły nas średnie cyfry co do okresu, z którym porównywujemy dzisiejszy, nie mogą téż zadowolnić i co do lat ostatnich. Oto zaś dane, jakie on sam komunikuje nam w téj kwestyi:

---

(1) *Quarter* = 8 buszli=290 litr.=2¼ korca nowop. (korzec nowop.=128 litr. franc.; garniec nowop. = 4 litr.).

Przy sposobności podajemy tu i inne miary, z którymi się spotkamy w ciągu téj pracy, by nie powracać już do nich więcéj.

Gallon angielski = 4,54 litr. fr. = 1,14 garncy nowopolsk.

W 1867 roku najwyższa cena pszenicy sięgała	70 szyl.	5 pens.
„ 1868 „ „ „ „ „	74 „	7 „
od 1868—77 r. „ „ „ „	70 „	0 „

Cyfr tych. jakkolwiek dość zrozumiale przemawiających, najwyraźniéj nie przyjęto pod uwagę zupełnie, gdyż nie wpłynęły one na początkowo zrobioną konkluzyę. Co prawda, spotykamy się z tego rodzaju omówieniem, iż robotnik dzisiejszy, dzięki przyrostowi jego zarobku, mógłby się oprzéć najbardziéj znacznym podskoczeniom ceny chleba daleko łatwiéj, niż robotnik z przedpięćdziesięcioletniego okresu; ale w saméj rzeczy nie nadarzała się nawet do tego potrzeba. Czy nie nadarzała się istotnie—powyższe cyfry dowodem.

Od pszenicy Giffen przechodzi do innych artykułów żywności, udzielając im mało stosunkowo miejsca. Przytaczamy w całości jego dane:

TABLICA V.

	1839—1840		Obecnie	
	szylin.	pensy	szylln.	pensy
Cukier . . . . . (centnar ang.).	68	8	21	9
Materya bawełniana . . . (yard).	—	5 3/8	—	3 1/4
	(1840)		(1882)	
Nizki gatunek wołow. (8 ft av. du p.)	3	1	4	3 3/4
Średni	3	6	4	9 3/4
Lepszy	3	11 3/4	5	7 1/2
Nizki gatunek baraniny	3	5	5	7
Średni	3	10 1/4	6	1 1/4
Słonina	4	3 1/2	4	6

Gdy więc cena cukru znacznie spadła w przeciągu zakreślonego czasu, gdy materye bawełniane staniały także. „tylko“ jedno mięso podrożało. Autor i tu pociesza się tém wszakże, iż rodzaj mięsa (?) dostępny dla robotnika przed pięćdziesięciu laty („*bacon*“—słonina) podrożał bardzo niewiele.

Wogóle przyjąć można — powiada on w dalszym ciągu — że wszystkie potrzebniejsze rzeczy przez ten czas staniały. Jedno, co niewątpliwie znacznie się w cenie podniosło, to—mieszkanie.

W 1834 r. wartość roczna mieszkań opłacających podatki wynosiła 12.603.000 funtów sterlingów; podatkom podlegały w Wielkiéj Brytanii wszystkie mieszkania droższe nad 10 fun. ster. W 1881 do 1882 r. wartość ta podniosła się do 56,885,000 fun. ster., mianowicie: 39,845,000 funt. ster. — wartość mieszkań opłacających podatki, t. j.

droższych nad 20 funt. sterl. i 17,040,000 f. st.—wartość mieszkań od 10 do 20 funtów. Ludność Wielkiéj Brytanii w tym samym okresie prawie że się podwoiła: w 1831 r. było 16,500,000, w 1881 r. blisko 30,000,000. Komorne jest wyrazem wartości mieszkania. Jeśli komorne, pobierane od szesnastomilionowéj ludności, w sumie wynosiło w 1834 r. dwanaście milionów funtów sterlingów, to od ludności dwa razy większéj w 1881 r. przyniosłoby dwa razy tyle, czyli dwadzieścia cztery miliony f. st., gdyby rzeczy nie zmieniły się zupełnie. Ponieważ w miejsce 24,000,000 (dokładnie—25,206,000 f. st.) otrzymaliśmy 56,885,000, oczywiście więc trzydziestomilionową tę nadwyżkę odnieść należy na koszt podrożenia mieszkań. Trzydzieści dwa miliony przyrostu na dwudziestopięciomilionową sumę stanowi mniéj więcéj 130% (1). Wziąwszy pod uwagę inne jeszcze dane, wypadnie ostatecznie, iż komorne w przeciągu pięćdziesięciu lat podniosło się półtora raza, t. j. na 150%. Innemi słowy robotnik, co płacił ongi 5 szylingów, obecnie płacić musi 12,5 sz.

Cały zarobek robotniczy podnosił się — jak twierdzi Giffen — podczas gdy oprócz komornego, rozmaite niezbędne artykuły nie tylko nie podrożały, ale owszem, staniały. Przyjmijmy, iż komorne, co zajmowało czwartą część całego budżetu wydatków, podniosło się o półtora raza, a będziemy mieli taki stosunek:

TABLICA VI.

	50 lat temu		Obecnie		Nadwyżka *		
					Absolutna		Odset.
	szyl.	pen.	szyl.	pen.	szyl.	pen.	
Zarobek	20	—	40	—	20	—	100
Komorne	5	—	12	6	7	6	150
Zostaje na inne wydatki	15	—	27	6	12	6	83

* *Uwaga.* Oddzielamy ostatnią rubrykę, jako nieistniejącą w oryginale; jest ona zresztą najprostszém tylko jego uzupełnieniem.

(1) Z samego tylko wzrostu ogólnéj sumy komornego nie moglibyśmy wnosić o wysokości podrożenia mieszkań, nie wiedząc przytém, jak się zmieniła ich ilość i wielkość. Ponieważ jednak Giffen przypuszcza w swych obliczeniach, iż ilość mieszkań rośnie proporcyonalnie do ludności, a stosunek tego rodzaju jest więcéj niż wygórowanym, gdyż, jak wiadomo, kwestya mieszkań robotniczych (zarówno robotników miejskich jak wiejskich) coraz groźniéj występuje na porządek dzienny, — wnioski więc jego nie są bynajmniéj przesadne w tym razie.

Koniec końców, porównywując zarobki przed pięćdziesięciu laty i obecnie, zestawiając je z niezbędnemi ówczesnemi i dzisiejszemi wydatkami, autor dochodzi do przekonania, że stan robotnika niezmiernie się polepszył, innemi słowy — dochód jego podniósł się o 80 do 100%.

* * *

Z kolei Giffen zadaje sobie pytanie: Czy też klasa robotnicza skorzystała na równi z innemi z rozwoju materyalnego bogactwa?

Ponieważ mowa idzie ciągle o pięćdziesięcioletnim okresie, nie będziemy więc już nawet tego dodawać, rozumiejąc to samo przez się.

W raporcie przedstawionym kilka lat temu w Towarzystwie Statystycznem (*The Recent Accumulations of Capital in the United Kingdom*) (1), doszedł autor do tego wniosku, iż w przeciągu lat dziesięciu od 1865 — 1875 kapitał narodowy Zjednoczonego królestwa wzrósł o 40%, co stanowi 27% na głowę, zważywszy na odpowiedni przyrost ludności.

	Całkowity kapitał	Kapitał w nieruchom.	Kapitał w ruchomośc.
1865 r. . .	121,6 miliardów szyl.	— 64 miliar. szyl.	— 57,6 miliard. szyl.
1875 r. . .	170,4 „ „	— 76,8 „ „	— 93,6 „ „
Przyrost odsetny .	40	20	62

Jeżeli cofniemy się daléj jeszcze, do 1843 r. np., a o kapitale sądzić będziemy z dochodu podległego podatkowi dochodowemu (*income tax*),—ponieważ ten ostatni z 280 milionów funt. ster. wzrósł do 577 milionów (od 1843 do 1875 r.), t. j. podniósł się o 100 procent, kapitał więc w tym peryodzie zwiększył się w tym samym stosunku (2). Stopa przyrostu wzmogłaby się jeszcze, jeśli w miejsce 280 milionów użylibyśmy cyfry, jaką podaje autor w jednéj z prac swych poprzednich; tam bowiem oblicza on cały dochód podległy podatkowi na 250 milionów tylko.

Rozszerzając daléj granice okresu, w którym badamy przyrost kapitału, otrzymywać będziemy coraz to większe dla tego ostatniego cyfry.

Podajemy za Giffenem tablicę, sporządzoną dla czterdziestoletniego prawie okresu, z uwzględnieniem pojedyńczych kategoryi, jakie się składały na ogólny przyrost.

---

(1) Pracę tę znajdujemy w *Journal of the Statistical Society*, 1878 r.

(2) W Irlandyi podatek dochodowy wprowadzono 1853 r., tak, że na rezultat ogólny oddziaływuje ona od tego dopiero czasu.

TABLICA VII.

Dochód od kapitału i zarobki, podlegające podatkowi dochodowemu (w milionach funt. sterl., 000,000 opuszczone, t. j. 10 = 10,000,000).

	1881		1862		1843	
	Doch. od kapitału	Zarobki	Doch. od kapitału	Zarobki	Doch. od kapitału	Zarobki
Kategorya *A*.						
Ziemie, wyłączając zabudowania . . .	70,	—	60,	—	57,	—
Domy, zabudowania	117,	—	62,	—	41,	—
Kategorya *B*.						
Kapitał rolny i zarob.	25,	44,	22.5,	38.5,	20,	36,
Kategorya *C*.						
Fundusze publiczne	40,	—	29,	—	29,	—
Kategorye *D* i *E*.						
Kopalnie, fabryki, koleje żelazne, etc. .	155,	133,	79,	69,	41.5,	57.5,
Razem . .	407,	177,	252.5,	107.5,	188.5,	93.5,

Skąd widzimy, że cały dochód opodatkowany (czy to w formie zarobku, czy to renty, czy zysku) wynosił 282,000,000 funt. sterl., w r. 1843, w 1862 r.— 360 milionów, a w 1881 r. — 584 miliony f. st. Dochód zaś kapitalistów w pierwszym razie wynosił 190 milionów prawie, w drugim—250, w trzecim—400 mil. f. st.

Myliłby się wszakże absolutnie — powiada p. G. — ktoby przypuszczał, że kapitaliści dużo na tém zyskali. Jeżeli rozpatrzymy zwiększenie się ich liczby, również jak jednoczesne zwiększenie się ogólnéj sumy majątków, dojdziemy do tego wniosku stanowczo, że udział ich, pojedyńczo, w całym przyroście dochodu nadzwyczaj był małym.

Na poparcie tylko co wypowiedzianego zdania autor ucieka się do porównania ilości sukcesyi i ich względnéj wartości w 1838 i 1882 roku:

TABLICA VIII.

	Ilość sukcesyi		Całkowita ich wartość		Srednia wartość jednéj	
	1882 *)	1838	1882 *)	1838	882 *)	1838
			funtów sterl.	funtów sterl.	fun. st.	fun. st.
Anglia	45,555	21,900	118,120,961	47,604,755	2,600	2,170
Szkocya	5,221	1,272	13,695,314	2,817,260	2,600	2,200
Irlandya.	4,583	2,196	8,544,579	4,465.240	1,96c	2,000
Zjedn. Królestw. .	55,359	25,368	140,360,854	54,887,255	2,500	2,160

*) Patrz „*Special Report of Commissioners of Inland Revenue.*"

Ten olbrzymi przyrost własności: 86 milionów (140—54 mil.) na 54 m., przyrost, równający się 150 z górą od sta, powinien by pociągnąć za sobą zwiększenie dochodu nie już o 220 milion. (407 mil. w 1881—188 mil. w 1843 r. = 220), ale przynajmniéj o jakie 620 milionów — woła w zapale Giffen.

Ilość majątków dziś przewyższa podwójną liczbę ich w r. 1838 (55 tys. i 25 tys.), a przyrost ten przewyższa stanowczo przyrost w tym samym czasie ludności; to też średnia ich wartość podniosła się o *15 zaledwie* procent: 300 funt. sterl. (2,500—2,160) na 2,160 fun.

Opierając się na wszystkich powyższych danych i rachując ogółem dochód obecny na 1,200 milionów funtów, mamy następujący rezultat:

TABLICA IX.
(w milionach funtów).

	Dochód w 1843 roku	Dochód obecny	Przyrost	
			Absolutny	Odsetny
Kapitalistów od kapit. . .	190*	400*	310	**110**
Zarobek opodatkowany . .	90*	180*	90	100
Zarobek nieopodatkowany.	235	620	385	**160**
	515	1,200	685	130

* *Uwaga.* Liczby te są zaokrąglone 188, 407, 93 i 177.

Gdy przyrost odsetny kapitału równa się 110, przyrost zarobku wynosi 160%. Dla uzupełnienia tego dodać jeszcze tylko należy poniższe obliczenie:

TABLICA X.

	1838	Obecnie	Przyrost	
			Absolutny	Odsetny
	milion. fun.	milion. fun.	milion. fun.	
Całkowity kapitał * . . .	55	140	85	**155**
Wartość jednego majątku *	2,200	2,500	300	**14**

* *Uwaga.* Wszystko to stosuje się do tablicy VIII. „Całkowity kapitał“ nie oznacza *całego* kapitału Zjednocz. królestwa, ale tylko kapitał, o którym poprzednio (Tablica VIII) była mowa. Ponieważ chodzi nam tutaj o *stosunek* jedynie, i z cyfr powyższych osiągnąć go możemy.

Przechodzimy do konkluzyi.

Ze wszystkiego wypada—twierdzi Giffen—iż dochód klasy robotniczéj wzrósł bardziéj, aniżeli kapitalistów.

Gdy przyrost odsetny dochodu pierwszéj wynosi 160%, dochód kapitalistów podniósł się tylko o 100% (Tabl. IX wskazuje nam co prawda 110), chociaż kapitał zwiększył się o 150%. W tym samym czasie klasa kapitalistów zwiększyła się o tyle, że przyrost kapitału na głowę wypada 14%.

„Bogaci“ stali się liczniejsi, ale—nie bogatsi pojedynczo; „biednych“ zaś mniéj jest niż przedtém, a i ci, co pozostali „biednymi,“. średnio mają się dziś dwa razy lepiéj niż przed pięćdziesięciu laty Na korzyść biednych przypadł prawie cały rezultat postępu materyalnego.

II.

„Biednemu przypadła w udziale prawie cała korzyść z materyalnego za ostatnie lat pięćdziesiąt postępu.“

Dixit... Powiedział... ani się zająknął...

Nie mało jednak trzeba było śmiałości, nie mało cywilnéj odwagi, by z wysokości wyroczni, ze stanowiska nieomylnego augura rzucić światu taką *nowinę*!...

Dotąd bowiem, chociaż różnie mówiono, nie posuwano się wszakże nigdy tak daleko. No... ale... niby zawsze... ktoś pierwszy... początek zrobić musi...

Dotąd nawet tacy zwolennicy dzisiejszych stosunków, jak Fawcett, Godkin, Atkins, Grey, Cairnes, odzywali się w danéj kwestyi niekoniecznie z największym zachwytem, ze względu na robotnika właśnie; Giffen, przeciwnie, niby ubolewa nad losem nieszczęśliwych angielskich kapitalistów.

„Życie robotników rolnych—powiada w jedném miejscu Fawcett, jest nieustannym zabiegiem o zarobki, które ledwo... ledwo zabezpieczyć im mogą zadowolenie najniezbędniejszych potrzeb. Żadnéj nadziei wyjścia; praca nie broni ich nawet, w razie wypadku, od przymusowego żebractwa... Mężczyzni, kobiety i dzieci, tworzący ludność, uprawiającą wielkie obszary wysoko zagospodarowanéj ziemi, żyją w takich warunkach, jak gdyby najstraszniejsze gwałty niewolnictwa powstały przeciw nim w dziewiętnastym wieku... Mało jest robotników, coby pod wielu względami w takiém żyli ubóstwie, jak angielscy robotnicy rolni. Są oni tak strasznie biedni, że, gdyby jutro zostali niewolnikami, we własnym interesie ich panów byłoby karmić ich lepiéj, niż karmią się dziś sami“... Courcy Atkins jest zdania („*Case of Ireland stated*“), iż nigdzie produkujący niewolnik nie otrzymywał tak małéj części swych produktów jak nominalnie wolny irlandzki robotnik, albo drobny fermer. Pr. Cairnes pisze („*Some*

leading questions of Political Economy nenly expounded“ p. 338):—Zjednoczonymi siłami pracy i kapitału możemy dziś produkować w wielu gałęziach przemysłu pięć, dziesięć, dwadzieścia, nawet sto razy więcéj, aniżeli sto lat temu. Tymczasem co do stopy zarobków... ta prawie nie wzrosła... świat bezwątpienia jest bogatszym... ale wzrost bogactwa krajowego nie poszedł na korzyść zarobku... „Przed stu laty jeszcze—czytamy w *First Report of the Womes and Children's Employment Commission* 1868—robotnik rolny w daleko lepszych był warunkach; zarobek jego dawał mu więcéj daleko na ówczesne potrzeby życia, renta była niższą, odzienie—tańsze, pomieszkanie—tańsze itd.“ Możnabyłoby przytoczyć wiele podobnego rodzaju poglądów ze strony ludzi, niemających, zdaje się, najmniejszego interesu w fałszywém przedstawianiu rzeczy. Giffen widzi wszystko, w zupełnie odmiennném świetle. Optymistyczne zaś wnioski swoje opiera na przytoczonym powyżéj materyale.

By się przekonać o słuszności tych, bądź co bądź, niezmiernie ciekawych wywodów, przyjrzyjmy się dobrze, od początku do końca, procederowi, według którego je osiągnięto.

Jak już nam wiadomo—z pierwszych czterech tablic autor nasz wyciągnął wniosek, że zarobki podniosły się, w przeciągu ostatnich lat pięćdziesięciu, o 50 do 100 procent, albo, jak często się wyraża, poprostu o *100* procent, co dosadnie widać w zakończeniu pierwszego oddziału części pierwszéj.

Przeciętna odsetnego przyrostu zarobków tablicy III-éj jest—73% (1171 : 16 = 73); taka przeciętna tablicy IV-éj—52% (681 : 13 = 52); odsetny, przyrost zarobku robotników rolnych równa się 60%. Średnia liczb powyższych daje nam *65%* to jest $\left(\frac{73 + 52 + 60}{3}\right)$, co już znacznie się różni od przeciętnéj Giffena. Wyrażając się nawet inny sposób, powiedziéćbyśmy musieli, iż przyrost ten waha się od 52% do 73%, albo od 50% do 75%, ale nie do 100%.

Idźmy daléj.

Od pierwszéj chwili nie mogła się nam nie rzucić w oczy wysoka stosunkowo cyfra ostatniego szeregu tablicy III-éj, wyrażająca odsetny przyrost zarobku dzieci. Sto sześćdziesiąt—o tém bowiem mówimy—przewyższa znacznie liczbę średnią odsetnego przyrostu. Łatwo zaś przekonać się możemy, w jaki sposób oddziaływuje ona na ogólny rezultat. Usuwając ją z poprzedniego rachunku, otrzymamy *60%* w miejsce 65%, a to na téj prostéj zasadzie, że (1171—160) : 15 = 67, a (67+52+60) : 3=60.—Wprowadzanie jednéj takiéj kategoryi, jak widzimy, podnosi o *pięć* stopę przyrostu w *dwudziestu ośmiu* innych kategoryach. Oznaczając przyrost granicami 50% do 70%, mielibyśmy takąż samą różnicę.

Jeżelibyśmby wzięli następnie przyrost odsetny zarobku tkaczy bradfordzkich (tabl. III), zobaczylibyśmy także, iż wprowadzenie téj kategoryi podnosi o *trzy* co najmniéj stopę ogólną. Usuwając ją z rachunku, otrzymamy *57%* w miejsce 60%, a to dlatego że (1011—150) : 14 = 61 a (61 + 52 + 60) : 3 = 57. Granicami przyrostu będą 50% i 64%.

Odrzucając najwyższe cyfry przyrostu odsetnego, to jest 160 i 150, braliśmy wszakże w rachubach cyfry najniższych to jest 20 i 24. Otóż usuńmy je z kolei, a otrzymamy w takim razie zamiast 57%, cyfrę daleko wyższą 68%, ponieważ [861—(20 + 24)] : 12 = 68; ta zaś wraz z cyframi, wyrażającemi odsetny przyrost zarobku robotników rolnych i marynarzy, da nam *60%* za przeciętną odsetnego przyrostu zarobków wogóle, gdyż (68 + 52 + 60): 3 = 60.

Porównajmy atoli bliżéj odrzucane kategorye. Otóż: 1°) Pierwsze dwie przewyższają średnią cyfrę odsetnego przyrostu zarobków (73%) o 77 i 87, dwie zaś ostatnie—o 49 i 53; 2°) Pierwsze dotyczą zarobków najniższych, ostatnie zaś—zarobków najwyższych poprzednio i obecnie; mianowicie: przyrost 150% wypada na zarobek 8.25 szyl. tygodniowo, czyli *2 r. 75* kop. w złocie, przyrost 160% wypada na zarobek 4.41 szyl., czyli *1 r. 32* kop. zł., gdy przeciwnie, przyrost 24% wypada na zarobek 29,83 szyl., a przyrost 20%—na zarobek 30 szyl. tygodniowo, czyli na *8 r. 94* kop i *9 r.* zł. tygodniowo. Oczywiście więc jest różnica pomiędzy odrzuconymi przez nas kategoryami: gdy ostatnie odskakują od przeciętnéj trochę więcéj niż o połowę, dwie pierwsze odchylają się od niéj więcéj niż o drugie tyle, a do tego przypadają na najlichsze nawet i obecnie zarobki. Są to kategorye iście „wyjątkowe.“ Jako takie moglibyśmy je usunąć z obrachunku niezależnie od innych, jak np. 20% i 24%. Nie robimy wszakże tego i pozostawiamy wyżéj otrzymaną przeciętną *60*. Wyrażając ten sam przyrost granicami, w których mógł się on wahać, będziemy mieli 50—70.

Nie mówimy już o wątpliwéj, a jak się przekonamy późniéj, fałszywéj liczbie 60, ktorą Giffen bierze za stopę przyrostu zarobków rolnych, a która utrzymuje ogólną przeciętną na wyższym poziomie; ale *60%* to nie *73%*, a granica 50—70 to nie 50—100. A jakże to łatwo p. G. poprostu, dla zaokrąglenia, w miejsce 73% mówi 100%! Wtedy różnica jeszcze lepsza.

Że cyfra *60%* przedstawia nam rzecz słuszniéj od cyfr ostatnich, nie potrzebowalibyśmy tego dowodzić; zatrzymujemy się nad tém jedynie ze względu na błąd metodologiczny, któremu przypisać należy tę różnicę, na błąd w sposobie grupowania materyału, jeśli nie tendencyjne jego naciąganie.

Zanalizujmy parę tych kategoryi, co przyczyniają się prawie jedynie do tak wysokiéj, jaką nam Giffen podaje, stopy przyrostu zarobków.

Najprzód więc — zarobek dzieci.

Kategorya ta (przędzenie dzieci — Tabl. I, II i III) co najmniéj dla dwóch względów jest nie na miejscu: 1° — jako wyjątkowa, 2° — jako z innymi niejednoimienna. „Wyjątkową“—nazywamy ją dla tego, iż we wszystkich możliwych gałęziach pracy znaleść możemy zaledwie kilka podobnych przykładów, przykładów podobnie wielkiego przyrostu; „niejednoimienną“ — gdyż pracy dzieci z pracą dorosłych mieszać niepodobna, gdzie chodzi o jaką taką dokładność. Otóż, jako wyjątkowa i niejednoimienna, kategorya powyższa niema w pośród nich racyi bytu. W imię dokładności mamy najzupełniejsze prawo do jéj usunięcia. Są jeszcze i inne do tego podstawy, ale o nich potém (1).

Od zarobku dzieci przejdźmy do zarobku tkaczy bradfordzkich (zawsze tabl. I, II i III). Przyrost odsetny w zarobku tych ostatnich o mało co się różni od przyrostu w zar. pierwszych. Kategoryę tę możemy nazwać „wyjątkową,“ ale jest ona z innymi „jednoimienną.“ Jeśli dla pierwszego względu możemy ją postawić obok poprzedniéj, to z drugiego różni się od niéj. Do pewnego więc stopnia zająć by ona mogła wpośród innych miejsce, gdyby... gdyby nie nowy w danym razie powód. Jeśliby nam chodziło jedynie o wykaz przyrostu zarobków, o wykaz stopy tego przyrostu, a!.. to dobrze... „Sto sześćdziesiąt!.. sto pięćdziesiąt!..“ powiadamy i mamy najzupełniejszą racyę... Ale tu o coś więcéj chodzi; tu chodzi o uprzytomnienie sobie położenia pewnéj klasy społecznéj. Giffen z cyfr tych o niém właśnie sądzi... Z tych „stusześćdziesięciu“, „stupięćdziesięciu“ i t. d. decyduje on o polepszeniu się jego w dwójnasób—nawet wobec dwudziestoprocentowych tylko przyrostów zarobku w wielu gałęziach przemysłu. Trzeba z konieczności przyjrzéć się bliżéj tym cyfrom. Z tablicy I i II widzimy, że tkacze bradfordzcy, co ongi zarabiali ty-

---

(1) Ktoś mógłby zauważyć, iż wykluczając pracę dzieci z obliczeń, dotyczących zarobku robotników wogóle, należałoby wykluczyć i pracę kobiet. Słusznie. Tylko w danym razie nie wywarłoby to żadnego wpływu na rezultat ostateczny, o czém łatwo się przekonać, wziąwszy pod uwagę, iż zarobki kobiece podniosły się w danym okresie już to o 30% (czyszczenie wełny), już to o 58% (składanie), już o 83%, albo 100% (zwijanie na motowidła), czyli średnio podniosły się o 68%, to jest jak raz o tyle, ile wypadło z naszych własnych obliczeń. Czytelnik więc zrozumie, dlaczego nie zadawaliśmy sobie trudu wykluczenia kategoryi, nie oddziaływających wcale na ostateczny wywód.

godniowo 8 szyl. 3 pensy, dziś zarabiają 20 sz. 6 pen.; zarobek ten mniejszym jest o 11 szyl. od średniego dzisiejszego zarobku, nawet jeśli będziemy brać pod uwagę zarobek dzieci. Średni zarobek równa się 31 sz. 3 pen.; 20 sz. 6 pen. stanowi dwie trzecie jego, a zarobek taki nazwać musimy nizkim. *Chociaż więc przyrost liczyć trzeba na 150, ale zarobek jak był, tak i dziś jest nędznym.*

Jeśli czytelnik zechce sobie przypomnieć, na samym wstępie zaznaczyliśmy w kilku słowach stosunek między stopą przyrostu i wielkością zarobku. O znaczeniu tego stosunku mieliśmy się dowiedzieć później. Wróćmy właśnie teraz do niego. Przyrost 160% — pisaliśmy w tamtém miejscu—wypada na zarobek 4.41 sz., 150%—na 8.25, 115%—na 12, 100%—na 7.75. Innémi słowy: ten, co zarabiał przed pięćdziesięciu laty 4 szyl. 5 pen. tygodniowo, zarabia dzisiaj 11 sz. 6 pen.; ten, co zarabiał przedtém 8 sz. 3 pen., zarabia dzisiaj 20 sz. 6 pen.; ten, co zarabiał 12 sz., zarabia 26 sz.; a ten, co zarabiał 7 sz. 9 pen., zarabia 15 sz. 6 p. Wszystkie te zarobki: 11 szyl. 6 pen., 20 sz. 6 pen., 26 sz., 15 sz. 6 pen. — wszystkie bez wyjątku niższe są od średnich, a niższe znacznie, bo średnio prawie o połowę. I cóż widzimy? *Te nędzne absolutnie zarobki wprowadzają do rubryki odsetnego przyrostu najpokaźniejsze cyfry! Piętnastoszylingowy* tygodniowy zarobek wprowadza do niéj całą *setkę*, *dwudziestoszylingowy—sto pięćdziesiąt*, a *jedenastoszylingowy* zarobek dzieci—*sto sześćdziesiąt.* Giffen zaś namiętnie cyfry te pochwytuje i, zmięszawszy z pięćdziesiątkami, czterdziestkami, trzydziestkami, ba! nawet *dwudziestkami*, podaje nam *setkę*, jako ogólny wynik. Tym sposobem z najlichszych zarobków czerpiemy argumenta, otrzymujemy dowody na korzyść polepszenia się bytu klasy pracującéj!.. Czyż metoda Giffena nie do tego nas prowadzi, że właśnie z nędzy wnosimy o bogactwie? z nędzy jednych — o bogactwie drugich? Gdyby téż jeszcze tak przynajmniéj było, gdyby z nędzy *jednych* kazała nam ona wnosić o bogactwie *drugich*, nieraz nie omylilibyśmy się na pewno, ponieważ właśnie między tymi „jednymi“ i „drugimi“ może istnieć podobna zależność wskutek sprzeczności interesów, antagonizmu klasowego, walki o byt, etc.; — ale tutaj chodzi o to, że z nędzy jednych i tych samych mamy wnosić o rosnącym ich dobrobycie: lichy jakiś zarobek bradfordzkiego tkacza—w rozumowaniu Giffena — wzbogaca całą robotniczą klasę, a lichszy jeszcze zarobek dziecka, bogaci je jeszcze silniéj. Do takich nonsensów doprowadzić nas może jedynie zła metoda, lub téż brak jéj zupełny, jeśli nie tendencyjne—jakeśmy to już przedtém wspomnieli—fałszowanie. To ostatnie wreszcie również w parze iść musi z metodologicznemi wykroczeniami.

Po tém, cośmy dotąd powiedzieli, jasném zdaje się być zupełnie, dlaczego wniosek Giffena co do stopy przyrostu zarobku uważamy za bezzasadny. Z uporządkowanego należycie własnego jegoż materyału wypada co najwyżéj 70%, jako przyrost za cały okres od r. 1830, ale nigdy nie 100%.

Na tém jednak nie koniec

Materyał powyższy grzeszy brakiem niezbędnych danych do jakiegobądź poważniejszego wniosku. *Z kategoryi, zawartych w pierwszych czterech tablicach, o żadnym ogólnéj natury wywodzie nawet myśléć niepodobna.*

Tak naprzykład *pominięte są* w nich zupełnie wszelkie *ilościowe stosunki.*

Dla przekonania się zaś, jaką tu mogą one grać rolę, będziemy musieli zwrócić się do małego obrachunku.

(*Dok. nast.*). *Kazimierz Sosnowski.*

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE

Postęp, szczęście i przewroty społeczne. Chłodne uwagi o palących kwestyach, napisał Władysław Michał Dębicki. Warszawa, Księgarnia E. Wendego i S-ki, 1885.

Broszura powyższa jest odbitką szeregu artykułów, drukowanych w roku bieżącym w warszawskiéj *Niwie*. Pod względem treści rozpada się ona na dwie odrębne części. W pierwszéj autor występuje jako zdecydowany pesymista, w drugiéj nagle przedzierzga się w optymistę, patrzącego na rzeczy tak różowo, iż nawet „żebrak, pomiotło, rzucone przez wichry życia pod próg świątyni" wydaje mu się „postępowcem *prawdziwym*," „bo to może bohater pokuty i męztwa (!), a w każdym razie, mimo doli rozpacznéj, nie—samobójca." Cudownéj téj przemiany stanowiska, jak zwykle wszelkich cudów, dokonywa w p. Dębickim wiara, wiara we wszechstronną a dobroczynną potęgę chrześciaństwa. Lecz przyjrzyjmy się bliżéj argumentacyi autora!

Przedewszystkiém, powołując się na zdania statystyka, Haushofera, twierdzi on, iż postęp umysłowy i materyalny nie tylko nie zwiększa sumy szczęścia ludzkiego, lecz przeciwnie zdaje się na nie oddziaływać ujemnie, z biegiem cywilizacyi bowiem liczba przestępstw wszelkiego rodzaju, a zwłaszcza procent samobójstw, „mogący służyć za termometr nieszczęścia," ustawicznie wzrasta. Ponieważ p. Dębicki wszystkie, przytaczane przez się twierdzenia wymienionéj powagi statystycznéj podaje nago, pomijając zupełnie cyfry, na których one zostały oparte, więc czytelnik musi wnosić, że są to wszystko prawdy naukowe, oparte na zupełnie pewnych danych i żadnéj wątpliwości niepodlegające. Tymczasem rzeczy mają się wprost przeciwnie. Z jednéj strony bowiem statystyka jest nauką tak młodą, iż do dziś dnia jeszcze pod wieloma względami nie zdołała zgromadzić dostatecznéj ilości materyału, by mogła wyprowadzać z niego wnioski zupełnie pewne, z drugiéj—większość zjawisk społecznych, a nadewszystko fakty z dziedziny moralności są wytworem tak wielu czynników rozmaitéj natury, iż dokładne określenie tych ostatnich w każdym danym wypadku przedstawia bardzo wielkie, często nawet nieprzezwyciężone, trudności; przypisywanie zaś całego szeregu bardzo złożonych zjawisk działaniu jednéj tylko przy-

czyny, lub bodaj—jednéj kategoryi przyczyn, jak to czyni autor, zwalający wszystkie ujemne przejawy życia społecznego dzisiejszéj doby na karb osłabienia religijności i materyalistycznego kierunku nauki, zdradza grubą nieznajomość przedmiotu, lub stronnicze zaślepienie. Ten sam Haushofer, ktory posłużył autorowi za jedyne źródło wiedzy statystycznéj, na każdym kroku ciągle się zastrzega, że materyał, na jakim się opiera, jest niedostateczny i niepewny, a zarazem nadmienia, iż w kwestyi wpływu oświaty na moralność zdania rozmaitych uczonych dyametralnie się różnią (str. 364). Nie przeszkodziło to jednak p. Dębickiemu podać za pewnik twierdzenia, że „liczba przestępców, posiadających wyższe wykształcenie, w ostatnich latach kilkudziesięciu zdwoiła się prawie.“ Zdanie to u Haushofera nie brzmi bynajmniéj tak ogólnie i stanowczo jak u autora, gdyż czytelnik ma tam przed oczyma tablicę, której niedostateczność musi go uderzyć na pierwszy rzut oka. Podczas bowiem gdy pierwszy szereg jéj danych przedstawia cyfry przeciętne za lat 25 (od r. 1826--50), drugi, dający właśnie tak niekorzystny wynik dla wyższego wykształcenia, wzięty jest wyłącznie z jednego roku (1860), nie upoważnia więc do żadnych wniosków. Tendencyjność p. Dębickiego lepiéj jeszcze uwydatni nam fakt, iż na téj saméj stronnicy dzieła Haushofera (365) znajduje się tablica, wykazująca, iż liczba przestępców, posiadających pewne wykształcenie, wzrasta daleko *wolniéj*, aniżeli liczba ludzi oświeconych wogóle.

Skąd autor powziął wiadomość, iż liczba rozwodów ciągle wzrasta—nie wiemy. Haushofer nic o tém nie mówi. Choćby jednakże nawet tak było, to należałoby to objaśniać raczéj wzrostem łatwości otrzymania rozwodu, aniżeli zwiększeniem się ilości małżeństw nieszczęśliwych, boć niepodobna przypuścić, żeby ludzie mieli dziś być bardziéj niezgodni, niż dawniéj, dlatego że nauka weszła w kolizyą z religijnemi podaniami. Jeżeli zaś stosunek małżeństw nieszczęśliwych nie uległ zmianie, a liczba rozwodów pomimo to wzrosła, to suma ludzkiego nieszczęścia zmniejszyła się, gdyż rozwiedzeni małżonkowie przestali się dręczyć a nawet mogli znaleść lepsze pożycie w nowych związkach. Fakt, że „rozwody pomiędzy ludźmi wyżéj wykształconymi są daleko częstsze, niż w klasach niższych,“ objaśnia się bardzo łatwo tém, że pierwsi są zamożniejszi od drugich, a rozwód dużo kosztuje.

Wzrost liczby samobójstw stanowi bezwątpienia ciemną stronę cywilizacyi naszéj, niepodobna jednakże pokuszeń na własne życie uważać za „termometr nieszczęścia“ wobec tego, że u narodów zamożnych procent samobójstw daleko jest większy, niż u biednych. I tak, na milion ludzi przypada przeciętnie samobójstw:

w	Skandynawii	126
w	Niemczech	112
we	Francyi	105
w	Anglii	65
w	Rosyi	28
we	Włoszech	20
w	Portugalii	7 (*Haushofer*, str. 369)

Według założenia autora z cyfr tych należałoby wnosić, że pogrążony w ostatniéj nędzy lud włoski jest daleko szczęśliwszy, niż zamożni chłopi norwegscy, lub Francuzi i Anglicy.

„Niemałéj wagi argumentem, że w naszych czasach postęp nie przysparza bynajmnié wesela społeczeństwom ludzkim, jest, zdaniem p. D., rozwój ponurego pesymistycznego na świat poglądu, stanowiący wyróżniającą cechę XIX stulecia.“ Nie da się zaprzeczyć rzeczywiście, że w wieku naszym wielu poetów i myślicieli sadzami świat malowało, lecz małoż im można przeciwstawić równie głośnych imion optymistów? Czyż nie słuszniéj za cechę naszego stulecia można by było uważać właśnie optymistyczną wiarę w potęgę geniuszu ludzkiego, który już tyle dokazał i tak wiele jeszcze dokazać obiecuje? Wszakże nawet dzisiejsze niezadowolenie klas upośledzonych bierze głównie źródło w téj właśnie ufności; nie występuje ono w postaci rozpaczy beznadziejnéj, lecz przejawia się w pragnieniu dalszéj poprawy stosunków, w dążeniu do osiągnięcia możliwie największego dobrobytu. Czyż więc wobec tego wyrzekania jakichś kilkunastu przesyconych roskoszą sybarytów mogą być uważane za dowód rozwoju „ponurego pesymistycznego poglądu na świat“ wśród społeczeństw cywilizowanych?

Że telegramy przynoszą nam dzisiaj „hiobowe wieści o wojnach, rabunkach, mordach epidemiach, powodziach, trzęsieniach ziemi, katastrofach i klęskach,“ to tylko dowód, że obecnie służy ludzkości jedna więcéj siła natury, która dawniéj jéj tylko szkodziła.

Dowodzenie jednak, że jest źle, nie zadawalnia jeszcze autora, stara się więc on wykazać, że nigdy nie będzie lepiéj. Postęp nie tylko dotąd nie przysporzył szczęścia ludzkości, lecz i nigdy, dopóki ludzie pozostaną ludźmi, a ziemia ziemią, „nie wyschnie ani jedno źródło niedoli, a skąpe krynice szczęścia wydajności swojéj nie zwiększą.“ I dlaczego ma zawsze być tak źle na świecie, kiedy Bóg wszakże jest wszechmocny, a dobroć jego nieograniczona? Na to autor nie daje odpowiedzi, lecz wylicza tylko wiecznotrwałe źródła nieszczęścia. I tak ludzie zawsze rodzić się i umierać będą z towarzyszeniem cierpień; nie przestaną się również nigdy starzeć, potrzebować pewnego wychowania i chorować, co wszystko powoduje rozmaite niedogodności i dolegliwości. Areną postępu będzie zawsze

ziemia, na której w kilku zaledwie miejscowościach można żyć przyjemnie, gdzieindziéj gnębią człowieka najrozmaitsze plagi, jak mrozy, upały, nieurodzajność gleby, orkany, wiatry, burze śnieżne, albo piaskowe zamieci, trzęsienia ziemi, żmije, grzechotniki, drapieżne zwierzęta, myryady moskitów, roje szarańczy, chrząszcz kartoflany, pchła ziemna, fyloxera i t. p. „Cywilizacya tępi wprawdzie szkodliwe zwierzęta, owady i płazy, osusza miejscowości błotniste i polepsza ich klimat, ale równocześnie zatruwa całe nieraz okolice dymem i wyziewami fabryk, buduje cuchnące i zakurzone miasta, a niszcząc i trzebiąc lasy, sprowadza wcale niekorzystną dla zdrowia i urodzajów zmienność powietrza.“ I tak więc źle, i tak nie dobrze! Dalej, zawsze ludzie będą potrzebowali pracować, co jest rzeczą przykrą; nigdy nie przestaną być egoistami, podlegać rozmaitym szkodliwym żądzom i namiętnościom; nigdy nie znikną różnice cielesne i umysłowe, więc zawsze jedni będą uprzywilejowani, inni upośledzeni; wreszcie, nigdy ludzkości nie przestaną trapić wojny. Oto spis wiecznych źródeł nieszczęścia. Zgoda!—raju na ziemi nigdy nie będzie. Lecz czyż to dowodzi, że w granicach wymagań i dążeń, rachujących się z rzeczywistością, postęp nic dla powiększenia szczęścia ludzkości zrobić nie może? Autor pytanie to przewidział i odpowiada na nie przecząco. Żaden możliwie najwyższy postęp umysłowy i materyalny nigdy, ani na jotę szczęścia ludzkości nie przysporzy, gdyż w miarę wzrostu środków zadowolenia będą zarazem wzrastały potrzeby, im więcej człowiek będzie posiadał i używał, tém bardziéj będzie wymagający i wybredny.

Cóż więc ostatecznie za wniosek wyprowadza autor ze wszystkich powyższych rozumowań? Oto ten, że ani postęp, oparty na zasadach liberalizmu, ani przewrót społeczny w duchu doktryn socyalistycznych nie zdoła powiększyć sumy szczęścia ludzkiego, należy więc szukać jeszcze innego rodzaju postępu, który by to trudne zadanie rozwiązać potrafił. Ależ autor dowodził poprzednio, iż wzrost szczęścia ludzkiego jest bezwzględnie niemożliwy? Tak, lecz w końcu twierdzi, że te „nieszczęścia, których sprawczynią jest niegodziwość, lub namiętność człowieka“ może zetrzeć z oblicza ziemi—postęp chrześciański. A twierdzenie to nie jest bynajmniéj „przesadą, ani czczą deklamacyą,“ gdyż „chrystyanizm zaznaczył się w historyi tylu i takiemi faktami, jest potęgą tak dobroczynną i wielką, iż żaden inny czynnik dziejowy i społeczny porównać się z nim nie da.“ „Wykonany w całości program chrześciańskiego postępu, opierając się z jednéj strony na bratniéj miłości bliźniego, a z drugiéj na głębokiéj wierze w zagrobową odpowiedzialność człowieka za czyny tego życia, sprowadziłby niewątpliwie najwyższą pomyślność, jaka tylko

możliwą jest na ziemi. Zniknęłaby wtedy nędza, o ile jest ona wynikiem nie fizycznych warunków życia, ale złości człowieczéj; zniknęłoby wyuzdanie i zbytek, a nagrodą oszczędności i umiarkowania byłby nierównie powszechniejszy, niż dzisiaj dobrobyt; nie byłoby ucisku, nie byłoby podłości, nie byłoby slug, ani panów, bo wszyscy mimo różnicy, stanowisk i uzdolnienia byliby braćmi i współpracownikami w wielkiém dziele przygotowania rodu ludzkiego do nieśmiertelnéj przyszłości."

Ponieważ polemizować poważnie ze zdaniami powższemi nie podobna, a żartować z kulawéj ich logiki nie chcemy, więc poprzestajemy na prostém ich przytoczeniu. Nie będziemy również kusili się o przekonanie autora, iż narzucanie liberalizmowi i materyalizmowi teoretycznemu dążności i zasad praktyczno-materyalistycznych jest błędem i niesprawiedliwością, bo na upór i zaślepienie niema środka. Nadmienimy tylko, że D. F. Strauss nigdy nie wygłosił przytoczonego przez autora w cudzysłowie cynicznego zdania: „niech tam sobie lud zostanie na tym punkcie, na którym stoi na mocy świętych praw wszechświata, byleśmy tylko my, wykształceni i posiadający własność, uwolnili się nareszcie od udawania, że jesteśmy chrześcianami, którymi właśnie już nie jesteśmy." Zdaniem tém chciał przychylny socyalizmowi Lange określić ujemnie wrogie względem dążeń do przewrotu społecznego stanowisko Straussa, czego dowodem są poprzedzające to zdanie wyrazy: „ściśle bowiem biorąc, właściwy wynik całego tego stanowiska jest taki": (w oryginale: „*denn die richtige Consequenz dieses ganzen Standpunktes ist doch im Grunde die*":). Czyż ścisłość literacka i zasady postępu chrześciańskiego nie nakazywałyby być oględniejszym i uważniejszym w cytowaniu zdań źle mówiących o charakterze przeciwnika?

Na pytanie autora, mające źle świadczyć o liberalizmie wogóle, „czy jest na świecie nikczemniejsza gazeta od najliberalniejszej (?!) z liberalnych „*Neue freie Presse*," obsługiwanéj przez najmitów, co dziś za Rotszyldowskie guldeny gotowi są plwać na wszystko, co wczoraj jeszcze za pieniądze innego bankiera chwalili bez miary?"— odpowiadamy, że jest równie nikczemna i równie sprzedajna, „*Figaro*," dziennik, którego o liberalizm nikt nie posądza.

Na zakończenie winniśmy jeszcze dodać, iż rozumowania pana Dębickiego w ogóle mocno chromają pod względem ścisłości i konsekwencyi logicznej. Jest to pisarz dobry, posiadający wielką łatwość wysłowienia i styl poprawny, jędrny, a nawet barwny, lecz niestety filozof, socyolog i statystyk bardzo słaby. A szkoda, bo, o ile się zdaje, postanowił właśnie być koniecznie filozofem!

W. Wścieklica.

= Wypowiedziane przez księcia Bismarka, na posiedzeniu parlamentu niemieckiego z d. 9-go maja r. z., uznanie dla głoszonego przez socyalistów rozmaitych odcieni *prawa do pracy*, wywołało mnóstwo artykułów i broszur, mających na celu teoretyczny rozbiór tego żądania, zbadanie możliwości wprowadzenia go w życie i oznaczenie granic, w jakich należałoby je zamknąć. Z pomiędzy obszerniejszych opracowań téj kwestyi największe uznanie w szerokich kołach publiczności zjednała sobie książka Ferdynanda Gilles'a, publicysty, którego imię rozgłosił w ostatnich czasach proces o obrazę Bismarka. Książka ta, zatytułowana *Demokratie und Bismark. Ein ehrliches Wort über das Recht auf Arbeit* (Leipzig, 1885), ukazała się właśnie w drugiém wydaniu. Powodzenie swoje zawdzięcza ona zapewne zaciekawiającemu tytułowi, oraz lekkiéj i popularnéj formie wykładu, bo główna jéj treść nie świadczy bynajmniéj, by autor dostatecznie był przygotowany do rozprawiania o kwestyach ekonomicznych, jakkolwiek pomimo to, albo może raczéj, właśnie dlatego wyraża się on o ekonomistach-teoretykach z wielkiém lekceważeniem i pogardą.

W ocenie polityki ekonomicznéj Bismarka jest Gilles wogóle dość nieprzychylny dla kanclerza, ganiąc zarówno stawiane przez niego handlowi międzynarodowemu zapory celne (które mają jakoby tylko bogacić skarb a nie oddawać żadnéj przysługi przemysłowi krajowemu), jak i dążenie do zaprowadzenia monopolów w sferze przedsiębierstw, przejmowanych przez państwo nie w imię dobra publicznego, lecz jedynie dla zysku. Wzamian za to nie szczędzi autor swemu potężnemu pupilowi pochwał za podjęte, a więcéj jeszcze — zapowiedziane przez niego reformy społeczne. Pochwały te jednak udziela mu warunkowo, zastrzegając, że w takim tylko razie zasłuży on na nie, jeżeli uznawszy szczerze prawo do pracy, nie cofnie się przed żadną z jego „logicznych konsekwencyi"; by zaś uchronić omylnego, jak każdy człowiek, kanclerza od możliwych błędów w wywodach, p. Gilles dokonywa ich sam. Zdaniem jego więc, pojęcie prawa do pracy obejmuje nie tylko potrzebę zabezpieczenia robotnika od przymusowego braku zajęcia, lecz zarazem zapobieżenie nadmiernemu wyzyskiwaniu go przez kapitał. Na zdanie to zgodzić się należy, lecz, niestety, do osiągnięcia ostatniego z tych dwu wymagań podaje autor środek praktycznie niemożliwy. Żąda on mianowicie, żeby państwo określiło prawnie *minimum* płacy w ten sposób, że wynagrodzenie robotnika nie może w żadnym razie być niższém od połowy wartości dokonanéj przez niego pracy. Ta zaś ostatnia wartość ma być wynajdywana przez odjęcie wartości materyałów surowych od ceny miejscowéj gotowego produktu. Żą-

daniem tém dowiódł projektodawca, że nie ma najmniejszego pojęcia o sprawach produkcyi. Podczas bowiem gdy w jednych gałęziach przemysłu takie określenie *minimum* płacy zrujnowałoby praconabywców i wprost nie pozwoliło na prowadzenie przedsiębierstwa, w innych wyszłoby nawet na szkodę robotnikom, a to zależnie od wysokości potrzebnego w danym rodzaju produkcyi kapitału zakładowego, kosztowności maszyn, administracyi i t. p.

Żądania powyższe jednakże nie wyczerpują bynajmniéj wszystkich dezyderatów Gilles'a. Opierając się na wywodach głośnego autora „Nędzy i postępu“, George'a, domaga się on upaństwowienia gruntów drogą powolnego skupu i oddawania ich w działach pewnéj oznaczonéj wielkości w dzierżawę prywatnym osobistościom za opłatą czynszu. Nadto pragnąłby zreformowania podatków, zaprowadzenia oszczędności w wydatkach na utrzymanie armii, ograniczeń w prawie trzymania terminatorów i t. p. Wszystkie te żądania i projekty odznaczają się taką dowolnością w pomyśle i naiwnością w sformułowaniu, tak nie wiążą się z sobą zupełnie, że nie warto bliżéj ich rozbierać. *W. W.*

= W końcu miesiąca Lipca, za staraniem p. Adama Pługa, wyszło pismo zbiorowe p. n. **„Dla pogorzelców“**, zawierające na trzech arkuszach druku (47 stron in folio) w efektownéj okładce, utwory 135 autorów. Mniemamy, iż byłoby zbytecznem zachęcać czytelników do nabywania téj jednodniówki, sam tytuł jéj bowiem jest dość dla każdego wymownym; wspominamy więc tylko o potrzebie pośpiechu, bo głód nie jest cierpliwym i codzień odzywa się z równą siłą. Skład główny jednodniówki w Warszawie, w księgarni Paprockiego i S-ki. Cena kop. 50.

---

† Dnia 9-go Lipca r. b. zakończył życie w Poznaniu **Hieronim Feldmanowski**, konserwator zbiorów i sekretarz tamtejszego Towarzystwa przyjaciół nauk. Pracował on głównie w dziedzinie archeologii i historyi sztuk pięknych, był współpracownikiem „Dziennika Poznańskiego“, wydał opis swéj podróży na wschód, wreszcie tłómaczył utwory Byrona, Goethego, Schillera, Andersena, oraz pieśni illirskie i chorwackie. Społeczeństwo w tym troskliwym i wykształconym stróżu zbiorów naukowych i artystycznych straciło zarazem dobrego syna, czego świadkiem, między innemi Miłosław'.

SPROSTOWANIE

omyłek druku w zeszycie lipcowym 1885 roku.

Na str. 167, wiersz 29 od góry: zam. *161,8* winno być *101,8*; — na str. 170 w. 3 od góry: zam. *281512* winno być *37873*;—na str. 170 w. 4 od góry: znak (?) przy cyfrze 43735 należy wykreślić;—na str. 170 w. 22 od góry: zam. *zlewane* winno być *zlewne*; — na str. 170 w. 26 od góry: zam. *surowicy* winno być *surowizny*; — na str. 173 w. 26 od góry: zam. *już* winno być *inż*.

Wydawca, **W. Spasowicz.** — Redaktor, **Piotr Chmielowski.**

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum“

w ciągu m. Lipca 1885 r.

---

1. **Podręcznik do racyonalnego żywienia zwierząt gospodarskich** napisał *Antoni Brownsford.* Warsz. 1885. Wydawnictwo redakcyi „Hodowcy“; 8-o str. 367. (Cena rs. 1 k. 50, z przesyłką rs. 1 k. 70).
2. **Uwagi nad Seb. Fabiana Klonowicza poematem „Victoria deorum“** napisał *T. Garlicki* (odbitka z programu gimn. za rok szkolny 1884 w Brzeżanach). Brzeżany, 1884. 8-o str. 27.
3. **Das rechtliche Verhältniss Kroatiens zu Ungarn.** Besprochen von Dr. *Georg Jellinek* Professor des Staatsrechtes an der k. k. Universität zu Wien und Dr. Josef Pliverić Professor des Staatsrechtes an der kgl. Franz-Josef-Universität zu Agram. Mit einem Anhange, die ungarisch-kroatischen Ausgleichgesetze enthaltend. (Seperatabdruck aus der „Agramer Zeitung“. 1885, Agram, 8-o. str. 96.
4. **Nakłady Biblioteki Kórnickiej**, 1829—1885: Poznań, 1885, 8-o. st. 13.
5. **Katalog wystawy rybactwa** *Michała Girdwoynia*, inżyniera. i wystawy irrygacyi i drenowania *Michała Girdwoynia*, inżyniera. Warszawa. 1885. str. XVI.
6. **Atlasik Kieszonkowy.**—Wydawnictwo zabawek i gier pedagogicznych A. J. Wiśniakowskiego w Warszawie (obejmuje ośm mapek kolorowanych,)
7. **Rozmowy u starego Stacha.** I. O wzajemnych obowiązkach panów i sług. Skreślił *Gwiaździc.* Płock, nakład Wassermana, 1885, 16-o str. 54 (Cena kop. 12).
8. **Wydawnictwo Księgarni Krajowej: Jak uprawiać ziemię, siać i sprzątać z pola.** Dla pożytku małych gospodarstw napisał *Maryan Prawdzic.* Pod kierunkiem Kazimierza Promyka. Warszawa. 1885. 8-o str. 121 i II (z wielu drzeworytami w tekście).
9. **Wydawnictwo Księgarni Krajowej: Krowy i nabiał,** napisał *Stanisław Rewieński.* Zredagował Kazimierz Promyk. Warszawa, 1885, 8-o str. 31.
10. **Co robić, gdy kto zachoruje.** Napisał *Józef Zielczak.* Z 2-ma obrazkami. Warszawa. 1885, 8-o, str. 32.
11. **Dzieła poetyczne i dramatyczne Fryderyka Schillera, illustrowane przez znakomitych artystów,** Lwów, nakł. księgarni H. Altenberga. Zeszyt XXXIII i XXXIV (ostatni).
12. **Dodatek do katalogu wystawy rybactwa** *Michała Girdwoynia* inżyniera. Warszawa. 1885, 8-o, str. 30.
13. **Explication nouvelle de phénomène des marées.** Cause des courans Atlantiques et des vents. Par *A. Aug. Thouvenin.* Varsovie, 1885, 8-vo. p. 53.
14. **Polnische Stimmen.** I. Ausrotten? Zurich, 1886, 8-vo, S. 35.

Дозволено Цензурою, Варшава. 20 Іюля 1885 г.